

GUY N. SMITH

SYMPTOM

Przełożył  
Piotr Trzebiatowski

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL  
GDAŃSK 1991

## Rozdział I

Ciężarówka z łośkotem pędziła przez noc. Zagrzany silnik warczał na prostych odcinkach drogi, a na zakrętach zgrzytały hamulce i groźnie piszczwały opony.

Potężne reflektory oświetlały serpentynę asfaltowej drogi, której nawierzchnia niebezpiecznie błyszczała po kilku dniach ulewnych deszczów. Na kolejnym zakręcie maszyna wpadła w poślizg, ale grube bieżniki opon utrzymały ją na jezdni; ciężarówka zachybotwała się, lecz nie zeszła z właściwego kursu. Silnik zarzęził na stromym podejździe, zgrzytnęły przełączane biegi. Jeszcze ostatni wysiłek człowieka i na równej drodze pojazd pewnie ruszył przed siebie.

Po lewej stronie, na prawie pionowych zboczach gór rósł posępny, świerkowy las. Gałęzie przydrożnych drzew zwieszały się ponad asfaltową szosą, jak gdyby chciały ochronić ją przed siekającym deszczem i podmuchami zachodniego wiatru. Po prawej — trawiasty łagodny stok, kilka granicznych płotów i stłoczone w łubinie owce, które czekały świtu, aby wieść dalej swoje monotonne życie.

Pędzone wiatrem chmury odsłoniły jasną tarczę księżyca, lecz po chwili dzika okolica pogrążyła się ponownie w całkowitych ciemnościach.

Obłądny pęd samochodu wynikał z ponurego nastroju kierowcy. Mel Timberley ścisnął kierownicę z taką siłą, że na jego rękach pojawiły się niebieskie pulsujące żyły. Mały, drobny, nie pasował do tego posępnego krajobrazu. Długie ciemne włosy, opadające mu aż na ramiona, od-

garniał co chwilę dłonią — przyzwyczajenie, którego nabrał od czasu, gdy zaczął pracować jako kierowca.

Miał dwadzieścia dwa lata i wyglądał jeszcze chłopięco. Jego zazwyczaj pogodne rysy były teraz wykrzywione wściekłością.

Prowadził automatycznie, instynktownie. Oczy obserwowały drogę, a sprawne ręce i nogi reagowały odpowiednio do sytuacji — wciskając hamulec lub dodając gazu. Reszta była nieważna. Tyle się wydarzyło przez ostatnie kilka godzin! Timberley chciał pozostawić wszystko za sobą i nigdy do tego nie wracać; zacząć życie od nowa. Nie był jednak w stanie niczego wymazać z pamięci. Jak na złość, przypominał sobie teraz minione wydarzenia i oglądał je w myśli ponownie, jak stary film w telewizji. Nie pragnął wcale tej retrospekcji, ale nie miał innego wyjścia. W jego głowie bowiem nie istniało pokrętko, którym można by wyłączyć pojawiające się na ekranie umysłu obrazy.

To wszystko wina Maureen. Niech ją szlag trafi! Gdyby nie ona, nie jechałby teraz przez dziką Walię, z dala od właściwej trasy. Jeśli się coś stanie, jakiś wypadek, kraksa, pierwszym pytaniem szefa będzie: „Czegoś, do diabła, tam szukał?” Z pewnością zwolnią go z posady. Nie wolno używać cysterny napełnionej toksycznym środkiem chwastobójczym do prywatnych przejażdżek. Nawet wyrozumiałość pracodawców musi mieć swoje granice.

Zwolnienie z pracy zapoczątkowałoby serię nieszczęść w życiu Timberleya. Jego żona dostałaby furii i chciałaby się wszystkiego dowiedzieć. Miał ją teraz przed oczami: dysząca zemstą samica, dziwka! Mel nie mógł się uspokoić, przeklinał ją, ale to nie była nienawiść. Ta kobieta miała nad nim jakąś dziwną władzę. Czy chodziło o seks? Jeśli była w dobrym humorze, wpuszczała go do łóżka co tydzień. Jednak nawet podczas orgazmu wyglądała tak, jakby wyświadczała mu przysługę. Pewnego razu, gdy od-

mówiła mu swych wdzięków, przyłapała go na masturbacji. Nie rozmawiała z nim potem przez tydzień. Gardziła tego rodzaju praktykami. Nie, to nie seks podtrzymywał ich trzyletnie małżeństwo. Ani też dzieci, bo ich nie mieli. To był — Timberley znał przyczynę, lecz niechętnie się do tego przyznawał — STRACH! Bał się tej dwudziestoletniej dziewczyny. Pokornie przeproszał ją za najmniejsze domowe przewinienia, posłuszenie spełniał wszystkie jej rozkazy, robił sobotnie zakupy, zamiast pograć sobie w piłkę albo iść na ryby. Co jeszcze? Brał ją w niedzielę autem za miasto, choć był wykończony po całym tygodniu pracy za kierownicą i... nie miał odwagi jej rzucić!

Zaśmiał się cicho i poczuł w gardle nieprzyjemną, zdławioną gorycz. Nawet teraz nie spojrzalby jej śmiało w twarz. Jeżeli wszystko się wyda, padnie na kolana i będzie ją błagać o przebaczenie, przyrzekając dozągonną wierność. Pogardzał sobą, lecz nie mógł przewyciężyć swej słabości.

Wszystko sprowadzało się do spraw seksu. Nie było od tego ucieczki. Jeśli mężczyzna nie może normalnie spać z żoną, szuka zaspokojenia poza domem. Jednym się to udaje, tak jak jemu przez ostatnich kilka miesięcy, inni mają mniej szczęścia i romanse wychodzą na jaw. Timberley bał się, że to właśnie wkrótce nastąpi.

Z ekranu jego myśli zniknęła teraz żona, a pojawiła się Maureen. Ta wspaniała dziewczyna pragnęła dać mu w łóżku wszystko. Doskonale znała się na seksie i sprawiało jej to niebywałą przyjemność. Być może mściła się w ten sposób na swoim starym mężu, który — jak na ironię — też był kierowcą ciężarówki.

Timberley zaśmiał się ponownie. Co za diabeł tkwił w tej kobiecie! — mogła kochać się godzinami. Była aż o dziesięć lat starsza i oczarowała go swym dużym doświadczeniem. Uwielbiała jego młodziutkie ciało.

A teraz wszystko skończone. Na domiar złego mógł

oczekiwać groźnych konsekwencji. Samochód męża Maureen nawalił po drodze do Carmarthen. Ken zostawił ciężarówkę na poboczu i wrócił do domu autostopem. Przybył około drugiej w nocy. Timberley usłyszał go dopiero w chwili, gdy otworzyły się drzwi sypialni i odziany w kombinezon, wszedł do środka. Siedząca okrakiem na swoim kochanku Maureen, potężnym szarpnięciem rzucona została na łóżko, Mel, powalony pięścią na podłogę. To było straszne, lecz najgorsze miało dopiero nastąpić.

— Nie myśl, że to już wszystko — wielki mężczyzna patrzył na niego, uśmiechając się szyderczo. — Spisałem numery stojącego przed domem samochodu. Pogadam z twoim szefem i doniosę, że zostawiasz bez dozoru całą cysternę trucizny.

Timberley, jadąc kilka godzin później swą ciężarówką, zastanawiał się nad tym wszystkim raz jeszcze. Był pewien, że Ken nie groził na próżno. Już jutro balon pójdzie w górę. Czy uda się go zatrzymać, zanim doleci do żony? Trzeba coś wymyślić. O Chryste! Jaki to ma sens? Cokolwiek powie, ona natychmiast zadzwoni do Weedspray Limited i dowie się wszystkiego. Na pewno mu nie wytkaczy. To zrędliva hetera, która znajdowała niewysłowioną przyjemność w bezustannym krytykowaniu odmiennej płci.

Mel chciał, żeby jakiś facet przespał się z nią podczas jego nieobecności w domu. Taki potężny byk — jak mąż Maureen — nieokrzesany i brudny, który uwiódłby ją i zmusił do pełnej uległości. Lecz to nie mogło się zdarzyć, to było fizycznie niemożliwe. KAŻDY mężczyzna zostałby ostro odprawiony i zalany przy tym strumieniem zło-rzeczzeń. Wiedział o tym, lecz te fantazje sprawiały mu przyjemność.

całą cysternę trucizny... O, Chryste! Mel nigdy w ten sposób nie myślał. Do tej pory był to normalny ładunek: po prostu płyn, którego używano w celu wytopienia

paru chwastów. Przypomniat sobie pewien artykuł prasowy z ubiegłego tygodnia. Mówili też o tym w wieczornym wydaniu wiadomości.

Mały chłopiec, siedmio- lub ośmioletni, zwykły dzieciak. Jakiś sukinsyn napełnił Weedsprayem butelkę po lemoniady i postawił w ogrodzie. Preparat jest bezbarwny i wygląda jak napój. Chłopiec wyciągnął korek, wziął do ust łyk płynu i natychmiast wypluł. Lecz było już za późno, aby uniknąć nieszczęścia.

Zdarzało się to i wcześniej, w czasach, gdy ludzie masowo kupowali parakwat. Zgubnych konsekwencji spożycia tamtego środka nie łagodziła żadna odtrutka. Ale Weedspray...

Timberleya ponownie ogarnęło przygnębienie. Miał poczucie winy<sup>^</sup> na nim przecież ciążyła odpowiedzialność. ON transportował truciznę, bez kierowców nie można by prawnie jej sprzedawać. ON PRZEWOZIŁ PŁYNNĄ ŚMIERĆ. Jezu Chryste!

Szczegóły tego wypadku raz jeszcze wzbudziły w nim przerażenie. Chłopiec nazywał się... Larkin albo Lakin, ja-koś tak. Nie pamiętał dokładnie, lecz to nie miało znaczenia. Ojciec chłopca pracował w ogrodzie. Był typowym mieszkańcem podmiejskiej dzielnicy. Odchwaszczał ułożoną z kamieni ścieżkę. Zostało mu w konewce trochę Weedsprayu, mógł się przydać następnego dnia. Ostrożnie przelał truciznę do butelki, jednak nie pomyślał, że należy to zabezpieczyć! Postawił ją po prostu na tarasie. Mały znalazł butelkę po upływie niespełna tygodnia. Sądził., że to lemoniada, lecz spróbował, wypluł prawie wszystko. Trochę jednak połknął: płyn miał gorzki, migdałowy smak. Poszedł potem do pobliskiego sklepu i wydał swoje kieszonkowe na słodycze, którymi chciał zagryźć drażniącą gorycz. Nie powiedział o tym zdarzeniu nikomu.

Timberleyowi pot spłynął po czole, gdy przypomniał sobie tę historię. Po południu chłopiec zaczął się skarżyć

na ból gardła, głowy i klatki piersiowej. Rodzice, podejrzewając jakąś dziecięcą dolegliwość, położyli go do łóżka, całkowicie nieświadomi, że wypił truciznę. Nawet on sam o tym nie wiedział.

W nocy rodziców zbudził dobiegający z parteru hałas. Zeszli na dół, na półpiętro, i zauważyli, że drzwi od sypialni dziecka są uchylone, a jego pidżama leży na podłodze. Zbiegli szybko do kuchni — to, co ujrzeli, przechodziło wprost ludzkie pojęcie. Timberley wyobraził sobie tę scenę i mocno zacisnął ręce na kierownicy. Zupełnie nagie dziecko, z pianą na ustach, patrzyło na nich wytrzeszczonymi oczyma, lecz ich nie rozpoznawało. Oni zaś stali nieruchomo, bezradni, porażeni strasznym widokiem. Chłopiec oddychał chrapliwie, w jego ręce tkwił zdjęty z suszarki, wielki rzeźnicki nóż. Trzymał go za rękojeść, a ostrze wymierzał sobie w brzuch.

Było już za późno, aby go powstrzymać. Chłopiec bowiem runął na ziemię, nadziewając się na stal. Krew trysnęła z przebitego ciała. Ojciec skoczył na ratunek, ale syn pomimo śmiertelnego bólu szarpał się z nim, nie pozwalając wyciągnąć ostrza z podbrzusza. Gryzł, drapał — i dźwięko wrzeszcząc — dygotał w paroksyzmach agonii.

Pani Larkin zadzwoniła po karetkę, lecz nieszczęśnik zmarł, zanim przyjechała. Lekarze przypuszczali, że był to jakiś nagły atak, lecz sekcja zwłok wykazała zatrucie środkiem chwastobójczym. Śmierć w męczarniach poprzedzona szaleństwem.

Rozpoczęto zbieranie informacji o firmie Weedspray Limited. Setki ludzi z jakiegoś miasta — Timberley nie pamiętał jego nazwy — podpisało petycję, w której żądano wycofania Weedsprayu ze sprzedaży.

Oskarżono ojca. Opinia publiczna okrzyknęła go mordercą. Po miesiącu martwego Larkina znaleziono w jego własnym samochodzie, stojącym w garażu. Podłączony do

rury wydechowej długi gumowy wąż wprowadzał spaliny do wnętrza pojazdu.

Panią Larkin zabrano do szpitala na leczenie psychiatryczne. Próbowano otruć się aspiryną, lecz wzięła za małą dawkę. Odratowano ją. Z pewnością jednak długo nie żyje. I to wszystko z powodu Weedsprayu.

Timberley wziął zakręt zbyt ostro i poczuł, że tylne koło wyjechało na trawnik. Natychmiast przyhamował, aby opanować poślizg.

Do diabła! Nigdy przedtem nie analizował swych czynów tak dokładnie. Był prawdziwym sukinsynem, głównym pierwszej kategorii. A co gorsza, wioził do Birmingham cysternę zagrażającego życiu preparatu. Ta ilość Weedsprayu wystarczyłaby do wytrucia miasta trzy razy większego. Kolejne dziecko może umrzeć, jeśli jakiś idiota przeleje to do butelki po lemoniady. I on zostałby współnikiem mordercy. O Chryste!

Mel zwolnił, przez moment był na krawędzi rozpacz. Zaprzagnął pozbyć się tego straszego ładunku. Lecz było to niemożliwe! A zresztą, czy miałyby sens? Trzy cysterny tygodniowo jadą do Birmingham, dziesięć do Londynu, cztery do Manchesteru. Doskonale zorganizowana dystrybucja. On był jedynie ogniwem w tym długim łańcuchu. Mógł zrezygnować z pracy, lecz Weedspray Limited na tym nie ucierpi: będzie nadal produkować tę płynną śmierć, uchylając się od odpowiedzialności za spowodowanie tragicznych wypadków.

Księżyc wyszedł zza chmur i zalał swym światłem ponurą okolicę. W dole zamigotało jezioro, wielkie lustro iskrzącej się, atramentowej czerni. Zbiornik Claerwen. Czysta, góraska woda płynęła ujęciami do Birmingham. Bez tego życiodajnego płynu, zginąłby rodzaj ludzki.

Ten widok uspokoił Timberleya. Naturalny krajobraz tak odległy od jego kłopotów. Zdjął nogę z pedału gazu i lekko przyhamował: kręta droga stromo opadała w dół.



Drzewa pochylały się na wietrze tak, że gałęzie dotykały pędzącej ciężarówki.

Mel odetchnął i poczuł się odprężony. Ogromne jezioro przypomniało mu wędkowanie. Ze smutkiem pomyślał, że minęło już kilka miesięcy od czasu, kiedy po raz ostatni próbował szczęścia z haczykiem i żyłką. Teraz w każdy weekend musiał robić zakupy albo jeździć z żoną do jej matki.

Pamiętał pewną wyprawę nad jezioro Yyrnwy. Złowił wtedy dwa pstrągi, brązowego i tęczowego, a potem wrzucił je z powrotem do wody. Pomyślałby kto, że idiota. Tak marnować czas i siły. Lecz zależy, jak się na to spojrzy; życie jest przecież czymś więcej, niż tylko uleganiem biegowi wypadków. Tego dnia mógł sam zdecydować, był w pewnym sensie Bogiem. Od niego zależało, czy zabije te ryby, czy pozwoli im żyć. To zabawne, lecz teraz znalazł się w podobnej sytuacji: miał do swej dyspozycji system napelnioną śmiercią. Tylko, że nie było sposobu, aby się jej pozbyć.

Chmury ponownie zakryły księżyc i reflektory ciężarówki rzuciły mocne światła na drogę. Drzewa zmagaly się z coraz silniejszą wichurą. Połamane gałęzie padały z trzaskiem na ziemię, a pędzone wiatrem Uście wirowały w powietrzu. Powoli zaczynała się jesień.

Timberley sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalki. Prowadził teraz jedną ręką. Czuł, że porywisty wiatr dmie z całej siły w ciężarówkę, musiał zatem mocno trzymać kierownicę.

Wyciągnął zmiętego papierosa z pogniecionej paczki, włożył do ust i potrząsnął pudełkiem zapalek. Nie mógł zapomnieć o zabójczym Weedsprayu. Pewna śmierć... nie ma antidotum. Ta praca jest zbyt odpowiedzialna, tak wiele czynników znajduje się poza kontrolą. Nawet prowadzenie pojazdu transportowego jest ryzykowne. Tydzień temu na jezdnię wybiegł nagle pies; równie dobrze mogło

to być dziecko. Teraz na szosie nie ma nikogo, lecz za moment... Niejeden kierowca budził się nocą z takich koszmarów, zlany zimnym potem. Timberley dobrze znał uczucie ulgi, której człowiek doznaje, uświadamiając sobie, że to tylko sen. Lecz pewnego dnia sen mógł stać się rzeczywistością. Dzisiaj, jutro, za tydzień, za miesiąc...

Płonąca zapalka rozjaśniła kabinę samochodu. Mel zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Przez moment nie kontrolował sytuacji na jezdni.

Coś poruszyło się przed nim: niewyraźny kształt wyskoczył z lasu prosto na drogę i znieruchomiał w ostrym blasku reflektorów.

Zaskoczony Timberley z całej siły nacisnął pedał sprzęgła i hamulec. O Boże! Dopiero co myślał o śmierci, a niebezpieczeństwo wyłania się z posępnej ciemności.

Opony zapisały na mokrym asfalcie. Timberley gwałtownie przekreślił kierownicę, aby uniknąć poślizgu. Za późno — tylną część wozu zarzuciło. Powolny, pełen wdzięku ruch... rodzaj baletu, taniec w rytm cichej muzyki. Jodłowy las burzliwym szumem wyraża swój aplauz a wiatr świszczę z zachwyty.

Timberley widział przez moment skulonego ze strachu zająca, który patrzył jak zahipnotyzowany w oślepiające reflektory. Podczas obrotu ciężarówki dwa snopy światła przecięły zygzakami mroczną przestrzeń. Mel stracił zająca z oczu. Nie uderzył go! Śmierć tego zwierzęcia byłaby bez znaczenia, a jednak to dobrze, iż zając żył.

Wtem rozległ się huk. Zabezpieczająca drogę bariera została rozbita w drzazgi, a pojazd gwałtownie przechylił się na bok. Mel oczekiwał potężnego uderzenia, które jednak nie nastąpiło. Jedynie ciemność wokół. I wrażenie, jakiego doznaje się podczas szybkiej jazdy w dół ruchomymi schodami.

Nagła świadomość sytuacji zmroziła mu krew w ży-

łach: ciężarówka była w powietrzu. Pionowy lot — żadnych drzew, które mogłyby go powstrzymać.

Wiedział, że zginie. Za kilka sekund lecący w dół samochód uderzy w twardą ziemię lub roztrzaska się na poszarpanych blokach skalnych. To dziwne, ale nie czuł strachu. Jakieś niewytłumaczalne odrętwienie znieczuliło jego zmysły i zaoszczędziła dodatkowej grozy.

Wtem silne uderzenie wstrząsnęło kabiną. Nogi Timberleya zostały zgniecione pod jego ciałem, a lewa ręka wykręcona do tyłu. Jednak pojazd wciąż spadał, choć o wiele wolniej i łagodniej, a ciemność wokoło stawała się tysiąc razy większa.

Mel leżał teraz potłuczony i oszołomiony, mając wrażenie, iż samochód pogrąża się w jakiejś bezdennej czeluści. Przez cały czas był przytomny, jak gdyby niewidzialne, okrutne moce zmusiły go do oglądania własnego końca.

Poczuł, że do kabiny wlewa się woda — napływa gwałtownie nie wiadomo skąd. Lodowate zimno natychmiast go otrzeźwiło, z przerażeniem uzmysłowił sobie, co się stało.

O Boże! Rezerwar! Głęboki i czysty: źródło życia dla tysięcy ludzi, a dla nieszczęsnych kilku — otchłań śmierci. Cysterna zadrżała raz jeszcze i wreszcie znieruchomiała. Woda była tym, czego w głębi serca Timberley bał się najbardziej. Nigdy nie opanował sztuki pływania. Pamiętał z dzieciństwa straszne lekcje na basenie, lecz nawet gdyby umiał pływać, na nic by mu się to teraz nie przydało.

Czerń wokół niego przybrała czerwony odcień. Nie mógł poruszać połamanymi nogami, a wykręcone ręce były zupełnie bezwładne. Zanim stracił świadomość, przypomniał sobie jeszcze tego zająca na szosie, który — skazany na pewną śmierć — jednak ocalał. Cena, jaką Timberley zapłacił za jego życie, była najwyższa.

## Rozdział II

Ron Blythe zapalił trzecią fajkę i wypuścił w poprzek stołu kłąb gęstego dymu, otaczając siedzącą naprzeciw żonę ostrym aromatem tytoniu. Spojrzał swymi bladoniebieskimi oczyma na jej najnowszą fryzurę w stylu afro, lecz nie rzekł ani słowa. Jej duża, piegowata twarz, po dziesięciu latach małżeństwa była wciąż umiarkowanie atrakcyjna. Jednak ona stopniowo się zmieniała: nie była już namiętną kochanką, raczej skromną panią domu. Pani domu — to określenie pasowało do niej. Tak dzieje się z każdą zamężną i wychowującą dzieci kobietą. Nie musiała już podniecać męża, miała wygodne życie i była z siebie zadowolona. Lecz nie straciła swego żywego usposobienia. Jej język był nadal ostry, tak jak zawsze, gdy wymagały tego okoliczności, a Ron stwierdził, że okoliczności takie występowały ostatnio nazbyt często.

Muskularny, o jasnych skręconych włosach, utrzymywał formę grając w rugby w miejscowym klubie. Margaret robiła mu za to wyrzuty. W sobotnie popołudnie rugby, potem do baru z kumplami, a czasem jakieś dziewczyny. Nic specjalnego, lecz ludzie gadają, a plotki dochodzą do domu. I teraz jeszcze to.

Spojrzał na gazetę, rozłożoną na stole pomiędzy pustymi do połowy filiżankami kawy, a zimnym, nie tkniętym tostem. Śniadanie było kolejnym niewypałem.

— Jak my możemy z tym żyć? — Margaret wskazała palcem artykuł na pierwszej stronie.

Po raz kolejny przeczytał nagłówek:

ZAGINEŁA CYSTERNA ZAWIERAJĄCA ŚMIERTELNIE TRUJĄCY ŚRODEK CHWASTOBÓJCZY.

Ron zaciągnął się głęboko fajką. Przeczytał już ten artykuł trzy razy. Reporter rzeczywiście pojechał do owego miasteczka i wykopał wszystkie trupy, które był w stanie odnaleźć, łącznie z kośćmi Larkinów. To cud, że nie wymieniono nazwiska Rona. Ron Blythe był bowiem naukowcem, chemikiem, który dokładnie opisał proces produkcji środka przeciw chwastom o nazwie „Weedspray”. Była to mieszanina parakwatu, symazyny i blisko dwunastu innych preparatów chwastobójczych; najmocniejsza dostępna w handlu trucizna. Była tak skuteczna, że produkowano ją w dużych ilościach dla potrzeb rolnictwa. Jednak Ron nie wynalazł dla niej antidotum. Prawdopodobnie tego środka nie można było w ogóle zneutralizować! Zbyt dużo czynników wchodziło w grę. Działanie dwóch lub trzech może udałoby się znieść, lecz z pewnością nie wszystkich. Firma Weedspray Limited odsunęła zatem Rona od dalszych prac nad odtrutką. Nie opłacało się poświęcać czasu na syntetyzowanie antytoksyny, która mogła nie istnieć.

Margaret nie ułatwiała mu życia. Ta afera nie mogła wyjść w gorszym czasie, stała się kulminacją ich sprzeczki z poprzedniego wieczoru. Młoda dziewczyna — Julia Carter została na moment zapomniana, jakby odłożona ad acta. Lecz Margaret na pewno przypomni sobie o niej w odpowiedniej chwili. Ron słabo pamiętał tę randkę, to już ponad miesiąc temu. Nic zresztą między nimi nie było. I być może dlatego Julia rozwydrzyła gębę na całe Rugeley i bzdurzyła o ich rzekomym romansie.

— Wynalazłeś zabójczy środek — powiedziała Margaret zapalając papierosa. Czyniła to jedynie wówczas, gdy była wyprowadzona z równowagi. — I będziesz miał pewnie więcej na sumieniu, jeśli antidotum nie zostanie szybko odkryte.

— Nie wynalazłem tego — warknął. — Uzupełniłem

jedynie pewną formułę, którą zna każdy szanujący się chemik.

— Cóż, cysterna zniknęła już trzy dni temu, a twoja firma nie odwołała cię nawet z urlopu.

— A niby po co? To robota dla policji, tak jak każde inne uprowadzenie. Nie mogę im pomóc w poszukiwaniach.

— A co będzie, jeśli połowa dzieciaków w jakimś mieście znajdzie ów preparat i wykończy się tak jak ten chłopak Larkinów?

Nie odpowiedział. Nie umiał odpowiedzieć. Gdyby się to zdarzyło, nic nie mógłby zrobić, aby ich uratować. Zaginienie cysterny było dla niego zagadką. To prawda, środek był drogi, około dwudziestu funtów za cztery Htry u rolniczego dostawcy, a siedemdziesiąt pięć pensów za woreczek w sklepie ogrodniczym. Lecz było to coś innego niż kradzież ładunku kawy, herbaty czy papierosów. Rynek zbytu był ograniczony. Złodzieje z pewnością nie poszliby na taki łup. Ron zastanawiał się nad kierowcą Timberleyem. Czy on mógłby to sprzedać? Nie było to wykluczone.

— Wszyscy w sąsiedztwie wiedzą, że ty jesteś tym facetem, który wyprodukował truciznę - kontynuowała Margaret.

— Owszem, wiedzą, ponieważ im o tym powiedziałaś.

— I wiedzą również, że spotykasz się z inną kobietą.

Ron westchnął głęboko. Przesadnie wyolbrzymione doniesienia o jego miłośkach stawały się ostatnio niezmiernie nudne.

— Jadę dziś do Birmingham — rzucił, szybko zmieniając temat.

— Och! — cień podejrzenia pojawił się w jej oku. — Zostały ci jeszcze dwa dni urlopu. Chyba, że jedziesz po jakąś przyjemność.

jadąca z głównego składu w Liverpoolu nie przejeżdżała-by przez Walię.

— Lecz ten gość, Timberley, właśnie tak jechał. I nie było to po raz pierwszy. Miał tam jakąś dziewczynę, z którą sypiał. Jej mąż zadzwonił do firmy i powiedział, że jedna z naszych ciężarówek jest w Pontrhydfendigaid. Było to tej nocy, gdy cysterna przepadła. Przypuszczam zatem, że podpity Timberley zjechał z drogi.

— O Chryste!

— Tak, według mnie, mają się sprawy. Przyjeżdżaj jak najszybciej, Ron. Możliwe, że będziemy potrzebować od ciebie kilku danych.

Ron Blythe odłożył słuchawkę. Był błydy i roztrzęsiony.

— I co? — Margaret stała z założonymi rękami. Patrzyła na niego z wyrzutem, żądając szczegółowych wyjaśnień.

— Nie przyjadę dziś na noc — rzekł Ron przechodząc obok niej zdecydowanym krokiem. — I jeśli chcesz wiedzieć do czego jestem zdolny, przeczytaj jutrzejsze gazety. Bez wątpienia już teraz redagują jakieś spekulatywny artykuł na pierwszą stronę.

Było nieco po południu, gdy Ron Blythe zatrzymał swego mini na skraju trawnika graniczącego z szosą, która biegła wokół zbiornika Claerwen. Poznał mercedesa Broadhursta i zauważył dwa wozy policyjne. Obok stało kilka innych samochodów.

W oddali ujrzął grupę ludzi tłoczących się przy samym brzegu jeziora, około dwunastu osób. W innym miejscu stało jeszcze ze dwudziestu gapiów. Wścibskie typy, pomyślał Ron, pokonując zwoje zardzewiałego drutu kolczastego.

Gdy stanął na miękkiej trawie, poczuł zimny powiew wiatru i był zadowolony, że pod sztruksową kurtką miał jeszcze ciepły golf Wprawdzie słońce świeciło na bez-

chmurnym, błękitnym niebie, lecz jesień dawała się już we znaki. Paprocie, rosnące na zboczach gór, przybrały brązowy odcień, a u stóp wielkich kasztanowców leżała warstwa złotych liści. Ron dobrze zapamiętał datę. Była wyraźnie wydrukowana w gazecie, którą uważnie czytał tego ranka: 27 września. Dzień ten mógł okazać się kamieniem milowym w jego życiu.

Szedł powoli w kierunku zebranych, rozmyślając o Margaret. Może skończą ze sobą. A może jednak nie. Wszystko zależało od dzieci. Żałował, że nie miał czasu zobaczyć się z nimi, zanim wyszły do szkoły.

Ken Broadhurst był mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Miał lśniące, ciemne włosy, proste plecy i nosił starannie skrojony garnitur. Jego przyjemny wygląd szpeciła jednak lekka nadwaga; podobno cierpiał na chorobę serca, choć nie przyznawał się do tego. Jako szef sporej firmy przebywał często poza biurem, były to jakieś zagadkowe podróże „w interesach”.

Nie ulega wątpliwości — pomyślał Ron Blythe — że menedżer Weedspray Limited poinformował wszystkich obecnych o tym, iż swe wykształcenie zdobywał w prywatnej szkole średniej Wrekin College. Warto byłoby kiedyś sprawdzać ten fakt w odpowiednim rejestrze i potwierdzić go lub zdementować. Teraz Jednak lepiej było nie rozstrzygać tej sprawy i nie burzyć owej społecznej fasady.

— Cieszę się, że jesteś, Ron — rzekł Broadhurst, odwracając się od grupy towarzyszących mu osób. — To jest pan Williams, nadinspektor policji z Powys.

Policjant skinął głową. Był dobrze zbudowany, a ogorzałe rysy świadczyły o tym, że długo pracował na prowincji.

Ron Blythe badawczo przyglądał się pozostałym: policjanci, ubrani przeważnie po cywilnemu, mały, o mysiej twarzy człowieczek, wyglądający na reportera gazety ra-



czej stołecznej, niż lokalnej i jakiś szczupły facet około czterdziestki — w skafandrze, którego kaptur nasunął sobie aż na czoło. Wszyscy oni pośpiesznie sprowadzali nurka po stromym stoku.

— Tu właśnie rozbiła się ciężarówka — wzrok Blythe'a podążył za wskazującym palcem Broadliursta. Dwa-dzieścia metrów powyżej i pięćdziesiąt na lewo ujrzał białe ogrodzenie. Pionowy spad prosto do zbiornika. A dokładnie nieco wyżej — wyrwa w barierze.

— Nie mógł wybrać gorszego miejsca, aby zjechać z drogi — powiedział Broadhurst, powtarzając słowo w słowo konkluzję nadinspektora, którą ten wygłosił pół godziny wcześniej. — Żadnych śladów. Najgłębsza część jeziora.

Nurek nałożył swój hełm i ruszył w stronę wody. Pozostali obserwowali go w ciszy i napięciu. Mieli nadzieję, że tam, w głębinach, nie znajdzie zatopionej cysterny. Oczywiście oprócz reportera, który układał swój artykuł, czekając na dokładną relację.

— I co my teraz zrobimy? — spytał cicho Broadhurst. Był przygnębiony i poirytowany.

— Poczekaj jeszcze chwilę — odparł Blythe. — Może to jednak nie nasza cysterna. A gdyby nawet, to jeśli ładunek jest cały, nie ma żadnego nieszczęścia.

— A jeśli nie?

— To trzeba szybko i zdecydowanie działać. Nic więcej nie można już teraz zrobić!

Nurek zniknął pod powierzchnią wody. — Kim on jest? — zapytał reporter.

— Paul Pritchard — odparł jeden z miejscowych. — Każdy szczegół się liczy. Wiek: trzydzieści sześć lat, hobby: nurkowanie. Mieszka w Rhayader.

Zgromadzeni czekali w milczeniu, nerwowo kręcąc się w miejscu. Wiatr unosił obłoki niebieskiego dymu z papierosów. Grupa gapiów przysunęła się bliżej. Polecono

im wprawdzie trzymać się z dala, lecz każdy był zbyt zajęty, aby ich pilnować. Kobieta w średnim wieku trzymała aparat fotograficzny. Jakiś tani grat, lecz wystarczał, aby móc obliczyć, ile gazety zapłacą za zdjęcia. Reporter nie zabrał aparatu. A być może będą wynosić trupa kierowcy na górę i układać go na trawie.

Pięć minut... Dziesięć... Kwadrans... Żaden plusk wody nie zdradzał, gdzie jest Paul Pritchard. Tak jak przewidywano, nie było to proste.

Wszyscy czekali niecierpliwie. Wtem czarna postać wynurzyła się z jeziora i wyszła na suchy ląd. Ponure, ociekające wodą niezemskie stworzenie, koszmarny potwór z głębin.

Ruszyli do przodu. Ron wiedział, co takiego Pritchard znalazł tam w dole: człowieka i cysternę. Coś nakazało mu powstrzymać się, pozwolić innym, aby przeszli obok niego. Poczul skurcz żołądka i o mało nie zwymiotował. Nie zdawali sobie sprawy! Nawet Broadhurst nie był świadomy wszystkich konsekwencji. Jeśli cysterna rozbiła się...

Prowadzono ożywioną rozmowę, a reporter usiłował wszystkich przekrzyczeć. Dla Rona brzmiało to jak potok słów pozbawionych znaczenia. Pritchard zdjął hełm. Potwierdził coś i wskazywał na zbiornik potrząsając głową.

Ron Blythe podszedł do zebranych. Był opanowany. Pogodził się z faktami i pragnął już tylko upewnić się, że jego obawy są słuszne.

— Zgadza się, to jest cysterna — rzekł Pritchard zwracając się do nadinspektora Wiliamsa. — Została rozcięta przez skały. Kierowca jest wciąż w środku. Nie ma szans na wydobycie go bez specjalnych urządzeń do cięcia metalu. Do diabła! Aby wyłowić wrak, trzeba będzie użyć dźwigu. Chyba nawet lepiej zostawić go tam, gdzie jest.

Oto stało się najgorsze. Sprawny umysł Blythe'a pracował jak automatyczny kalkulator: PARAKWAT, SY-

MAZYNA. POŁĄCZONE Z WIELKĄ ILOŚCIĄ WODY...

— Cholera! — Broadhurst przepchnął się z powrotem do Blythe'a. Jego nalana twarz zbladła, a rysy się ściągnęły.

— Słyszalesz, Ron?

— Tak — Blythe odwrócił się i ściszył głos. — Muszę dokonać kilku obliczeń. Potrzebuję do tego pewnych danych od Zarządu Wodnego. Obawiam się jednak, że skutki będą tragiczne.

— Jest bardzo źle? — strach graniczący z przerażeniem pojawił się w szukającym odrobiny pocieszenia głosie menedżera Weedspray Limited.

— No cóż, nie jest dobrze — odparł powściągliwie Ron.

— Musimy jak najszybciej skontaktować się ze Strażą Wodną — rzekł Broadhurst i zapalił papierosa, osłaniając go przed wiatrem wyraźnie drżącą dłonią. — Mam zamiar jeszcze dzisiaj z nimi porozmawiać. Tutaj nie mamy już nic do roboty. Jedź ze mną do Birmingham, Ron.

Blythe przyłączył się do szefa i razem wracali do swych samochodów. Nie rozmawiali ze sobą.

Nie było już o czym rozmawiać.

Gabinet był przestronny, lecz ciemny i w starym stylu. Nowoczesny sprzęt biurowy i jasne świetlówki dziwnie kontrastowały z dębową boazerią. Szerokie deski podłogowe pokryto tanim lakierem.

Blythe i Broadhurst siedzieli pośrodku pokoju na twardych, niewygodnych krzesłach, a naprzeciwko nich stało bogato rzeźbione, wielkie, mahoniowe biurko, będące jedyną pozostałością po dawnym umeblowaniu.

Obaj mężczyźni nerwowo zacierali zroszone potem dłonie. Otoczenie, w których się znajdowali, przypominało im szkolne lata, kiedy jako niegrzeczni chłopcy wzywa-

ni byli do gabinetu wychowawcy, aby odpowiadać za jakieś drobne wykroczenia.

A teraz siedziało przed nimi pięciu „wychowawców”, pięciu nobliwych przedstawicieli urzędniczego świata. Nosili takie same garnitury, mieli identyczne ruchy. Przeglądali akta, notowali coś w swoich brulionach, co pewien czas spoglądali po sobie.

— Hmm — mruknął mężczyzna, który zajął miejsce pośrodku pulpitu. Błada cera i ciężkie, rogowe okulary upodobniały go do ogromnej sowy. Podniósł głowę, jakby dopiero teraz uświadomił sobie obecność dwóch interesantów. — To dobrze, że panowie natychmiast przybyli.

Natychmiast? — pomyślał Blythe. — Chcieliśmy rozmawiać z wami już wczoraj, lecz kazano nam się stawić na umówione spotkanie. Spojrzał na zegarek. Była pierwsza czterdzieści pięć. Dwadzieścia cztery godziny od momentu, gdy nurek powiadomił o znalezisku. Urzędnicy pracowali powoli i systematycznie nawet w obliczu katastrofy.

— Muszę was poinformować — rzekł mężczyzna, spoglądając przez swoje grube soczewki — że Straż Wodna zażąda zwrotu pieniędzy. Będą to koszty wyłowienia cysterny oraz filtracji rezerwuaru, którą — dla ostrożności - musimy przeprowadzić.

— To nie jest kwestia filtracji — przerwał poirytowany Ron. — Zbiornik należy osuszyć, gruntownie oczyścić i dopiero wtedy ponownie napełnić wodą.

— Wykluczone.

— W przeciwnym razie pozwolimy na zagładę całej populacji Birmingham.

— Sądzę, że pan przesadza. To brzmi zbyt dramatycznie.

— Znam się na tym. Na podstawie danych dokonałem dokładnej analizy sytuacji.

— I co ma pan do powiedzenia? — Wychowawca sta-

rał się być tolerancyjny. Postanowił wysłuchać małych urwisów, aby ich potem i tak surowo ukarać.

— No cóż — Blythe spojrział na Broadhursta, a za chwilę na nieprzyjemne twarze siedzących za biurkiem urzędników. — Pozwólcie, że wyjaśnię wam to najprościej, jak potrafię. Weedspray jest najmocniejszą i najbardziej zabójczą trucizną ze wszystkich wynalezionych dotąd środków chwastobójczych. W porównaniu z nią parakwat to odżywka dla niemowląt. Preparat nasz produkujemy w dwojakiej postaci: granulowany oraz płynny. Granulat służy do użytku w małych, prywatnych ogródkach działkowych. Firma zaleca, aby jedno opakowanie rozpuszczać w dziesięciu litrach wody. Nie jest to jednak właściwa proporcja. Roztwór czterokrotnie słabszy' w pełni by wystarczył.

Ron usłyszał, jak Broadhurst głęboko wciągnął powietrze, co oznaczało, że szef Weedspray Limited jest bardzo niezadowolony. Manipulacja nabywcami, Blythe wyraźnie to przyznał. Lecz nie można się już było wycofać, należało grać dalej.

Ćwierć opakowania, a nawet mniej — kontynuował Ron. — Taka jest moc granulatu. Natomiast preparat płynny dystrybuujemy w pięciolitrowych pojemnikach. Jest dziesięciokrotnie silniejszy od granulatu. Jeden decymetr sześcienny tego środka, rozcieńczony w stu litrach wody, niszczy wszelką roślinność na obszarze pół hektara. Mogę jednak udowodnić, iż wiele słabszy roztwór płynnego Weedsprayu byłby również efektywny.

— Ale co z tego? — przerwał poirytowany urzędnik. — Kilkaset litrów wody o których pan mówi, jest niczym w porównaniu z milionami ze Zbiornika Claerwen. To przecież kropla w morzu.

— Jeszcze nie skończyłem - Blythe zapragnął przyłożyć swemu rozmówcy zaciśniętą pięścią w twarz. — To prawda, nie kontrolowaliśmy naszego preparatu odnośnie

tak wielkiej ilości wody, lecz jego skuteczności nie można przecenić. Posiada on pewne — szczególne — właściwości fizyczne. Oto przykład: w instrukcjach umieszczonych na opakowaniach i pojemnikach pisaliśmy, że należy dokładnie rozmieszać Weedspray z wodą. Wsypany bowiem do konewki granulatu, rozpuszcza się powoli, a preparat płynny pozostaje gęsty aż do momentu miksacji. Mamy zatem do czynienia z pływającą w zbiorniku, SKONCENTROWANĄ TRUCIZNĄ. Oczyszczanie Claerwen może potrwać kilka tygodni, a nie wiemy nawet jak się do tego zabrać.

— Hmm — urzędnicy spojrzeli po sobie. Po ich apatii nie było już śladu.

— Co więcej — Blythe starał się wykorzystać swoją przewagę, świadomy tego, że podważył naiwny optymizm rozmówców. — Nie wolno nam zapominać, że Weedspray podziała teraz na istoty ludzkie.

— Gazety pisały niedawno o chłopcu, który... — doszło spoza grubych soczewek.

— Ten wypadek ~ odparł Blythe, z wysiłkiem powstrzymując grymas niechęci — częściowo zademonstrował zabójcze właściwości Weedsprayu. Chłopiec zmarł szybko, nie cierpiał zbyt długo. Ostatnio testowaliśmy zwierzęta...

Wrogie spojrzenia urzędników. Blythe spuścił na moment wzrok, a zmieszany Broadhurst zaszczał krzesłem. Wyjawiano tajemnice firmy. Nieznane dotąd fakty łączyły się, nabierając mocy potężnej, górskiej lawiny. Śmierć dziecka wywołała głosy oburzenia, lecz dręczycielom zwierząt groził samosąd ze strony rozhisteryzowanego tłumu.

— Zwierzęta, panie Blythe? Myszy, szczury?

To nie twój zasrany interes. Jakże do diabła ma to znaczenie? — pomyślał Blythe i odetchnął głęboko, aby pohamować wściekłość.

— Tak, między innymi — odrzekł wreszcie. Głos jego zadrżał, miał nadzieję, niezauważalnie. - Gryzonie mają

jednak zbyt małą masę ciała. Badano również konie przeznaczone na rzeź. I tak czekała je śmierć.

Zapadła ponura cisza.

Okrutne. — Pięć nienawistnych spojrzeń.

— Nie mieliśmy innego wyjścia. — Blythe wiedział, że sytuacja jest napięta. Był sam przeciwko wszystkim. Broadhurst z pewnością zwymyśla go za nielojalność wobec Weedspray Limited. Czuł jednak, że musi powiedzieć całą prawdę. Nie może upiększać faktów. Preparat był śmiertelnie niebezpieczny, a przedstawiciele Wydziału Wodnego nie chcieli tego pojąć! To pewne, że jeszcze tego dnia któryś z nich złoży stosowny raport w placówce Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. A to oznacza kolejne śledztwo. I coś dla wścibskich łowców sensacji.

— Jakie były wyniki tych waszych badań?

— Zróżnicowane. W zależności od wieku, kondycji fizycznej oraz wagi koni. Małe i chore padały szybko.

— Czy oszalały, jak dziecko Larkinów?

— Tak. Piana na chrapach, obłęd i śmierć.

— Rozumiem... a te silniejsze?

— Przez pierwsze dwa dni zachowywały się w miarę normalnie. Później jednak wystąpił u wszystkich koni, z wyjątkiem najbardziej cierpiących, szczególny objaw: nienaturalnie wielkie pragnienie. Wypijały olbrzymią ilość wody. Niektóre zdechły wskutek drastycznego przepętnienia żołądka, zanim trucizna zebrała swe żniwo. Pragnienie, szaleństwo i zgon. Najbardziej wytrzymałe przeżyły zaledwie tydzień. A podano im MINIMALNĄ dawkę.

Cisza. Mężczyźni znowu spojrzeli po sobie, zrozumieli, że sytuacja jest poważna. Blythe unikał wzroku Broadhursta. Wiedział, że szykuje się ostra reprimenda, lecz nie żałował swych słów. Ujawnił fakty, które nie mogły być dłużej tajemnicą.

— Pańska relacja rzuca nowe światło na sprawę tego wypadku — rzekł siedzący pośrodku urzędnik, poprawia-

jąc grube okulary. Krople potu pojawiły się na jego czole i zajaśniały w ostrym blasku jarzeniówek. — W interesie bezpieczeństwa publicznego musimy zrobić wszystko, aby zapobiec katastrofie. Częściowo rozpuszczony, śmiertelnie trujący środek chwastobójczy dryfuje w zbiorniku Claerwen. Gdy dostanie się do rur wodociągowych, popłynie wprost do Birmingham. Nie jesteśmy w stanie obliczyć, jak długo to będzie trwało, lecz już teraz należy przedsięwziąć radykalne środki zaradcze. Kto ma jakieś pomysły?

— Może zamontować dodatkowe filtry? — rzekł niepewnie łysawy mężczyzna, siedzący na skraju pulpitu. Wiedział, że jego projekt zostanie odrzucony, ale czuł się moralnie zobowiązany, aby coś zaproponować.

— Filtry zatrzymają jedynie obiekty posiadające strukturę ciał stałych — ostro odparł szef. — A poza tym, czas nagli! Preparat może być już w drodze do Birmingham.

— Trzeba natychmiast odciąć dopływ wody z Claerwen — rzekł Ken Broadhurst. — Zasilić miasto z innego źródła.

— Całkowicie niewykonalne. Miliony mieszkańców korzystają z rezerwuaru, ktoś już mógł wypić truciznę. Nie ma zresztą żadnych dodatkowych ujęć, a dowóz wody do Birmingham jest niemożliwy. Co więcej — urzędnik Straży Wodnej nerwowo wciskał tam i z powrotem wkład długopisu — przypomnijcie sobie, panowie, że mieliśmy tego roku bardzo gorące lato. W ciągu kilku tygodni suszy poziom wody obniżył się o parę metrów w stosunku do normalnego stanu. Przytoczę tu przykład pana... pana Blythe'a. Opakowanie granulatu wystarcza na dziesięć litrów wody w konewce. Mamy zatem ekwiwalent tego opakowania, lecz o wiele bardziej stężony. Innymi słowy, jeśli preparat rozpuści się w zbiorniku, to dotrze do Birmingham w postaci bardzo silnej trucizny.



Siedmiu mężczyzn nie miało nagle nic do powiedzenia.

— Stanęliśmy w obliczu bezprecedensowej sytuacji — szef Straży Wodnej wciąż bawił się długopisem. — Sądzę, że decyzja nie należy do nas. To sprawa komisji rządowej. Niestety, mass media zostały już powiadomione. Możemy oczekiwać przesadzonych doniesień, lecz niewykluczone, że dziennikarze będą w stanie przewidzieć rozmiary kłęski. Po edycji jutrzejszych gazet miasto ogarnie panika. Pojawią się pytania, na które nie znamy odpowiedzi.

Broadhurst wstał. — Gdy będziecie mnie potrzebować, zadzwonie do biura. Lecz, na miłość Boską, należy ostrzec ludzi, nawet jeśli ma to wywołać panikę. Nie możemy dopuścić, aby pili truciznę.

— O tym zadecyduje komisja rządowa, która również ustali winnych tego wypadku i...

— W porządku — przerwał Ken zwracając się ku wyjściu. (Blythe podążył za nim). — Wiem doskonale, że to nasz produkt spowodował tragedię, lecz teraz musimy zrobić wszystko, aby nie dopuścić do śmierci tysięcy mieszkańców Birmingham.

Obaj mężczyźni wyszli na zatłoczoną ulicę, Broadhurst był siny z wściekłości.

— Ty zawszona, niewyparzona gębo — warknął zwróciwszy się do Blythe'a. — Po co im to wszystko powiedziałaś? O, Chryste! Najpierw przyjadą z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Potem z Wydziału Kontroli Handlu. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego sprzedawaliśmy nasz preparat w opakowaniach dawkujących truciznę cztery razy silniejszą, niż potrzeba. Polecą kilka głów. Twoja także.

— Masz rację — przyznał Blythe. — Wszyscy jesteście winni. Ty, ja i ten kierowca, Timberley. W prasie pojawiają się oskarżenia. A jeśli ktokolwiek umrze w wyniku spożycia zatrutej wody, będziemy mieć to na sumieniu

przez resztę życia... O ile nie zlinczują nas, jako morderców, rozszalałe tłumy.

— Zatrzymaj się w Birmingham, Ron. Wkrótce chciałbym się z tobą ponownie zobaczyć.

— Odwiedzę brata w Erdington. Zatelefonuj tam w razie potrzeby.

Ron Blythe podszedł do zaparkowanego samochodu. Był coraz bardziej przygnębiony. Na spotkaniu z przedstawicielami Wydziału Wodnego nie powiedział przecież wszystkiego. Ten koń na przykład. Został spryskany Weedsprayem i w kilka dni później na jego skórze pojawiły się rozległe zrakowacenia. Zwierzę pożerało te wrzody, wrywając zębami własne mięso — śmierć za życia. A gdy, zapaliwszy kiedyś papierosa, wrzucił tłącą się jeszcze zapalkę do zbiornika z rozcieńczonym preparatem, substancja poszła momentalnie z dymem. Na pojemnikach było ostrzeżenie: UWAGA, ŚRODEK ŁATWO PALNY. CHRONIĆ PRZED OTWARTYM PŁOMIENIEM!

Miasto było w niebezpieczeństwie. W każdej chwili z domowych kranów trysnąć mógł ogień, niosący spustoszenie, a wraz z nim choroby i straszliwą śmierć.

### Rozdział III

Paul Pritchard nie mógł zapomnieć tej podwodnej sceny. Koszmarne sny budziły go w ciągu nocy, a lepka od potu pidżama przyłgnęła do ciała.

Ponownie ujrzał trupa, tym razem bardzo wyraźnie. Makabryczne szczegóły ukazały się jego oczom w ciemnościach małej sypialni: połamane ręce i nogi leżały poskręcane w nienaturalnych pozycjach, głowa odrzucona do tyłu, rysy twarzy zastygłe w śmiertelnym przerażeniu. Nieruchome, zamarłe źrenice wciąż odbijały grozę ostatnich chwil. I coś jeszcze: szeroko otwarte usta, jakby chciały kogoś ostrzec przed wielkim niebezpieczeństwem.

Pritchard widział ten obraz w momencie nagłego przebudzenia. Bolała go głowa, wargi miał suche i spękane. Poprawił poduszkę i odwrócił się plecami do żony, która spokojnie spała obok. Do diabła, nie mógł zasnąć! To było niezrozumiałe. Widok zwłok osób dorosłych nigdy go przecież nie przerażał. Należy chyba skończyć z nurkowaniem. A przynajmniej stanowczo odmawiać prośbom o pomoc w poszukiwaniach ludzi zaginionych pod wodą. Nadinspektor Williams uważał, że to takie proste: człowiek-żaba, który zjawia się na każde zawołanie i nawet nie chce pieniędzy.

A ta dziewczynka w ubiegłym roku? Przygnębiła go na całe tygodnie. Była prześlicznym dzieckiem, najpiękniejszym jakie mieszkało w Rhayader. Kilka dni po jej zaginięciu Williams postanowił przeszukać sadzawkę. Miejscowi farmerzy wykopali przed laty tę dziurę i umieścili tam poidła dla krów. Cholernie niebezpieczne, zaledwie pięć metrów od ścieżki. Pritchard nie mógł pojąć, dlacze-

go nie postawiono ogrodzenia, choć należy to przecież do obowiązków policji.

Znalazł ją przy pierwszym zanurzeniu. Okropność! Jej ciało leżało na dnie, ukryte pomiędzy brunatnymi algami, wplątane w sieć wodorostów. Siedziały w niej szczury i jakieś ohydne robactwo, a z wyjedzonej do połowy twarzy wypłynęły tłuste węgorze.

Wyciągnął ją. Wisiała bezwładnie na jego ramionach, jak upiorna kukła, makabryczna lalka. Ludzie krzyczeli z przerażenia.

Lecz ten Timberley wyglądał jeszcze gorzej. Pritchard nie widział przedtem takiego ciała. Uwięziony w potrząskanej kabinie mężczyzna starał się wydostać z pułapki, nie mógł jednak poruszać połamanymi członkami. Pritchard zdał sobie nagle sprawę z tego, co było najbardziej wstrząsające: wyraz twarzy Timberleya; jego poczucie winy i świadomość wszystkich konsekwencji wypadku. Kierowca w ostatnim momencie życia uzmysłowił sobie, iż wylał tysiące litrów środka chwastobójczego do zbiornika wody pitnej.

O Chryste! Pritchard usiadł gwałtownie na łóżku, poruszony nową myślą: ON TAM BYŁ! W skażonym preparatem rezerwuarze.

Próbował się uspokoić. Miał przecież na sobie ochronny kombinezon, co uniemożliwiało bezpośrednią styczność z trucizną. Najwyżej kilka kropli, gdy się przebierał.

— Co się stało? — spytała sennie żona. — Nie możesz spać?

— Chyba jestem niezdrowo przemęczony — odpowiedział Paul. Spojrzał na świetlistą tarczę stojącego na nocnym stoliku budzika. Piąta czterdzieści pięć. Za godzinę trzeba wstawać do pracy. Rutynowe zajęcia są najlepszym lekarstwem na stany depresji, pomyślał Pritchard. Robić dokładnie to, co każdego dnia. O siódmej trzydzieści na farmie: przegląd owiec, dojenie krów, zwożenie siana z

pola. A gdy przyjdą gliny z prośbą o wyłowienie topielca, to powie im, żeby się wypchali. Miał nadzieję, że, przyjdą; będzie to dla niego zabawne, gdy wrzaśnie: wynoście się stąd z tym swoim interesem!

Poczuł silny, ból głowy. Wstając z łóżka, aby wyłączyć brzęczący budzik, zachwiał się niepewnie na nogach. To skutek bezsennej nocy, pomyślał, albo kac po wczorajszym piwie. Było jakieś mętne i o trzy kufle więcej niż zwykle. Potrzebował tego.

Pritchard zszedł na dół i nastawił czajnik. Początek zwykłego dnia; filiżanka herbaty dla Ruth, a potem śniadanie. Nałożył roboczy kombinezon i chciał przygotować sobie posiłek, lecz zemdlilo go na samą myśl o jedzeniu. Hm, nie przypominał sobie, kiedy ostatnio wychodził do pracy o pustym żołądku. Boczek, grzanki i trzy jajka stanowiły rytualny posiłek, jedną z codziennych przyjemności jego życia. Drugą było piwo.

Paul zaniósł żonie herbatę do łóżka, lecz Ruth wymieściła ją tylko i powiedziała, że wypije później. Herbata! Pritchard wrócił do kuchni, nalał sobie pełną szklankę i wychylił duszkiem nie zważając, że jest gorąca. Wspaniała, o wiele lepsza od piwa, lecz nie ugasiła pragnienia. Po raz drugi postawił czajnik na gazie. Paul był jednak tak spragniony, iż nie mógł czekać na wrzącą wodę. Podstawił naczynie pod otwarty zimny kran i pijąc szklankę po szklance, wlał w siebie co najmniej dwa litry płynu.

Głowa przestała mu wreszcie ciążyć. Czas iść. Na świeżym powietrzu na pewno poczuje się lepiej.

Nałożył buty i wyszedł na podwórko. Powitał go chłodny, rześki poranek, taki, który skutecznie leczy wszelkie dolegliwości. Do pracy chodził piechotą, dwa kilometry polnymi ścieżkami. Dziś jednak nie miał chęci na spacer. Dopiero po chwili, pokonując zmęczenie, Powoli minął furtkę i wyruszył na farmę.

Wtem poczuł pieczenie w okolicy brzucha, rodzaj bo-

leśnego swędzenia, z którego nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Podrapał się przez ubranie. Chyba jakaś alergja, uczulenie na gumę skafandra. To ten nowy kombinezon, pomyślał Paul, nie będę go więcej używał, nawet gdyby zaginęli wszyscy mieszkańcy Rhayader!

Po lewej stronie szumiał Zbiornik Claerwen, ukryty teraz w oparach gęstej jesiennej mgły. Paul spazmatycznie zadrżał na myśl o zimnej wodzie. To dziwne, nigdy nie bał się chłodu, w młodości zażywał nawet kąpeli podczas zimowyci miesięcy. Starzeję się, rzekł do siebie, choć mam dopiero trzydzieści siedem lat.

Podrapał się znowu, tym razem bardzo gwałtownie, lecz nie doznał spodziewanej ulgi. Przystanął, wyciągnął ze spodni grubą, wełnianą bluzę i podwinąwszy ją spojrział na nagą skórę brzucha.

— Do diabła! — rzekł głośno Pritchard, krzywiąc się ze wstrętem na widok tego, co zobaczył.

Jego opalone ciało było nie do poznania: setki ciemnoczerwonych punkcików, cała masa wrzodów, z których sączyła się gęsta, żółtawa ciecz. Poczul odrażającą woń, przypominającą odór wymiocin zmieszanych z uryną.

Paul Pritchard nie wierzył własnym oczom. Jak to się stało? Podbrzusze zmieniło się w rozjątrzoną ranę. Czytał kiedyś w gazecie artykuł na temat trądu, lecz przecież w Wielkiej Brytanii nikt już od wieków na to nie chorował.

Paul oparł się plecami o głogowy żywopłot, nie czując nawet ukłuć ostrych jak szpilki cierni. Miał zawroty głowy i pomyślał, że za moment straci przytomność. Po chwili sensacje minęły, ale nadal silnie go mdliło. Pochylił się do przodu - chciał zwymiotować, lecz zwrócił jedynie rozrzedzone płyny: herbatę i wodę.

Próbował się zastanowić, co powinien w tej sytuacji uczynić. Należało iść do lekarza, ale Paul lękał się, że zrobią mu coś strasznego. Czul paniczny strach przed szpita-

lem od czasu, kiedy w dzieciństwie wycinano mu wyrostek. Wolał raczej umrzeć, niż wrócić do tamtej, białej sali. Może lepiej nie wiedzieć, co to za choroba...

Bez wątpienia rak. Rośnie nieprawdopodobnie szybko. Władze przemilczały wcześniejsze przypadki, aby nie alarmować opinii publicznej.

Z przerażeniem spojrzął ponownie w dół. Swędzenie było nie do wytrzymania, toteż musiał się mocno i głęboko drapać! Żółtawa wydzielina przybrała purpurowy odcień.

Wtem napiął mięśnie. Ktoś szedł w dół konnej ścieżki; ciężkie buty plaskały w miękkim błocie.

Pritchard skulił się ze strachu, a serce zabiło mu mocniej. Obok wiszących w oddali gałęzi ostrokrzewu dostrzegł nogi zbliżającego się mężczyzny. Skórzane buty, getry do kolan. Pritchard poczuł chwilową ulgę; to tylko Ormerod, stary robotnik, pracujący na tej samej farmie, co on. Paul przerażony własnym stanem nie chciał jednak nikogo widzieć.

— Co tak późno, panie Pritchard? — spytał Ormerod. Był krępy, niskiego wzrostu, a kosmyki tłustych włosów wystawały mu spod wytartego kapelusza ze świńskiej skóry. Jego bystro patrzące, ruchliwe oczy wyglądały dużo młodziej od pomarszczonej cery.

— Zaspałem.

— Niedobrze, panie Pritchard, niedobrze. A czemu wasza bluza tak wisi?

Pritchard zamarł. Pociemniało mu w oczach. Lęk zmienił się we wściekłość.

— Pilnuj dziadku swych własnych interesów — syknął przez zaciśnięte zęby.

Ormerod stał osłupiały, nie wierząc własnym uszom. Nie spodziewał się tak ostrej odpowiedzi ze strony zazwyczaj dobrodusznego Paula.

— Przepraszam cię, chłopie, ja...

— Jeśli podoba mi się nosić bluzę na zewnątrz spodni, to moja sprawa!

Nagły poryw wiatru uderzył w gałęzie drzew i krzewów; brunatne konary zafalowały, lecz korzenie solidnie trzymały się w ziemi. Ormerod podniósł rękę do kapelusza, ale wciąż spoglądał na trzepoczącą, kolorową bluzę Pritcharda. Gwałtowna bryza uchyliła ją nieco i odsłoniła brzuch Paula. Ormerod ujrzał popękane wrzody; podobne były do glinianych modeli wulkanów — tryskały lawą, która spływała na zaczerwienione ciało i krzepła na pasku od spodni.

— Coś ty... coś ty sobie zrobił? — Ormerod cofnąwszy się o krok wskazał na rozjątrzone miejsca drżącym, kościstym pakem.

Pritcharda załała niepohamowana wściekłość. Swędzenie ustało, lecz jego miejsce zajął ostry, przenikliwy ból, jak gdyby rozżarzone do białości igły wbijały się mu w podbrzusze. Potworna męka. Stary człowiek spoglądał na niego szyderczo, śmiejąc się z jego cierpienia. Być może nawet to on je spowodował!

Pritchard skoczył do przodu, rycząc z bólu i nienawiści. Wielka pięść uderzyła Ormeroda w twarz. Starzec upadł na ziemię; miał pogruchotany nos i wybite przednie, brązowe od nikotyny zęby. Spomiędzy jego rozchylnych warg spłynęła ciemnoczerwona krew. Powalony Ormerod spojrział ze strachem na stojącego nad nim szaleńca. Chciał coś mówić, błagać, lecz wydał jedynie chrapliwe rżenie.

Pritchard odciągnął w tył twardo obutą stopę. Ormerod ujrzał na co się zanos i próbował ukryć głowę w ramionach. Chrupnęły kości. Łokieć i palce zostały strzaskane w chwili, gdy starały się ochronić czaszkę przed potężnym kopnięciem. Impet uderzenia spowodował jednak pęknięcie karku.

Ten niedawno krzepki i silny siedemdziesięcioletni



człowiek spoczywał teraz bezwładnie w jesiennym błocie. Szeroko otwarte oczy martwo patrzyły w niebo.

Zaślepiiony szalem Pritchard wciąż kopał leżące zwłoki. Każdy cios zakończony metalową płytką buta rozciął ciało Ormeroda i łamał, mu kości. Pritchard podeptał trupa na miążgę. Podarte ubranie starca było całe we krwi, a woda w kałużach zabarwiła się na czerwono.

Paul przestał wreszcie, ciężko dysząc z wysiłku. Spojrzał w dół na rezultat swej rzezi; postać Ormeroda była nie do poznania. Pritchard nie czuł jednak żadnych wyrzutów sumienia. Tylko ból, ból pozbawiający go wszelkich skrupułów, zmieniający w dzikie, bezmyślne zwierzę.

Miał wrażenie, że każdy jest jego wrogiem. To oni uczynili mu krzywdę! Należało uciekać, ukryć się, aby przeżyć.

To dziwne, słabość zniknęła bez śladu. Pospiesznie usunął zmasakrowane pozostałości swej ofiary ze ścieżki i wrzucił je do porośniętego wrzosami, płytkiego kanału odpływowego.

Zastanawiał się nad swoim następnym krokiem. Nie wiedział, gdzie jest, nie pamiętał, po co tu przyszedł. Instynktownie odgadł, że w oddali, po lewej stronie znajduje się woda. Po prawej zaś bezkresne hektary ciemnozielonych, jodłowych lasów, które obiecywały dać ciepło, schronienie i azyl.

Zwrócił się jednak ku jezioru. Szedł pochylony, powłócząc nogami, wzdłuż szarych żywopłotów. Paliła go twarz. Dotknął jej, a spojrzawszy w chwilę potem na swój palec spostrzegł, że jest on pokryty gęstą, żółtą ropą — wydzieliną nabrzmiałych warg i opuchniętego języka.

— Wody! — Pritchard poczuł nieopisane pragnienie.

Brutalne morderstwo poszło w niepamięć.

Członkowie Gangu z Rhayader od kilku lat bezprawnie łowili ryby w Zbiorniku Claerwen. Zaczynali o świecie,

aby po chwili zniknąć z łupem w postaci kilku pstrągów. Najstarszy z nich miał zaledwie dwadzieścia lat. Gdyby mieszkali w pobliżu jakiejś metropolii, w centrum kraju, zadawalaliby się robieniem burd na meczach piłki nożnej, dając w ten sposób wyraz swym agresywnym skłonnościom.

Tutaj jednak, w Walii, ich popędliwe natury musiały szukać prowincjonalnych rozrywek. Nie unikali awantur; dwukrotnie pobili załogi policyjnych łodzi patrolowych i zawsze udawało im się zbiec.

Na brzeg Zbiornika Claerwen przybywali wczesnym rankiem. Mieli na sobie długie aż do kostek, nieprzemakalne płaszcze przeciwdeszczowe, a pod nimi skórzane kurtki z emblematami trupiej czaszki oraz brudne, połatane dzinsy. Długie, skłębione włosy opadały im luźno na ramiona, na hardych obliczach widniały głębokie blizny — pamiątki po motocyklowych wypadkach. Te społeczne męty były plagą Rhayader. Szczególnie zaś jeden z nich: Maldwyn Evans.

Idąc tego dnia w stronę rezerwaru, Maldwyn nerwowo zagryzał wargi. Był trochę zaniepokojony. Być może, myślał, po ostatnich wydarzeniach należy nie zbliżać się do jeziora. Lecz właściwie dlaczego? Pieprzyć policję i patrolę! Wypadek pochłonął ich uwagę na tyle, że z pewnością zapomnieli o kłusownikach.

Każdy członek gangu niósł ze sobą harpun domowej roboty, składający się z jesionowego drzewca i stalowego trójzębu. Ta broń, użyta należycie, była niezwykle skuteczna. A Gang z Rhayader miał już sporą wprawę. Żerujące przy brzegu pstrągi musiały błyskawicznie uciekać, jeśli chciały uniknąć okrutnej śmierci przez nadzianie na ostrze.

— Wkrótce będzie jasno — szepnął jeden z nich.

— Zamknij się — warknął Mai. — Nie gadać, bo stłukę pysk.

Pozostali umilkli. Ich przywódca nie rzucał słów na wiatr.

Światło powoli. Ciemność ustąpiła miejsca szarówce, a blade światło dnia podniosło z wilgotnej ziemi opary gęstej mgły.

— Pieprzone listopadowe mleko — zachrypiał Reuben Lewis.

— Co takiego? — spojrzał spod oka Mai Evans. — O to nam właśnie chodzi. Nie dostrzegą nas zasrane patrole. A jeśli nawet, to będą mieć pecha, gdy podpłyną zbyt blisko nas.

Ruszyli do przodu z pochylonym nieco- Evansem na czele, który co parę chwil zatrzymywał się nasłuchując. Spokój. Jedynie gdzieś w górze, na stromych zboczach pobliskich wzniesień szumiały poruszane wiatrem drzewa. W kotlinie zaś panowała cisza.

Poprzez mgłę ujrzeli wodę, lecz stało się z nią coś dziwnego. Zawsze była czysta i nie zmacona, a przy brzegu falowały niewielkie kępy wodorostów. Tymczasem teraz na jej powierzchni unosiło się mnóstwo szarozielonych, śniętych ryb.

— O Boże! — krzyknął Mai. — Popatrzcie na to!

Wśród gęstych oparów zbiornik przypominał gigantyczną gliniankę ze stojącą wodą, groteskowe śmietnisko dla okolicznych mieszkańców.

— Co tu... Co tu się stało? — wyjąkał Reuben Lewis.

— Pstrągi — Evans wskazał zamaszystym gestem na rezerwar. — Brązowe i tęczowe. Setki. Tysiące. Po prostu leżą martwe.

— A dlaczego?

— Dlaczego? Kłusownicy! Bezprawne połowy na wielką skalę. Czytałem o tym kiedyś. Używają materiałów wybuchowych i mordują wszystkie ryby w jeziorze.

— Lecz czemu ich nie pozbierali?

— Zbyt dużo. Aby je przetransportować potrzebny

byłby konwój ciężarówek. Do tego jeszcze robota z wyławianiem na brzeg. Tym razem przesadzili z ilością dynamitu. Pewnie amatorzy. A gdy zdali sobie sprawę z tego, co narobili, wystraszyli się i uciekli.

— Ale... nie ma w pobliżu żadnych łodzi patrolowych.

— I bardzo dobrze! Te wszystkie pstrągi czekają tylko na to, aby je stąd zabrać.

— O Boże! Chyba nie zamierzasz?...

— Stul pysk! W godzinę możemy mieć tyle ryb, co przez cały sezon łowienia.

— A jak ktoś przyjdzie i oskarży nas o spowodowanie wybuchu?

— Słuchajcie, gnojki — Mai zwrócił się do swoich kumpli. Jego szorstkie rysy wyrażały lekceważenie i pogardę. — Zostajemy tutaj. Należy wykorzystać nadarżającą się okazję, a jeśli któryś z was tchórzy, niech natychmiast spieprza! Reszta pozbiera dryfujące przy brzegu pstrągi.

Zakłopotani chłopcy umilkli. Tego się przecież nie robi, to nienaturalne. Łowili ryby harpunem, a potem w nogi. Kłusownictwo dla draki. Teraz było całkiem inaczej: pstrągi leżały martwe. Można je sprzedać i sporo zarobić. Ale właściwie po co?

— No, decydujcie się.

— Dobrze, dobrze — Roddy Price skinął głową wiedząc, że czyni to w imieniu wszystkich. — Bierzemy ryby i wiemy.

— Nie tak prędko, mamy tylko jedną torbę, nigdy przedtem nie potrzebowaliśmy więcej. Dick, pędź do domu i poszukaj w stodole swojego starego kilku plastikowych worków po nawozie. Natychmiast przynieś je tutaj.

Po chwili najmłodszy członek Gangu biegł już w stronę Rhayader. Przez moment poczuł ulgę; było w tym interesie coś niedobrego. Brnąc poprzez mgłę Dick postano-

wił, iż nie wróci do swoich kolegów; taka przelotna myśl. Zadrżał, gdy uświadomił sobie, że jednak musi wrócić nad jezioro. Inaczej Wielki Mai znajdzie go, a wtedy kawał łańcucha albo drąga w jakimś odludnym miejscu... Dick Llewellyn przyspieszył kroku. Wiedział, że nie tylko on boi się tego sukinsyna.

— Wybierzcie ryby na brzeg — warknął Evans, stojąc w wysokich gumowych butach po kolana w wodzie. — Poukładajcie je w stosy, aby po powrocie Dicka powrzucić to wszystko do worków. Pracujcie możliwie najciszej. Jeśli mgła utrzyma się jeszcze przez godzinę...

Czterej młodzi ludzie chwyтали śliskie pstrągi i rzucali je na trawę. Żadnych ran od harpuna, które obniżają cenę połowu. Ryby były jednak dziwnie matowe. Pstrąg tęczy nie iskrzył się ani nie błyszczał jak zazwyczaj, gdy wyciągnano go z wody. Ale kto się tym martwił?

— Gdzie jest ten cholerny Dick? — ostry szept Mała zakłócił ciszę. — Poszedł pół godziny temu, a do domu ma zaledwie dziesięć minut. Jeśli zaraz nie wróci, słońce rozproszy mgłę.

Promienie słoneczne stopniowo przedzierały się przez mętne, wilgotne opary. Białe obłoki zrzedły, pozwalając światłu odbić się od wody oraz od setek martwych ryb, które pływały po jeziorze. Zbocza wzniesień były już czyste, co zapowiadało doskonałą pogodę.

— Słyszycie?

Wszyscy znieruchomieli. Gdzieś wysoko, w górskim lesie zaskrzeczał myszołów. Kruk odpowiadał mu chrapliwym wrzaskiem, dając wyraz swemu niezadowoleniu z obecności tego królewskiego ptaka. Dwaj śmiertelni wrogowie, tolerowali się jednak nawzajem. Jakiś samochód jechał z warkotem szosą. Kierowca często zmieniał biegi i zwalniał na zakrętach. Pewnie zaciekawili go zniszczone i tymczasowo zreperowane barierki. Może nawet znał całą historię.

Chłopcy nadstawili uszu.

— Nic — odetchnął Reuben.

— Słuchaj uważnie, idioto.

Kroki. Ciężkie, rytmiczne stąpanie i chlupot błota. Ktoś szedł w ich kierunku.

— To Dick z workami — szepnął Vic Jones.

— Wykluczone. Raczej jakiś pieprzony hipopotam, człapiący do swego bajora. — Mai zmarszczył brwi. Wyszedł na brzeg i sięgnął po harpun. — Cisza! Na wszelki wypadek. Jeśli to patrol, nie muszę chyba mówić, co macie robić.

Czekali w napięciu. Trzech z nich w wodzie, a jeden na trawie. Nieruchomo i bez słów. Odgłosy kroków były coraz wyraźniejsze. Dało się słyszeć charczenie, jakby ktoś ciężko łapał powietrze.

Postać Powoli wyłaniała się z mgły: pochylona sylwetka mężczyzny. Wyglądał obskurnie i słańiał się na nogach. Jego twarz była nie do rozpoznania pod ropiejącymi wrzodami. Dyszał niespokojnie, pokryte ranami usta wydawały zwierzęce odgłosy, a wylupiate oczy patrzyły dziko przed siebie. Miał na sobie jedynie postrzępione resztki kolorowej bluzy.

— Na miłość Boską!

Wszyscy czterej stanęli jak wryci, zaskoczeni niesamowitym widokiem. Co za widmo! Obląkany mężczyzna ujrawszy ich przystanął, oblizując opuchniętym językiem krwawiące wargi. Zdziwienie, a potem nienawiść pojawiły się w jego oczach.

Przybysz skoczył do przodu z zaciśniętymi pięściami. Chciał uderzyć Evansa, lecz potknął się i o mało nie upadł. Dzieliły ich teraz jedynie dwa metry.

Strach przyspieszył reakcję Mała. Jego oszołomiony umysł nie był w stanie pojąć, co się dzieje, rozumiał jednak, iż grozi mu niebezpieczeństwo i należy szybko, i sku-

tecznie działać. Odrzucił do tyłu trzymającą harpun rękę, zamierzył się i uderzył prosto w swego przeciwnika.

Stalowe haki błysnęły w świetle wschodzącego słońca i wbiły się w gardło szaleńca, przekłuwając mu krtań. Mężczyzna wyprężył się, balansował przez moment na pakach stóp, a potem przechylił do tyłu. Nie upadł jednak, nabity na harpun Evansa, wciąż kurczowo ściskającego drzewce w dłoni.

Śmiertelnie zraniony rozczapierzył palce i desperacko zamachał rękami. Nieartykułowane dźwięki dobyły się z jego ust, coś w rodzaju bulgotu, jaki wydaje tonący człowiek. Pritchard naprawdę tonął: w powodzi krwi, która buchała z przeciętej tętnicy szyjnej.

Purpurowa krew trysnęła też na Maldwyna Evansa. Chłopak odwrócił głowę i zwymiotował na swą marynarkę. Nie poczuł jednak ulgi. Pragnął puścić harpun, lecz nie był w stanie się poruszyć. Obaj mężczyźni, żywy i umierający, patrzyli na siebie, zastygli pośród krwi, wymiocin i śmierci.

Trup Pritcharda upadł wreszcie na ziemię, wrywając purpurowe drzewce z rąk młodego zabójcy. Paul leżał teraz w błocie, znajdując wytchnienie po wielogodzinnych cierpieniach. Mocno wbity harpun sterczał pionowo z jego szyi.

— Cholera!

Roddy Price, Vili Jones i Reuben Lewis stali nieruchomo na brzegu, patrząc na zwłoki. Wartki potok krwi, płynący z podciętego gardła zmienił się w niewielki strumyczek. Widok był przerażający. Dopiero po dłuższej chwili udało im się trzeźwo ocenić sytuację.

— Wiejmy stąd — rzekł Mai Evans. Przechodząc obok ciała, odwrócił ze wstrętem głowę. Pozostali udali się za nim.

Oszołomieni chłopcy torowali sobie drogę poprzez

rzędzące opary. Wszyscy czterej odczuwali wywołane lękiem mdłości.

Po kilkunastu minutach wyszli na oświetloną słońcem łąkę i znaleźli się pośród stada owiec.

— A to co takiego? — Roddy Price wskazał przed siebie drżącym palcem.

Spojrzeni w tym kierunku. Jakiś kształt leżał na ścieżce dla bydła, mniej więcej trzydzieści metrów przed nimi: martwy człowiek, ubrany w dżinsy i czarną, nieprzemakalną kurtkę. Głowę miał nienaturalnie wykręconą do tyłu. Długie, kasztanowe włosy opadały mu na twarz, lecz wszyscy bez trudu rozpoznali Dicka Llewellyna.

Podeszli ostrożnie do ciała i stanęli przy nim jak najbliżej siebie. Maldwyn Evans nie był już wspaiałym przywódcą, który zagrzewał ich wszystkich do awantur, nawoływał do wandalizmu i bójek. Na drodze stało teraz czterech przerażonych chłopców, którzy zaczęli płakać ze strachu.

— To Dick!

— Co to... Co to ma znaczyć?

Nikt nie odpowiedział.

Rześka bryza rozproszyła pozostałości porannej mgły. Rozwiała też włosy Dicka, podnosząc do góry ciemnobrązowe kosmyki i chłopcy ujrzeli wówczas martwe oczy swojego kolegi. Kołnierzyk jego bluzki został zdarty ze skrzyżowanego karku, a wszędzie wokoło trupa porozrzucone były puste, polietylenowe worki.

— Ktoś... ktoś go zabił — wykrztusił wreszcie Vic Jones, stwierdzając rzecz oczywistą.

— No pewnie! — odrzekł Evans. — Ten goły szaleńiec.

— Ale kto to był?

— To... Paul Pritchard. Nurek. Nie mam pojęcia, co mu się stało. Wyglądał, jakby miał raka.



— I co teraz? — spytał Reuben. — Musimy zawiadomić policję.

— Stul pysk! — Mai odwrócił się do Reubena, a zostali zauważyli, że twarz mu pobraźła. — Nie mówmy nic glinom, to tylko pogorszy sprawę. Musimy stąd jak najszybciej uciekać, aby nikt nie skojarzył nas z tymi wypadkami. Przysięgniemy, że nic nie widzieliśmy. Niech myślą, że to nasz kumpel załatwił Pritcharda. Podnieś jego broń, Reuben. Wszyscy nosimy rękawiczki, nie pozostaną zatem żadne odciski paków. Gliny dadzą się nabrać, stwierdzą, że ten wariat ma w gardle harpun Dicka. Chodźcie! Im prędzej stąd znikniemy, tym lepiej.

Było już ciemno, gdy członkowie Gangu z Rhayader przybyli na umówione spotkanie. Leśna polana, na której się zebrali, znajdowała się w odległości pięciu kilometrów od miasta. Chłopcy siedzieli okrakiem na swoich potężnych motocyklach.

Wiał lekki wiatr, a wraz z zapadnięciem zmierzchu zapanaowała niesamowita cisza. Gdzieś w głębi lasu kilkakrotnie zahuczała sowa, zapowiadając nocne łowy.

Vic Jones, Roddy Price i Reuben Lewis, spoglądali na siebie w bladym świetle gwiazd. Nie było z nimi Maldwyna Evansa. Co więcej, wiedzieli, że Mai na pewno nie przyjdzie.

— Złapali Wielkiego Mala — rzekł po raz trzeci Jones. — Gliniarze przyszli po niego przed południem. Nas także by zwinęli, gdybyśmy pozostali w mieście.

— Co, do cholery, teraz robić? — w głosie Roddy'ego pojawił się strach. — Nie możemy przecież dziko żyć w lesie. Nie możemy też nigdzie jechać. Mają nasze numery i zapewne wysłali już za nami listy gończe. Niewykluczono, że zablokowali drogi.

— Ale my nic nie zrobiliśmy! — oburzony Reuben Lewis splunął na trawę. — Nic, za wyjątkiem kilku niele-

galnych połowów. Gliny zapomną o nas zajęte tym, co się obecnie dzieje.

— Uważają nas za współwinnych morderstwa, czy jak to się tam nazywa — jęknął Jones.

— Na jakiej podstawie? Mamy przecież czyste ręce! To Mai wpakował Pritcliardowi harpun w gardło. My nawet nie doknęliśmy tego zasranego typu. Był zresztą obłąkany, wariat. Gdyby nas zaatakował, musielibyśmy się bronić.

— Wytłumacz to glinom. Przebywaliśmy wtedy na miejscu zbrodni. To im wystarczy. Poza tym, nie wiemy, co nagadał Mai.

— My też będziemy mieć coś do powiedzenia. Trzech przeciwko jednemu — Reuben oblizał spieczone wargi. — Chyba powinniśmy natychmiast oddać się w ręce policji.

— Ty idioto!

Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa. Paniczny strach narastał z szybkością gwałtownej burzy. Każdy z nich pragnął skończyć z tą nienormalną sytuacją.

Vic Jones zeskoczył ze swojego harleya, lecz gdy dotknął stopami ziemi zachwiał się niepewnie. Poczł zawroty głowy, a niebywała suchość w gardle sparaliżowała jego struny głosowe. Vic przypomniał sobie, iż nie pił tego dnia zbyt wiele.

— Jadę do baru — rzekł ledwo słyszalnym, chrapliwym głosem.

Lewis i Price spojrzeli po sobie. Obaj mieli spękane usta i również chcieli jak najszybciej ugasić palące pragnienie, które dokuczało im już od kilku godzin.

— To ryzykowne.

— Może znajdziemy tu jakiś strumień.

— Cholera! Nigdy przedtem nie ruszyliśmy się z domu bez kilku flaszek piwa! Ani za dnia, ani w nocy.

Wspólna myśl zdławiła narastającą sprzeczkę: zaspokoić pragnienie. Natychmiast!

— Chcemy pić — zacharczał Vic.

Mężczyzna patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma. Na jego pomarszczonym obliczu pojawiło się przerażenie.

— Co... wam jest? — wyszeptał. — Mielście wypadek?

Jones dotknął swej twarzy i podrapał się po policzkach. Poczul, że skóra jest wilgotna, miękka i gąbczasta. Gwałtownie cofnął rękę i spojrzął na nią zdziwiony. Palce miał pokryte gęstą, żółtą mazią, której odrażający fetor powodował mdłości.

Pozostali dwaj spojrzeli na Jonesa i zobaczyli w opuchniętej twarzy kolegi odbicie swej własnej: ropiejące wrzody, nabrzmiałe, spękane usta.

— Co to takiego? — Roddy Price cofnął się o krok.

— Co się z nami stało?

— Ten facet przy jeziorze... — Reuben nie miał siły dokończyć zdania, lecz znaczenie jego słów było aż nadto jasne. To, co dotknęło wcześniej Pritcharda, nawiedziło teraz członków Gangu z Rhayader. Zaropiała twarz, palący ból i nienasycone pragnienie.

Stary drwał skulił się ze strachu przed przybyszami. Nie miał pojęcia, kim oni są, lecz wiedział, że jego bezpieczeństwo jest zagrożone. Stał oko w oko z chuliganami, wandalami lub nawet bandytami. Jego zmęczony, oszołomiony umysł gorączkowo pracował, szukając wyjścia z sytuacji, rozważając możliwości ucieczki. Nie było żadnych.

Razem z owrzodziłą skórą, z opuchniętymi gardłami, w których niespokojnie poruszały się nabrzmiałe jabłka Adama i ze świszczącym oddechem, wnieśli ci młodzi ludzie do jego domu coś gorszego niż siebie samych: ostatnią fazę jakiejś straszliwej choroby.

Trzy pary zamglonych oczu zlustrowały izbę i dostrzegły zlew, który wisiał w sąsiedniej kuchni. Chłopcy rzucili się do kranów. Odkręciwszy gorącą i zimną wodę

podstawili zaropiałe dłonie pod lejący się strumień. Po chwili podnieśli ręce do spękanych warg i zaczęli łapczywie pić. Z gorącego kranu buchnęła nagle para. Okrzyki bólu dobieły się z gardeł trzech szaleńców, którzy przekhnając walczyli ze sobą o zimną wodę.

Vic Jones pośliznął się i upadł, uderzając głową o róg kamiennej umywalki. Chłopiec potoczył się po chłodnej podłodze i znieruchomiał. Nikt nie zauważył krwi ciekącej z rozbitej czaszki.

Woda zalewała kuchnię. Zapchana rura odpływowa spowodowała powódź, lecz Reuben i Roddy nie zwracali na to uwagi — wciąż rozpaczliwie gasili pragnienie.

Starzec wyczołgał się na zewnątrz, w ciemną noc. Obejrzawszy się nie mógł uwierzyć, że nikt go nie goni. Jego podarte kapcie zagłębiły się w miękkim błocie. Powłócząc nogami i trochę utykając począł biec.

Roddy Price i Reuben Lewis pili z przepelnionego zlewu, jak spragnione bydło. Zanurzyh twarze w wodzie, usiłując ukoić palący ból, ból wgryzający się coraz głębiej w ciało i przenikający do szpiku kości. Niestety, bezskutecznie.

Oderwali się nagle od umywalki i spojrzeli dziko na siebie. Ich mowę zastąpiły niewyraźne dźwięki, a jedynym co w nich pozostało, był zwierzęcy instynkt przetrwania. Dostrzegli w sobie wrogów i rozpoczęli walkę. Ostre, brudne paznokcie darły owrzodziałą skórę, a ropiejące ciało odchodziło płatami, zwieszając się w żółto-purpurowych pasmach.

Spłeceni ze sobą chłopcy upadli na podłogę, przygniatając stłuczoną czaszkę Vica, która pękła raz jeszcze pod ich ciężarem. Walczyli teraz w kałuży -krwi pomieszanej z wodą, ściekającą wartkim strumieniem ze zlewu. Wtem Roddy chwycił Reubena za szyję i ścisnął potężnie. Reuben zacharczał i zwymiotował, głównie wodą, lecz także jakąś żółtą wydzieliną.

Roddy dusił coraz mocniej, używając wszystkich, słabnących sił. Przekrwawione oczy Reubena zaszyły wreszcie mgłą i po chwili skołał.

Morderca zwolnił ucisk, ciało ofiary bezwładnie opadło na posadzkę. Wycieńczony Roddy rozejrzał się wokół, chciał stanąć na nogi, lecz był już na to za słaby. Zatoczył się i upadł.

Woda spływała z przepelnionego zlewu i przybrawszy żółto-czerwoną barwę rozlewała się po całej kuchni.

Maldwyn Evans oglądał miejsce swojego nowego pobytu. Trzy obdrapane, białe ściany, drewniana prycza i okratowane drzwi. Nic więcej z wyjątkiem nagiej żarówki, wiszącej tuż pod sufitem.

Dokuczał mu nieznośny ból głowy. Wiedział, że stracił przytomność, ocknął się bowiem dopiero w więzieniu. Gdy Mai próbował uciec z radiowozu, jeden z policjantów uderzył go pałką. Evans dotknął skroni i poczuł, że włosy ma sklezione zakrzepłą krwią. W to miejsce otrzymał cios.

Męczyło go blade światło żarówki, lecz jeszcze bardziej pragnienie, które paliło od gardła aż do żołądka.

Próbował zastanowić się nad swoją sytuacją, lecz umysł miał zamglony. Aresztowano go — tyle wiedział na pewno. Oskarżono go o zamordowanie Paula Pritcharda i powiadomiono, iż jutro stanie przed sądem. Policjanci chcieli wiedzieć, gdzie są pozostali członkowie bandy, ale Mai był dzielny, odrzekł im, żeby spierdalali. Sam się zresztą zastanawiał, dokąd uciekli Roddy, Vic i Reuben. Może już ich złapano?

Jezu Chryste, pić! Mai podszedł chwiejnym krokiem do drzwi i chwycił lepкими od potu dłońmi metalowe pręty.

— Hej! — chciał głośno krzyknąć, lecz jedynie chrap-

liwy bełkot wydobył się z jego ust. Musiał zebrać siły, aby zawołać ponownie.

- Hej! Wody! Pić!

Wody... Pić... Słowa odbijały się głucho od ścian wąskiego, ciemnego korytarza. Echo szczydziło ze spragnionego więźnia.

Mai mocniej zacisnął dłonie na prętach, z trudem utrzymując się na nogach.

- Wody! Pić!

Wody... Pić... Wody... Pić... Słowa wracały do niego, niosąc ze sobą uśmiezek drwiny.

Kroki. Podzelowane buty zaszurały na betonowej posadzce. Z traskiem zamknęły się jakieś drzwi i światło zalało więzienny korytarz. Ostry blask jarzeniówki zmusił Evansa do ukrycia twarzy w dłoniach. Był oślepiiony, bezbronny, obezwładniony przez policję.

- Co to za wrzaski? Czego chcesz?

Pomiędzy pakami swych rąk Mai ujrzał wielkiego, umundurowanego sierżanta. Policjant wyglądał szorstko, a nawet bezwzględnie. Jego łysiejąca głowa jaśniała w ostrym świetle fluorescencyjnej lampy, a żyły na skroniach nerwowo pulsowały: prawdziwy twardziel.

- Wody... Pić!

Cisza. Policjant patrzył na więźnia, a jego złość Powoli ustępowała miejsca zaskoczeniu i przerażeniu. Szeroko otworzył oczy, lecz nie był w stanie uwierzyć w to, co widział.

Przez ostatnie godziny oblicze Evansa zmieniło się nie do poznania: zniekształcone rysy, gałki oczne ukryte pod opuchliwą policzków. Ropiejąca wysypka nadawała nie-ludzki wyraz jego wykrzywionej z bólu twarzy. Krwawiące, nabrzmiałe ręce, ścisnęły kurczowo pręty krat.

- Chryste! — Sierżant Griffiths cofnął się o krok.

Jego obcesowość i pewność siebie zniknęły. — Co ci, do cholery, jest?

Maldwyn Evans potrząsnął metalową kratą, jak zamknięte w klatce zwierzę. Zawył dziko, a ślina spłynęła mu na podbródek.

— Wody — zacharczał Mai. — Wody...

Griffiths odszedł nieco do tyłu. Znał doskonale ten rodzaj rżenia — to odgłos konających. Evans umierał. Woda nie była mu potrzebna. Może jedynie dla ulżenia cierpieniom, choć Bóg tylko wie, co się stało temu niešťczęśnikowi. Jakaś choroba. Gwałtowna i śmiertelna, poźerająca ciało jeszcze za życia ofiary. Lepiej nie podchodzić zbyt blisko, bo może być zaraźliwa. Mimo wszystko należy dać mu pić.

Sierżant odwrócił się i poszedł do toalety na końcu korytarza. Znalazł tam emaliowany kubek i napełnił go zimną wodą.

Wtem znieruchomiał. Odgłosy dochodzące z celi umilkły; zapadła cisza, była jeszcze gorsza, niż wszystko co się do tej pory zdarzyło.

Ręce policjanta drżały, gdy wchodził ponownie w tunel wąskiego korytarza. Woda kapiała z kubka na podłogę. Griffiths podszedł ostrożnie do celi. Trzymając się jak najbliżej przeciwległej ściany i próbował zajrzeć do środka.

Skurczona, odziana w skórzaną kurtkę postać, leżała naprzeciwko okratowanych drzwi. Ohydny smród doszedł Griffithsa, który krztusząc się, z trudem opanował mdłości. Znał zapach zwłok, ostry, specyficzny odór martwego ciała. Rozpoznał go i teraz, lecz ten był tysiąc razy intensywniejszy. Gnijące ciało — jakby procesy rozkładu rozpoczęły się w Evansie już na długo, zanim skołał.

Sierżant Griffiths wrócił do głównego biura. Podniósł słuchawkę telefonu i drżącymi pakami wykreślił numer. Gdy czekał na połączenie, błagał Boga, aby ktoś inny otrzymał polecenie wyniesienia zwłok z celi. Starał się nie myśleć już więcej o tym okropnym trupie.

## Rozdział IV

— Szanowni panowie, sprawdziły się nasze najgorsze obawy. Weedspray zabił już pięć osób, ale to dopiero początek.

W mrocznym, surowym pomieszczeniu, z dala od zgiełku ulicy, omawiano kwestie mające pierwszorzędne znaczenie dla Birmingham. Dwunastu mężczyzn siedziało wokół okrągłego, wiktoriańskiego stołu: szef Zarządu Wodnego Jackson i jego czterech urzędników, Ron Blythe, Ken Broadhurst oraz pięciu wysokich rangą policjantów, a wśród nich sam naczelnik policji, Croxley, któremu siwiejące włosy i ostre, lecz dostojne rysy nadawały zatroskany wygląd.

Naczelnik skończył mówić i spojrział pytająco na zebranych, oczekując od nich propozycji.

— Ci ludzie zmarli w Rhayader — rzekł z naciskiem Jackson, — NIE w Birmingham.

— To prawda — przerwał Ron, wychylając się poza blat biurka — zmarli w wyniku BEZPOŚREDNIEGO kontaktu z Weedsprayem, który w tym miejscu Zbiornika Claerwen był szczególnie mocno skoncentrowany. Pritchard zetknął się z preparatem podczas zdejmowania kombinezonu. Chłopcy natomiast zbierali martwe pstrągi. Z pewnością weszli do wody i dotykali zatrutych ryb. Przedawkowanie, mówiąc potocznym językiem. Silnie zagęszczony środek uśmiercił ich piorunująco: szalone pragnienie, obłęd, rakowate wrzody i wreszcie zgon. Objawy zatrucia rozcieńczonym Weedsprayem wystąpią dopiero po kilkudziesięciu godzinach.

— Lecz ostateczny rezultat...



— Tak! Prędzej czy później każda ofiara umiera w identyczny sposób. Prędzej... czy później. To zależy od stopnia stężenia preparatu i od rodzaju styczności z nim.

— Jednak żadnych wypadków w Birmingham nie zanotowano, prawda?

— Do tej pory — nie. Ale jest jeszcze wcześniej.

Zapadła cisza.

Blythe złapał się na tym, że myśli o Margaret. Była, dzięki Bogu, daleko od tych wszystkich cholernych spraw. Powinien do niej zatelefonować, lecz jeszcze nie teraz; po południu albo pod wieczór. Nie wiedział dlaczego, ale wciąż to odkładał na później. Może zresztą już za kilka dni wróci do domu.

— Poinformowaliśmy premiera — rzekł Croxley przezywając nieznosną ciszę. — Bardzo się tym zainteresował. Przyrzekł podjąć natychmiastowe działania, jak tylko pojawią się w Birmingham pierwsze wypadki zatrucia.

— Jakiego rodzaju działania? — Blythe starał się utrzymać na twarzy wymuszony uśmiech. Kłopotliwe pytanie. Lecz nie na tyle, aby pozostawić je bez odpowiedzi.

— Tego premier jeszcze nie ustalił — stalowoszare źrenice Croxleya przewierały spokojną twarz Blythe'a. — Naturalnie, nie zadawałem dalszych pytań, ale ta kwestia ma być dzisiaj dyskutowana na posiedzeniu Rady Ministrów.

Blythe skinął głową rozumiejąc, że niczego więcej ządać nie można. Akcja ratunkowa rozpocznie się dopiero wtedy, gdy z kranów popłynie skażona woda.

— Jak dotąd, mieliśmy do czynienia ze szczególnie ciężkimi przypadkami zatrucia — kontynuował Croxley.

— Pałace pragnienie, któremu towarzyszy szaleństwo. Lecz wszystkie te ofiary porażone zostały silną dawką Weedsprayu, w wyniku czego pojawiły się u nich rakowate narośla na skórze, przypominające poparzenia kwasem siarkowym...

Ron Blythe nie słuchał monotonnego głosu naczelnika. Ten człowiek nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa. Biedny głupiec.

— Byłbym wdzięczny, gdyby panowie. — Croxley spojrział tu na Blythe'a i Broadhursta - zostali w Birmingham do czasu zanotowania kolejnego wypadku.

Obydwaj mężczyźni skinęli głowami, wyrażając zgodę.

— W ciągu dwóch tygodni nastąpi rozstrzygnięcie; dowiemy się, czy rzeczywiście grozi nam klęska — mówił dalej naczelnik. — Na szczęście, sprawa nie nabrała rozgłosu. Jedynie kilka lakonicznych notatek w prasie, co oznacza, że nawet dziennikarze są powściągliwi wobec doniesień z Rhayader. I mają rację, ludzie nie uwierzyliby w Sodomę i Gomorę. A jeśli rzeczywiście dojdzie do katastrofy, sam premier poda to do wiadomości publicznej.

Spotkanie dobiegło końca. Blythe i Broadhurst wyszli na ruchliwą, pełną hałasu ulicę: jak co dzień kolumny pędzących samochodów, potraćający się na chodniku przechodnie — żadnego symptomu nadciągającego niebezpieczeństwa.

Blythe spojrział na tytuł dzisiejszych gazet i zobaczył oskarżający nagłówek: **ŚMIERTELNA TRUCIZNA PRZYCZYNĄ OBŁĘDU.**

Broadhurst wyciągnął z kieszeni kilka pensów i nabył jeden egzemplarz popołudniówki. Blythe przeczytał wraz z nim wydrukowany na pierwszej stronie artykuł. Najbardziej wstrząsające szczegóły zostały, oczywiście, wyolbrzymione. Lecz to było do przewidzenia.

Ron zauważył, że mijający ich ludzie odwracają gazety od razu na ostatnią stronę, na której wytłoczony wielkimi czcionkami napis informował: „Władze miasta zapraszają argentyńskich mistrzów futbolu”.

Poirytowany Blythe potrząsnął głową. Co za obojętność! Ci gnuśni mieszkańcy Birmingham niczym się nie przejmują. Może dopiero w domu, gdy usiądą w wygod-

nym fotelu, przejrzą frontowe artykuły. Czy ich to zainteresuje? Kogo obchodzi Walia, kraj odległy o setki kilometrów? Większość z nich nie ma nawet pojęcia, skąd do Birmingham dopływa woda. Idą po prostu do łazienki, odkręcają kran i są zadowoleni. Najważniejszą konkluzję, podsumowującą doniesienia z Rhayader, wydrukowano na trzeciej stronie, lecz kto się będzie kłopotał, aby tam zajrzeć?

A może to dobrze, pomyślał Blythe. Jeśli trucizna jest już w wodociągach, nikt nie powstrzyma katastrofy, chyba że zakręcając wszystkie ujęcia, co oznaczałoby totalne odcięcie miasta od wody.

— Wszystko jest w rękach Boga. — Broadhurst złożył gazetę i wcisnął ją do kieszeni. — Możemy jedynie się modlić, aby preparat nie wypłynął ze Zbiornika. Lecz przecież, do cholery, nie może tam pozostać na wieki. Gdyby wynaleźć jakiś sposób usunięcia go, lub chociaż rozcieńczenia! Dodatkowe filtry zostały już zamontowane na wszystkich rurach odpływowych, ale nie wiadomo czy się sprawdzą. Co o tym myślisz, Ron?

— Nic mi nie przychodzi do głowy — odparł Blythe i pociągnął fajkę zapomniawszy, że tytoń już dawno się wypalił.

— Przed nami dwa tygodnie, jak powiedział Croxley. Jeśli w tym czasie nikt w Birmingham nie zachoruje, zostanie oficjalnie przyjęte, że woda w rezerwuarze jest czysta. Możemy wtedy jechać do domu i zapomnieć o wszystkim.

— No to do jutra! — rzekł Broadhurst i sięgnął do kieszeni po kluczyki od samochodu.

Blythe skinął głową: dwa tygodnie. Czas, w którym należy doprowadzić do porządku parę ważnych spraw. Jedną z nich było jego małżeństwo... odejść od żony, czy dalej prowadzić życie takie jak dotąd? Decyzja należała do niego, to nie rozwikła się samo. Przypomniawszy sobie, że ma

zadzwoić do Margaret. Do diabła, "będzie musiał uczynić ten wysiłek jeszcze dzisiaj wieczoru.

— Co nowego w bankowości, Simon?

Simon Blythe stał odwrócony plecami do małej gazowej kuchenki, zamontowanej w stołowym pokoju, w jednym z niewielkich jednorodzinnych domków, zbudowanych na północnych peryferiach Birmingham. Bracia byli bardzo podobni do siebie: identyczny kształt twarzy, w ten sam sposób rzednące, kędzierzawe włosy. Szczupły jak dziecko, miał teraz Simon dość spory brzusek, co dodawało mu powagi. Regularne ćwiczenia fizyczne odmłodziłyby go, ale wszystko, na co mógł się obecnie zdobyć, to niedzielny spacer z Cathy do Sutton Parku. Oczywiście, tylko przy pięknej, słonecznej pogodzie; gdy niebo zachodziło chmurami oboje wsiadali do samochodu.

— W bankowości bez zmian — odrzekł z uśmiechem Simon. — Stare systemy odchodzą i pojawiają się nowe, ale podstawy rozliczeń są te same od czasu, kiedy wynaleziono pieniądze.

Ron nie słuchał, znał już to wszystko na pamięć. Jego brat nie był w stanie pracować samodzielnie, na własne konto. Podlegał żelaznym regułom dobrze zorganizowanej instytucji. Otrzymywał regularną pensję i cierpliwie oczekiwał emerytury. To była zasadnicza różnica między nimi.

Ron zajrzał przez uchylone drzwi do kuchni i zobaczył Cathy, przygotowującą wieczorny posiłek. Szczupła, ciemnowłosa, seksowna; życie w ich domu kręciło się dokoła niej. Była władczą, ale w inny sposób niż Margaret. Nigdy nie zrządziła, widocznie nie tego potrzebowała.

Będąc atrakcyjną kobietą mogła żyć tak, jak jej się podobało, nie stosując prymitywnych zagrań. Simon był zbyt prostolinijny, aby ją o cokolwiek podejrzewać, lecz Ron, obserwujący ją z zewnątrz, widział doskonale jej śmiałą przewrotność.

żałował, że nie ożenił się z Cathy. Margaret z pewnością kochałaby Simona, który pokornie spełniałby rolę chłopca na posyłki. To dziwne, bracia, a Tak odmienni charakterami. I każdy z nich miał żonę, która pasowała do tego drugiego.

Wtem Blythe poczuł erekcję. Nigdy dotąd nie podniósł go widok szwagierki, może właśnie dlatego, że była małżonką Simona.

Teraz zaś przed oczyma jego wyobraźni pojawił się ekscytujący obraz: naga Cathy. Ujrzał jej małe, jędrne piersi i sterczące sutki, a trochę niżej — lekko rozwarłe uda, które pozwalały dostrzec jedynie tyle, aby zaostrzyć seksualny apetyt. Ron zastanawiał się, jak często Simon sypia ze swoją żoną. Pewnie tak jak on z Margaret, przeciętnie raz na tydzień, w sobotni wieczór albo w niedzielę rano. Tak, Margaret... Ron często wychodził z domu, aby szukać przygód z innymi kobietami. Nie robiłby tego, gdyby żył z Cathy. Ta dziewczyna kochałaby się z nim każdej nocy i w każdej możliwej pozycji. Szaleństwo! Lecz niestety, marnowała się przy Simonie. O ironio losu...

— Obiad gotowy! — nawet te codzienne słowa brzmiały nad wyraz namiętnie.

Blythe wstał i przeszedł wraz z Simonem do sąsiedniego pokoju. Wziął ze stolika gazetę, aby trzymając ją przy spodniach, ukryć wzniesienie w okolicy rozporoka. Spontaniczna erekcja z pewnością zawstydziłaby Simona; nie wiedział też, jak może zareagować Cathy.

Wszyscy troje do stołu, na którym stał wielki półmisek z cielecym kebabem. Doprawdy, Margaret nie była nigdy tak pomysłowa, pieczeń stanowiła szczyt jej możliwości. Mój Boże, skończ wreszcie te głupie porównania, rzekł do siebie Blythe. Jesteś z Margaret i właśnie z nią musisz się nauczyć żyć.

— No cóż, cieszymy się dobrym zdrowiem — oczy

Cathy błysnęły zalotnie. — Nikt jeszcze w Birmingham nie oszalał.

— Minęło dopiero parę dni od wypadku — Blythe nie chciał robić im złudzeń. Weedspray mógł trysnąć z tych kranów równie dobrze jak w centrum miasta. Pozostawało jedynie czekać — makabryczna ruletka życia i śmierci. — Według ustaleń Zarządu Wodnego i naczelnika policji okres krytyczny ma trwać czternaście dni. Nie prędzej zatem niż po upływie dwóch tygodni będziemy się mogli czuć względnie bezpieczni. Ja osobiście uważam, że szczególne środki ostrożności należy zachować przez całe dwa miesiące. Wiecie co? Przyjedźcie oboje do nas, do Rugeley na te dwa tygodnie. Tam nic nie będzie wam grozić.

— Wykluczone — odparł natychmiast Simon. Chciał się usprawiedliwić, lecz Blythe wiedział, że rzeczywistym powodem jego odmowy jest Margaret — jej ostentacyjne lekceważenie urzędniczego świata.

— Bank, mój chłopie, musi funkcjonować, cokolwiek by się stało.

— Nawet gdyby pogrzebano wszystkich jego klientów?

— Sądzę, że tak. To jest instytucja.

Blythe aż się skrzył na swoim krześle. Kapitalistyczny system solidnie wyprał mózgi swoim niewolnikom! On sam, Ron Blythe, nie był przecież nigdy tak służalczy wobec swojej firmy. Ani wobec kogokolwiek innego. Zdobyć się na pełną ofiarność mógłby jedynie w obronie swoich własnych dzieci. Świat to dżungla, w której szanse przeżycia mają wyłącznie najsilniejsi. Reszta zaś ludzi bezradzienie tonie w takiej czy innej konwencji.

— Powinieneś chyba zadzwonić do Margaret — rzekła Cathy, gdy skończyli drugie danie. Źle robisz, Ron. Wiem, jak się między wami układa, ale pomyśl o dzieciach.

Blythe wstał i odsunął krzesło. Cathy miała słuszość. Ron cenił ją za to, że zawsze podczas spotkań wychodziła poza schemat grzecznościowej konwersacji.

— W porządku — uśmiechnął się. — Już dzwonię. Zrobię to dla moich dzieci.

Ron poczuł lekkie ukłucie w gardle. Coś usilnie pchało go do tego, aby otwarcie przyznać, iż jego małżeństwo jest nieudane. Tak jakby sądził, że Cathy zerwie się i z miłością poda mu rękę. Wymiana żon... co za bzdury.

Blythe wykręcił numer, a za chwilę usłyszał trzask połączenia i sygnał telefonu dzwoniącego z drugiej strony linii.

Drrr... drrr... Drrr... drrr... Drrr... drrr...

Brak odpowiedzi.

Po pięciu minutach Ron odłożył słuchawkę i niezadowolony zmarszczył brwi. Opuściła go pewność siebie. Stał w hallu i wpychając tytoń do fajki zastanawiał się, gdzie może być Margaret. Czyżby leżała w jakimś samochodzie z kochankiem pomiędzy nogami? Wykluczone, to nie było w jej stylu. Nie zostawiłaby zresztą dzieci zupełnie samych w domu. To jasne, tam gdzie są dzieci, jest i ona. Może u matki? Czasami, gdy rozczarowana małżeństwem kobieta przenosi się do swej matki, zostaje u niej na dłużej...

Ron mocno zagryzł trzonek aluminiowej fajki, zapalił zapałkę i przytknął do tytoniu. Był zły i nic nie mógł na to poradzić. Margaret powinna siedzieć w domu! Do diabła, może to dlatego, że dotychczas do niej nie dzwonił? Czyżby nie przyszło jej do głowy, że jest bardzo zajęty? Że całe miasto stoi w obliczu katastrofy, a życie kilku milionów ludzi jest w niebezpieczeństwie? Ron nie chciał się ruszać z Birmingham, czuł, że musi być w mieście w momencie, gdy rozpocznie się ten straszliwy kataklizm. Zaciągnął się fajką i stwierdził, że ma złe przeczucia. Nie wiedział jedynie kiedy...

— Nikt nie odbiera?

Blythe napotkał wzrok swego brata, lecz w jego błękitnych, czystych oczach nie dostrzegł ani śladu drwiny. Zwykle pytanie, nic więcej.

— Spróbuj jeszcze raz za godzinę.

Wieczór jak co dzień: najpierw telewizja, potem kawa i ciastka, a o dziesiątej wiadomości. O jedenastej Ron zaczął przeciągle ziewać, więc Simon wyłączył telewizor i powiedział, że trzeba iść spać.

— Pan Benson prosił mnie, abym była u niego już o ósmej rano — Cathy przeciągnęła się, a lekko uniesiona sukienka odkryła jej kształtne kolana. — Musimy odprawić kilka ważnych transportów.

Ron spojrzął na jej zgrabne nogi i miał nadzieję, że dziewczyna przeciągnie się ponownie.

— Myślę, że powinienes jeszcze raz zatelefonować — powiedziała jedynie Cathy.

Blythe rzucił okiem na stojący na półce elektryczny zegarek.

— O tej porze ona już śpi.

— Spróbuj jednak, Ron. To dla niej ważne.

— Czemu więc sama się nie pofatygowała. Zna przecież numer.

— Och, wiesz, że ona nie lubi... tutaj dzwonić.

Cathy przyznała otwarcie, że stan wojny domowej pomiędzy szwagierkami wciąż trwa. Margaret była agresorem.

— Masz rację — Ron wstał, przeszedł do hallu i zaczął wykrecać numer. W oczach Cathy było to najlepsze, co mógł teraz uczynić. W ten sposób cała wina spadała na Margaret.

Drrrń — drrrń... Drrrń — drrrń...

Ron stał przy aparacie. Dwie, trzy minuty, lecz wciąż nikt nie odbierał. Nie było jej w domu, co oznaczało, że spędzi noc tam, dokąd się udała, nigdy bowiem nie wra-



cała później niż o jedenastej. Ron miał nadzieję, że nie poszła jednak do swojej matki. Cholera, niewykluczone, że jakiś brudny typ ją teraz pieprzy.

Blythe znieruchomiał, gdy poczuł, że ma kolejną erekcję. Zaśmiał się cicho do siebie; jedna zdrada i małżeństwo znów staje się atrakcyjne.

— Cześć Ron, do jutra.

Blythe spojrział w górę. Cathy była już na szczycie schodów prowadzących na piętro. Mógł zatem zajrzeć pod jej sukienkę, i dostrzec jasnyniebieską bieliznę. Jego podniecenie wciąż rosło. Żałował, że nie przytulił jej wtedy w hallu i nie poprosił o pocałunek na dobranoc. Gdyby to zrobił, jeszcze tej nocy poczułaby obok siebie jego rozpalone ciało. Ron zastanawiał się, co z tego wszystkiego wyniknie. Być może już jutro, przy odrobinie szczęścia, zostanie mu dana odpowiedź.

Pokój sypialny był przeraźliwie mały. Wiedział, że nieprędko zaśnie i robił sobie wyrzuty, że nie kupił w mieście gazety, która pomogłaby mu jakoś zabić czas.

Położył się na łóżku w ubraniu, nie gasząc jeszcze światła. Czuł natłok myśli; jedno obrazy goniły następne, nie łącząc się z nimi w żaden logiczny sposób. Dziewczyna z Rugeley... kurewka, lecz zgrywała cnotliwą damulkę i nie dawała się dotknąć. A potem te wszystkie kłamstwa! Gdyby poszła z nim wtedy do łóżka, byłoby to zrozumiałe, ale przecież nic pomiędzy nimi nie zaszło.

Margaret. Próbował wyobrazić ją sobie na potajemnej randce. Chyba nie zapomniała jeszcze sztuki uwodzenia? Ron ujrzał w myślach kolejne sekwencje takiego spotkania; samochód zaparkowany gdzieś poza miastem, mężczyzna, hm, mężczyzna? Trudno było go sobie wyobrazić... zapewne ktoś taki jak on. Neking, delikatne odpięcie guzika spódnicy... jego ręce dotykają jej piersi opiętych jeszcze stanikiem, pobudzają wrażliwe sutki. Ona przesuwa dłoń po jego spodniach i zatrzymuje się na sztywniejącym

miejsu pod rozporkiem. Mocno je ściska i odpina zamek. Jej uda rozchylają się, pozwalając mu sięgnąć ręką coraz głębiej, aż do upragnionego końca — i wreszcie rozbierają się nawzajem, zatopieni w miłosnej rozkoszy.

W czasie pierwszych spotkań z Ronem, Margaret uwielbiała kochać się na tylnym siedzeniu samochodu. Niewykluczone więc, że teraz... Na miłość Boską! Pomimo niechęci do seksu nie może chyba obejść się bez tego całkowicie.

Cathy. Czysta fantazja; mało prawdopodobne, ale chyba możliwe. Warto spróbować, w ciągu tych dwóch tygodni wszystko się może zdarzyć. Ron nie miał nic do stracenia, Margaret nigdy tu nie przyjeżdżała.

Blythe nacisnął wyłącznik i pokój pogrzyżył się w ciemności. Zdejmując ubranie wciąż myślał o Cathy. Rozbierał się nie dlatego, że był śpiący — jego drugie, potężne ja potrzebowało zaspokojenia. Żałował, że nie wynajął pokoju w hotelu; nie byłby wtedy w łóżku sam, choć straciłby pewnie kilkadziesiąt funtów.

Pobyty u krewnych nie stłumił jego podświadomych pragnień, co oznaczało, że musi szukać satysfakcji w sposób najprostszy z możliwych.

Łóżko zatrzęszczało i Ron przestał na moment, bo nie chciał, aby Cathy go usłyszała. Kobiety są zabawne: robią to, kupują nawet przyrzady, aby mieć większą przyjemność, a potem twierdzą, że nigdy w życiu siebie nie dotknęły. Według nich z mężczyzną jest coś nie w porządku, gdy musi on się w ten, tak naturalny sposób, zaspokajać.

Do diabła, osądzał Cathy wedle kryteriów przyjętych przez Margaret. Niewykluczone, że ta namiętna dziewczyna słysząc go poczuła dreszcz rozkoszy i sama zaczęła się masturbować. Jeśli oczywiście Simon już spał.

Podniecenie Rona sięgnęło zenitu. Nie mógł powstrzymać gwałtownych ruchów, choć słyszał, że trzęsą się

wszystkie meble w pokoju, a idiotyczny, powieszony nad kredensem sielankowy obrazek spadł i rozbił się na części.

Po chwili było już po wszystkim. Ulotniły się erotyczne wizje, a ich miejsce zajęła straszliwa rzeczywistość: Weedspray, ofiary w Rhayader. Nie musiał mu nikt opisywać ich okropnego wyglądu, doskonale przecież pamiętał doświadczenia przeprowadzone na koniach.

Gdzieś w mieście kościelny zegar wybił pełną godzinę. Ron policzył uderzenia: trzy. Bezsenna noc jest męcząca, lecz barwne fantazje odwróciły na jakiś czas jego uwagę od tego wszystkiego, co się wokół działo. To dobrze, pomyślał. Powoli ogarniała go senność.

Wtem poczuł raczej, niż usłyszał jakiś ruch w sąsiadującej z jego pokojem sypialni: zaskrzypiało łóżko, jakby ktoś się tam niespokojnie wiercił.

Kroki, a potem ledwie widzialna smuga światła pojawiła się na korytarzu. To Cathy. Trzasnęły drzwi od łazienki i na moment zaległa cisza.

Ron nasłuchiwał uważnie, lecz kiedy uświadomił sobie, że jest to swego rodzaju podglądanie kobiecej toalety, poczuł zażenowanie i wstyd. Gdy jednak usłyszał głośny chlupot wody płynącej z mocno odkręconego kranu, jego poczucie winy zniknęło. Co ona tam robi, teraz, w środku nocy? Może wyjmuje spiralę... Nie, to wykluczone, przecież systematycznie bierze tabletki.

Kolejny dziwny odgłos, nieco przypominający bulgotanie. Dopiero po kilkunastu sekundach Ron rozpoznał ten charakterystyczny dźwięk: Cathy, siorbiąc, piła wodę ze złożonych dłoni. No cóż, wiele osób odczuwa w nocy pragnienie i idzie do łazienki, gdy nie ma kubka pod ręką. Lecz ona nie mogła przestać!

Zegar wybił kwadrans po trzeciej. Cathy siedziała przy otwartym kranie już dobrych kilka minut. Niepokojąca myśl przemknęła Ronowi przez głowę. Być może powinien wyjść i zobaczyć, co się z nią dzieje. Ale wpierv musi

włożyć spodnie; robienie nocnych wycieczek po cudzym mieszkaniu jest nieco kłopotliwe dla tych, którzy śpią nago.

Sięgając po ubranie, Ron usłyszał stłumione odgłosy kroków. To Simon szedł do łazienki.

Hałas płynącej pełnym strumieniem wody powiększała absolutna cisza panująca z drugiej strony domu. Szum miniaturowej Niagary zagłuszał rozmowę małżonków i Ron nie mógł rozróżnić słów ani nawet rozpoznać tonu głosu.

Po chwili ktoś zakręcił kran, zgaszono światło i oboje wrócili do łóżka.

Na zewnątrz zegar wybił pół do czwartej. Dwa potężne uderzenia zabrzmiały donośnie w ciszy, która nagle zapadła. Blythe zdjął koszulę i cisnął ją na podłogę. Co za noc! Oby teraz jak najszybciej zasnąć. Ron westchnął głęboko, zamknął oczy i natychmiast zapadł w twardey sen.

Przebudziło go natarczywe pukanie do drzwi. Usiadł na łóżku i spojrzał na zegarek: ósma trzydzieści. Stojący na nocnym stoliku budzik zdawał się drwiąco uśmiechać na widok śpiocha, który chciał wstać o całą godzinę wcześniej.

— W porządku — rzekł Ron. — Wiem, że zaspiałem. Będę na dole za parę minut. Nie czekajcie na mnie ze śniadaniem.

— Mogę wejść? — spytał drżącym głosem Simon i nie czekając na odpowiedź nacisnął klamkę.

Ron rzucił się po swoje ubranie. Co za głupota! Przecież Simon wielokrotnie widział w dzieciństwie jego nagie ciało, było to naturalne. A teraz pojawił się jakiś idiotyczny wstyd. Konwencje społeczne ogromnie zmieniają człowieka.

— Przepraszam, że przeszkadzam, Ron.

— Najwyższy czas! Lecz nie mogłem, niestety, dość długo zasnąć.

— Czy obudziliście cię w nocy?

— Nie, jeszcze wtedy nie spałem. To Cathy, prawda?

— Tak. Nie czuje się dzisiaj najlepiej i chyba nie pójdzie do pracy. Chciałbym, abyś obejrzał ją, zanim wyjdiesz z domu.

— O co chodzi? — Rona załapała gorąca fala strachu, lecz miał nadzieję, że nie dał tego po sobie poznać.

— Myśleliśmy z początku, że to zwykła migrena, lecz później dołączyła się wysoka gorączka. I co najgorsze — pragnienie. Musiała wypić ze cztery litry wody.

Ron poczuł, że pot spłynął mu po plecach. Odwrócił głowę, aby Simon nie ujrzał jego twarzy, drgającej dolnej wargi i przerażenia w oczach.

Odetchnął głęboko i spytał:

— Czy już wezwałeś lekarza?

— Nie... nie sądzę aby było to konieczne. Zwykły atak grypy.

— Może lepiej zostań z nią w domu.

— Wykluczone — odparł Simon. — Urzędnik bankowy nie powinien zaniedbywać obowiązków z powodu choroby swej żony. Chyba, że to coś poważnego.

Zniewolony przez system, pomyślał ze złością Ron: „coś poważnego”... Boże Miłosierny! To jest o wiele poważniejsze, niż mógłby pojąć twój ograniczony umysł, drogi bracie. Nie czytałeś gazet, ani nie chciałeś mnie słuchać. I masz teraz za swoje.

— Zostań jeszcze chwilę — rzekł Ron. — Poczekaj, aż się ubiorę i będę mógł zajrzeć do Cathy.

— To niemożliwe, mój pociąg odchodzi za siedem minut.

Blythe zmrużył oczy i zacisnął zęby. A gdyby mu teraz wszystko powiedział? Nie ma potrzeby, to może być przecież zwyczajny bakcyl. Ron postanowił nie podnosić alar-

mu, zanim nie ujrzy Cathy. A do tego czasu Simon będzie już na stacji Erdington i wsiądzie do pociągu zdążającego do Birmingham.

— Słuchaj, Ron, jeśli stwierdzisz, że należy jednak wezwać lekarza...

W porządku, pozostaw Cathy mojej opiece. A teraz idź już, abyś się nie spóźnił do pracy. Zrobię to, co będą uważały za stosowne.

— Stokrotne dzięki! Do zobaczenia po południu. Wiesz co? Zadzwoń później do banku, tak po prostu, aby mnie uspokoić. Byle nie między dziewiątą a dziesiątą trzydzieści, bo jestem wtedy zajęty zdawaniem pieniędzy do skarbcza.

Spieprzaj, ty stary durniu, rzekł w duchu Ron i po chwili usłyszał, jak Simon w pośpiechu zbiega ze schodów i trzaskając drzwiami wychodzi z domu.

Blythe . podniósł koszulę i zaczął się ubierać. To Weedspray, nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale dlaczego właśnie Cathy? Zapewne nie ona jedna: tysiące mieszkańców Birmingham musiało wypić podczas nocy wiele htrów skażonej wody i wszyscy cierpią teraz na „grypę”. Wezwani lekarze nie postawią właściwej diagnozy, nawet ich najśmielsze domysły będą dalekie od prawdy. Należy to natychmiast podać do wiadomości publicznej.

Ron podszedł do drzwi sąsiedniej sypialni i cicho wszedł do środka. Zastłony były jeszcze zaciągnięte, upłynęło zatem kilkanaście sekund, zanim jego wzrok przyzwyczył się do półmroku.

W porozrucani pościeli, z twarzą przy poduszce leżała skulona Cathy. Wstrząsały nią gwałtowne dreszcze, a z ust dochodziły stłumione jęki, które zdawały się wydobywać z samej głębi jej duszy.

— Cathy! — rzekł łagodnie Ron.

Chora poruszyła się, lecz nic nie odpowiedziała.

— Cathy! — powtórzył nieco głośniejszym głosem. — To ja, Ron.

Jak się czujesz? — głupie pytanie, ale trzeba było jakoś zacząć.

Cathy jęknęła. Gdy zwróciła głowę w jego kierunku, spuścił wzrok, lękając się przerażającego widoku.

— Ron — wyszeptała ledwo słyszalnym głosem.

Blythe spojrział na jej twarz: czerwone policzki, opuchnięte wargi. Była ciężko chora, to prawda, lecz ani śladu tych ropiejących wrzodów.

— Ron... wody, proszę.

— Dobrze, poczekaj chwilę.

Blythe poszedł do łazienki i automatycznym ruchem napełnił zimną wodą mały kubeczek do płukania zębów. Gdy wrócił do sypialni, Cathy podniosła się nieco na łóżku i desperacko wyciągnęła ręce: pić! Ron ujrzał jej nagie ciało, do połowy jeszcze ukryte w fałdach przepoconej, pomiętej pościeli.

Cathy wyrwała mu kubek z rąk, chwyciła go w obie dłonie i zaczęła łapczywie pić, wylewając na siebie połowę zawartości. Woda spłynęła na jej drobne, jędrne piersi. Ron właśnie w ten sposób wyobrażał sobie jej biust. Nawet teraz, choć zdjęty panicznym strachem, nie mógł oderwać wzroku od tych ponętnych ciemnoczerwonych sutków.

Cathy odchyliła do tyłu głowę, wciąż trzymając kubek przy ustach. Zlizwała ostatnie krople ze swoich nabrzmiałych warg i oddała Ronowi puste naczynie. Odetchnęła głęboko, lecz nie było to westchnienie ulgi.

— Jeszcze! — krzyknęła po chwili zachrypniętym głosem.

— Jesteś chora — rzekł spokojnie Ron. — Chciałbym się dowiedzieć, co ci jest. Czy coś cię boli?

— Pić — jej oczy płonęły.

— W porządku zaraz przyniosę, ale proszę, powiedz mi, co ci się stało?

Cathy spuściła oczy. Obietnica dostarczenia wody nieco ją uspokoiła.

— Tutaj — rzekła i odrzuciła koldrę.

Ron znieruchomiał i spojrzał na jej odkryte ciało. Jest piękna, pomyślał, zanim jeszcze dostrzegł przyczynę jej straszliwego cierpienia. Cathy była cała złana potem, miała podciągnięte do góry kolana i rozchylone uda.

Blythe zwrócił uwagę na zaczerwienioną pomiędzy udami skórę; czyżby jakieś zadrapania? Gdy jednak przyjrzał się bliżej, zobaczył różową wysypkę, setki małych wyprysków, drobnych czyraków wyrosłych jeden przy drugim. Ta gnijąca masa wrzodów, ropiejąc i cuchnąc, dochodziła aż do sromu i znikwała pośród ciemnobrązowych gęstych włosów. O nie, Cathy nie była już tą pełną dziewczyną z jego erotycznych fantazji.

Ron odwrócił głowę, chciał stąd uciekać, zwymiotować. Testowane Weedsprayem konie miały te same objawy. Zgon Cathy nastąpi jeszcze przed południem, wedle szacunków Rona, najpóźniej za trzy godziny. Trzy godziny straszliwych cierpień, z których wyzwoleniem będzie jedynie śmierć.

— Wody — szepnęła dziewczyna.

— Poczekaj, zaraz ci przyniosę. Leż spokojnie. Myślę, że będzie dobrze, jeśli obejrzy cię lekarz.

— Wody, szybko... proszę.

Ron ze łzami w oczach wyszedł z pokoju i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Nie chciał, aby Cathy słyszała jego telefoniczne rozmowy.

Schodząc poczuł, że ledwo trzyma się na nogach. Drżącymi rękoma wykręcał numer obawiając się, że nie będzie w stanie wykrztusić z siebie ani jednego sensownego zdania. Najpierw do Broadhursta, niech poinformuje władze. A potem na ostry dyżur. Cathy umrze, to pewne, lecz silna dawka morfiny ukoji jej cierpienia.

— Ken? To ja, Blythe — rzekł ze ściśniętym gardłem.



— Stało się najgorsze... jestem tego całkowicie pewien. Moja szwagierka. Należy to jak najszybciej ogłosić w środkach masowego przekazu... Nie, nie mogę się stąd teraz ruszać, przynajmniej jeszcze przez parę godzin.

Rozłączył się, zanim Broadhurst odłożył słuchawkę. Wcisnął guzik, aby ponownie usłyszeć wolny sygnał i wybrał kolejny numer. Trzeba powiadomić Simona.

Odebrała jakaś dziewczyna, więc Ron poprosił do aparatu starszego referenta Blythe'a.

— Pan Blythe jest chwilowo zajęty. Proszę zadzwonić za dwadzieścia minut — brzmiała uprzejma odpowiedź.

— Niech go pani natychmiast wywoła ze skarbcza. To dla mnie bardzo ważne!

— Proszę wybaczyć, ale...

— Natychmiast, błagam panią. To kwestia życia i śmierci.'

Po drugiej stronie odłożono słuchawkę i Blythe usłyszał kroki odchodzącej dziewczyny. Przez parę minut nikt nie podchodził do aparatu, a do uszu Rona dochodziły stłumione głosy rozmawiających urzędników.

Blythe cierpliwie stał przy telefonie. Wtem na górze rozległ się jakiś trzask, a za chwilę szybkie kroki zadudniły na drewnianej podłodze. Szum odkręcanych kranów. To Cathy nie mogła się doczekać swej wody. Ron chciał odejść od aparatu, ale po chwili zastanowienia stwierdził, że nie ma potrzeby. Cathy da sobie radę.

— Halo, Ron? — w słuchawce rozległ się oburzony głos Simona Blythe'a. — Mówiłem ci przecież, że pomiędzy...

— To pilne, twoja żona jest poważnie chora. Musisz przyjechać do domu.

— Chyba żartujesz! Czy wezwałeś lekarza?

— Do diabła z lekarzem! Jeszcze raz ci powtarzam, musisz natychmiast wracać do domu, do Cathy.

Simon umilkł, a po chwili odezwał się niepewnym głó-

sem. — Co jej się stało? — spytał. — Czyżby naprawdę aż tak źle?

— Powiem ci wprost — odparł Ron. Nie było sensu ukrywać prawdy. — To straszna choroba, Simon. Śmiertelne zatrucie środkiem chwastobójczym, Weedsprayem. Cafe Birmingham jest w niebezpieczeństwie.

Simon długo milczał. To, co usłyszał od brata, było wprost nie do pojęcia.

— Powiedz, że to nieprawda — rzekł wreszcie, a głos mu drżał z przerażenia. Pragnął wierzyć, że są to jedynie makabryczne żarty.

— Bądź dzielny! Czekam na ciebie.

Blythe rzucił słuchawkę. Wiedział, że Simon przyjedzie, choć wiele go to będzie kosztowało. A teraz jeszcze jedna rozmowa — z lekarzem. Cholera, nie wiedział, gdzie leczy się Cathy. Czy warto ją o to pytać? Po chwili podjął decyzję: numer 999.

— Słucham alarmowy, jaki serwis pan sobie życzy?

— Karetkę pogotowia — rzekł Ron. — Ciężko chora kobieta.

Prędko podał swoje własne nazwisko oraz adres domu i odłożywszy słuchawkę wbiegł po schodach z powrotem do Cathy.

Chora wciąż siedziała w łazience i łapczywie gasiła pragnienie. Chwyciła się metalowych kurków i piła wprost z przepelnionej umywalki. Blythe stał nieruchomo i patrzył. Czekał, aż się napije do woli, nic innego nie mógł w tej chwili uczynić. Jej pośladki pokryte były czerwoną wysypką, rozdrapywała ją paznokciami aż do krwi.

Wtem dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała na Rona. Błady uśmiech nieśmiało pojawił się na jej ustach. Wyglądała tak, jakby rozumiała swoją sytuację.

— Jestem zatruta, prawda? — szepnęła Cathy. — To przez tę wodę, o której opowiadałeś.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze — skłamał

Blythe. — Wezwałem do ciebie lekarza. Simon też zaraz wróci do domu.

— Simon! — Cathy splunęła z pogardą. — Czy on mi pomoże? Ten uparty impotent, ostatnia kreatura, jakiej mogłaby pragnąć kobieta.

Blythe patrzył na nią z rosnącym zdumieniem. Cathy wiedziała, że jest śmiertelnie chora i że za parę godzin umrze, lecz właśnie teraz, w tej krytycznej chwili, pragnęła wyrzucić z siebie całą nienawiść do swego męża.

— Podobam ci się, prawda? — rzekła zalotnie.

— Tak — odparł Ron i odwrócił wzrok. — Zawsze cię pożałowałem.

— Pójdiesz więc ze mną do łóżka, jeśli cię o to poproszę — stwierdziła raczej niż zapytała.

— Tak — przyznał.

— Błagam, chodźmy do sypialni i zróbmy to!

Blythe stał nieruchomo, nerwowo gryząc zaschnięte usta. Znali się już ponad osiem lat, a dzisiaj, gdy nadchodził jej kres, wysunęła propozycję, o jakiej marzył przez pół minionej nocy. Ron spojrział na jej, niegdyś nieskazitelne, seksowne uda i poczuł nieopisany żal za bezpowrotnie utraconą rozkosz.

— Nie mamy czasu — rzekł. — Simon zaraz tu będzie.

— Do diabła z Simonem!

Ron podszedł do Cathy i chwycił ją lekko w tali, krzywiąc się w momencie, gdy jego dłoń dotknęła ropiejących wrzodów. Lecz każdy pretekst był dobry, aby zabrać ją z powrotem do łóżka.

Cathy zarzuciła mu ręce na ramiona, nie była bowiem w stanie utrzymać się na nogach. Oddychała ciężko i głęboko, a z jej opuchniętego gardła dochodziło cicho rżenie.

Gdy uczyniła pierwszy krok, ugięły się pod nią kolana i już miał upaść, ale Ron ją w porę przytrzymał.

— Powoli, na pewno dasz radę ^szepnął.

Przeszli przez mały korytarzyk i dotarli do drzwi sypialni, a wtedy ona wybuchnęła nienaturalnym, nerwowym śmiechem.

— Połóż się - rzekł Ron, lecz Cathy złapała go za nadgarstki i mocno przyciągnęła do siebie. Blythe opierał się, z całej siły próbując zachować równowagę.

— No chodź, Ron, przecież zawsze tego pragnąłeś. Teraz masz szansę.

Jej twarde sutki sterczały nabrzmiałe gorącą krwią i Blythe widział, że Cathy jest silnie podniecona. Jakieś potężne moce podtrzymywały ją jeszcze przy życiu, podsycając dzikie pragnienie kochania się po raz .ostatni z mężczyzną.

Ron wyszarpnął wreszcie ręce z jej uścisku i natychmiast odskoczył. Cathy runęła bezwładnie na łóżko, lubieżnie rozkładając nogi. Ich oczy spotkały się. On patrzył na nią rozżalony, ona zaś — pełna pożądania. Dziewczyna pragnęła się podnieść, lecz tym razem zabrakło jej sił.

— Ty głupcze — szepnęła. — Ty biedny głupcze. Mogłeś mnie dzisiaj mieć.

— Wiem — odrzekł Ron spuściwszy wzrok. — Tak bardzo chciałem... O Boże, dlaczego to musiałaś być ty?

Z zewnątrz dobiegł przenikliwy, świdrujący dźwięk syreny. Cathy zamarła z przerażenia i zaczęła spazmatycznie drżeć.

— Przyjechali po mnie! — krzyknęła, wyciągając błagalnie ręce. — Nie pozwól im mnie stąd zabrać!

Ron odwrócił się i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju. Szybko zbiegł po schodach, czując, że serce wahało się jak młotem. Rzucił się do frontowych drzwi, a gdy je otworzył, ujrzał dwóch ubranych w białe kitle mężczyzn, idących w górę wysypanej grubym żwirem ścieżki. Pierwszy z nich, siwiejący, miał około pięćdziesiątki, drugi był dużo młodszy.

— Mieliliśmy wezwanie. Poważnie chora kobieta.

— Proszę na górę rzekł Blythe. — Ale potrzebne będą nosze.

Młody chłopak zawrócił do ambulansu, a jego kolega wszedł do mieszkania.

— Czy ma pan jakieś podejrzenia? — spytał lekarz stojąc w przedpokoju.

— Tak — odparł Blythe zagryzając usta. — Zatrucie środkiem chwastobójczym. Brak odtrutki. Tą substancją przedostała się do Zbiornika Claerwen w wyniku katastrofy cysterny transportowej. Pisano nawet w gazetach...

— Hm, czytałem coś o tym. — Lekarz zsunął na tył głowy swą śnieżnobiłą czapkę i podrapał się w czoło. — Chodźmy, trzeba ją wpierw obejrzeć.

Stłumione jęki Cathy doszły do nich, jeszcze zanim weszli na półpiętro. Chrapliwe rżenie świadczyło o tym, że chora jest już w agonii.

Lekarz skrzywił się w chwili, gdy weszli do sypialni. Nie mógł powstrzymać awersji wywołanej wstrętnym odorem gnijącego ciała.

Cathy leżała tak, jak pozostawił ją Ron. Miała zamknięte oczy i nieprzytomnie gryzła swoje własne palce, a z jej podrapanej skóry ściekały purpurowe strużki krwi. Nie miała pojęcia, co się dookoła niej dzieje.

— O Chryste — wyszeptał przerażony lekarz. — Musimy ją natychmiast zabrać do szpitala w East Midland.

Blythe usłyszał, że ktoś idzie po schodach. To młody sanitariusz niósł przenośny wózek dla inwalidów. Ron odsunął się nieco, aby nie patrzeć, jak ci dwaj zawijają Cathy w bawełniany koc i znoszą w dół, do ambulansu.

Stanął przy oknie i po raz ostatni ujrzał Cathy. Mężczyźni wsunęli ją wraz z wózkiem w tylną część samochodu. Sanitariusz wszedł za nią do środka, po czym lekarz zatrasnął drzwi i usiadł za kierownicą.

Ambulans ruszył. Zabłyśło jasnoniebieskie światło, a

syrena zawyła, gdy pojazd nabrał szybkości. Blythe stał jeszcze długo przy oknie. Zastanawiał się, dlaczego dorosły mężczyzna nie potrafi płakać. Boże! Gdyby tak mógł się wyrzucić, a potem uciec stąd, daleko od tego przekłętego miejsca.

Czarna austin — taksówka — gwałtownie skręciła w ich ulicę i zahamowała przy krawężniku obok domu. Jakiś wzburzony człowiek wyszedł z samochodu. To Simon. Wyglądał dość niedbale, miał rozwiane włosy i przerzuconą przez ramię marynarkę. Pośpiesznie wręczył banknot taksówkarzowi i nie czekając na resztę wbiegł do mieszkania. Ron słyszał, jak przeszedł przez hall i począł wchodzić na piętro.

— Cathy, Cathy! — jęknął, otwierając drzwi sypialni.  
— Gdzie ona jest?

— Zabrano ją do szpitala — rzekł Ron. — To dla niej najlepsze miejsce.

Simon tłumiąc szloch usiadł na rozgrzebanym łożku i ukrył twarz w dłoniach. Trząsł się, nie był w stanie nad sobą zapanować. Dopiero po chwili spojrział na brata.

— Czy... — bał się zadać to pytanie, lecz wiedział, że musi. — Czy ona ma jakąś szansę przeżycia?

— Obawiam się, że nie — Ron spuścił wzrok. — Tylko cud mógłby ją uwolnić od cierpień. Cud albo szybka śmierć.

Simon był załamany. Siedział nieruchomo i patrzył bezmyślnie przed siebie. Podniósł wreszcie głowę, a w jego oczach pojawiła się nienawiść, zajaśniała nienawiść do brata.

— To TY ją zabiłeś, Ron. Równie dobrze mógłbyś jej wepchnąć nóż prosto w serce.

— Mów, co chcesz, jeśli ci to pomoże. Zniosę teraz wszystko. Lecz, do cholery, czuję się tak samo podle, jak ty.

— Słowa, słowa... słowami nie mogę cię zranić. Obyś zatruł się kiedyś tym swoim pieprzonym Weedsprayem i cierpiał tak strasznie jak ona.

Simon wstał, zacisnął pięści i podszedł do brata.

— Zanim mnie uderzysz — rzekł spokojnie Ron — musisz powiedzieć mi, gdzie pracowała Cathy.

— Co? Po diabła ci to potrzebne? — spytał zaskoczony Simon.

— Tam zatrula się twoja żona.

— Skąd wiesz?

— Doszedłem do tego drogą prostej eliminacji. Gdyby skażona woda płynęła w rurociągach twojego domu, wszyscy troje czekalibyśmy teraz na śmierć. Ty, ja, tak samo jak Cathy. Lecz, jak na razie, czujemy się dobrze. Należy zatem jak najszybciej powiadomić o wypadku tych wszystkich, którzy praco wah razem z Cathy... choć też już pewnie są chorzy...

— Rozumiem — Simon zbłądł. — No tak... Johnson, firma Briscoe i Bartlett, Colmore Row.

— Dzięki. A teraz, jeśli chcesz, możesz mi przyłożyć w pysk.

Simon odwrócił się: — Jadę do szpitala — wyszeptał.

Ron Blythe już po raz drugi tego dnia został sam w opustoszałym domu. Zszedł na dół i usiadł w fotelu obok telefonu. Broadhurst powinien wkrótce zadzwonić. Trzeba cierpliwie czekać.

Wtem gdzieś w oddali, ponad codziennymi hałasami podmiejskiej ulicy rozległ się ostry, przenikliwy dźwięk, który zdawał się Powoli narastać. Brzmiał jak uwertura grana przez orkiestrę symfoniczną: coraz głośniejszy i głośniejszy, aż wreszcie ogłuszająco.

Blythe zatkał sobie uszy, aby nic nie słyszeć. Na próżno: dźwięk rezonował wewnątrz jego czaszki, był tak natrętny, że nawet sen nie mógłby go zdusić. Może tylko śmierć...

Oto syreny karetok pogotowia, pojazdów straży pożarnej i wozów policyjnych ogłaszały rozpoczęcie despe-

rackiej misji miłosierdzia. .Wkrótce jednak miało się okazać, że nikt nie jest w stanie pomóc ofiarom rozpoczynającej się katastrofy.



## Rozdział V

Nastał słoneczny, jesienny poranek. Lato tego roku było bardzo upalne, a teraz, według prognoz ekspertów, nadchodziło babie lato. Obszary niskiego ciśnienia przesuwały się powoli nad Atlantyk, zapowiadając kolejne tygodnie suszy.

Dróżnik, który pracował w postawionej ponad wiaduktem kolejowej budce sygnalizacyjnej, miał dzisiaj dobrą widoczność. W tym miejscu boczny tor odgałęział się od głównej linii: innowacja, którą zaprojektowano, aby oddzielić połączenia międzymiastowe od lokalnych i umożliwić szybsze przejazdy pociągów. Opóźnienie na trasie Birmingham — Euston przez Coventry będzie teraz minimalne; dłuższy dystans w krótszym czasie.

Tu właśnie, w Ham's Hall, zbudowano również nowoczesną dyspozytornię mocy. Sąsiadujące z linią kolejową wysokie wieże były gigantycznym sercem tłoczącym do Birmingham ożywczą krew — elektryczność. Cały system na kilku akrach.

Początkowo sprzeciwiano się tej inwestycji uzasadniając, że Ham's Hall jest miejscem niewłaściwym ze strategicznego punktu widzenia. Lecz wojna skończyła się przecież ponad trzydzieści lat temu, argumentowali architekci. A jeśli wybuchnie następna, całe Birmingham zostanie zmiecione z powierzchni ziemi w ciągu kilku sekund podczas nuklearnej eksplozji. Razem ze swoją elektrownią i liniami komunikacyjnymi.

Po kilku latach plany zostały zaakceptowane i dzisiaj pociągi kursowały już regularnie co pół godziny, zużywa-

jąc miliony woltów energii elektrycznej. Wielki krok w nieustającym pochodzie ku przyszłości.

Teddy Wiliams czuł, że wspiął się nieco do góry po stopniach socjalnej drabiny. Nie był już zwyczajnym sygnalizatorem w tym okropnym molochu, New Street Station. Wyłonił się z morza przeciętności na eksponowane stanowisko. Fakt, że spełniał teraz obowiązki operatora ruchu w Ham's Hall nie był bez znaczenia: jako samodzielny pracownik miał pod sobą trzech podwładnych, „swoich, asystentów”, jak mawiał siedząc z kumplami przy szklaneczce whisky. Na pytania o zarobki odpowiadał jednak wymijająco, od czasu podjęcia nowej pracy brakowało mu trochę pieniędzy. Mówił wtedy o większej odpowiedzialności, choć naprawdę było zupełnie inaczej: mniej pociągów, mniej zwrotnic do obsługi. Życie stało się lżejsze. Coraz częściej rozmyślał o nadchodzącej emeryturze i czuł się bardzo zadowolony.

Tego ranka Ted był w doskonałym humorze. Gdy zajął miejsce przy napowietrznym stole manewrowym, spojrzął z dumą na swoje Wielkie Żelazne królestwo i podziwiał panoramiczny widok.

Coś było jednak nie w porządku. Dokuczliwy ból głowy towarzyszył mu już od momentu przebudzenia i psuł nieco jego radość. Obliznął spieczoną wargę. Miał w ustach jakiś nieprzyjemny smak, a na myśl o czekających w torbie kanapkach dostał gwałtownych mdłości. Spoglądał chwilę na stojący na bocznej półeczce termos: litr gorącej, mocnej herbaty. To powinno wystarczyć aż do końca zmiany, czyli do godziny czternastej.

Ted był zaniepokojony. Nigdy w życiu przed dziewiątą nie odczuwał pragnienia. A dzisiaj suszyło go w gardle tak, że nie mógł wytrzymać.

Ból głowy narastał. Wiliams żałował, że biorąc w kiosku gazety, nie poprosił o paczkę aspiryny. Zwrócił nawet uwagę na leżące obok sprzedawcy zielone opakowania,

lecz nie zdecydował się kupić. Nie pamiętał, kiedy ostatnio brał tabletki. Postanowił, że i tym razem nie weźmie, dolegliwości powinny przecież wkrótce ustąpić.

Ted odkręcił pokrywkę termosu i począł się zastanawiać nad przyczyną tej nieznośnej migreny. Powrócił myślami do minionego wieczoru. To prawda, wypił z Johnem trzy kufle piwa, lecz fundował sobie tę przyjemność codziennie od ponad dwudziestu lat i jeszcze nigdy nie odczuwał kaca. Nie, to stanowczo nie piwo. Nie miał też żadnych kłopotów ze snaniem. Zasnął natychmiast, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki i obudził się, jak zazwyczaj, o piątej trzydzięci. Próbował sobie przypomnieć, co zjadł poprzedniego dnia. Czekoladowy budyni na podwieczorek, a na kolację kromkę chleba z serem. Nic ciężko strawnego.

Teddy Williams pochodził z niezbyt zamożnej, robotniczej rodziny. Krepy i niskiego wzrostu, miał zawsze na głowie firmową czapkę z daszkiem, aby ukryć powiększającą się łysinę. Zgodnie z rodzowym zwyczajem nosił sumiaste wąsy, które przystrzygał w ten sam sposób, co jego ojciec i dziadek. Zaokrąglony brzuch był również dziedzictwem po przodkach, więc Teddy nigdy nie próbował walczyć ze swoją nadwagą. Pomiedzy jego poźółkłymi zębami tkwiła od rana do wieczora krótkka, orzechowa fajka. Była zazwyczaj zgaszona. Ted nie uzależnił się od nikotyny, tak jak większość palaczy. Potrzebował po prostu czegoś do ssania, aby zastąpić sobie smoczek, który odebrała mu matka, gdy miał cztery lata.

Teraz zaś czuł, że głowa mu pęka. Łapczywie wypił całe pół litra herbaty, choć była gorąca i parzyła gardło. Po chwili, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, powtórnie napełnił kubek. Nie do wiary, pomyślał Ted, to przecież ekwiwalent trzech małych piw, które pija co wieczór. Niewybaczalne złamanie tradycji.

Williams wychylił kolejną porcję ciepłego płynu. Przez

kilka sekund siedział oszołomiony, trzymając w rękach puste naczynie. Nie był w stanie ugasić palącego pragnienia. To nieprawdopodobne! W termosie chlupotała jeszcze resztką herbaty i Ted zastanawiał się, czy ma ją wypić.

Dzwonek telefonu przerwał jego półprzemyślane rozmyślenia. Automatycznie podniósł słuchawkę i usłyszał głos dyżurnego ruchu.

— Euston —Birmingham: siódma trzydzieści siedem; Birmingham —Euston: siódma czterdzieści.

Jedynie trzy minuty dzieliły przejazd przez wiadukt obu pociągów. Nieznaczne przyspieszenie lub opóźnienie jednego z nich oznaczało, że składy miną się w samym Ham's Hall. Zdarzało się tak czasami, przeciętnie raz na tydzień. Było to, rzecz jasna, bez znaczenia, lecz Ted Williams wołał osobiście przekładać zwrotnice.

Bezpieczeństwo kilkuset pasażerów zależało wtedy przez moment od niego. Siedząc przy tablicy manewrowej, patrzył na pędzące wagony i widział dziesiątki zamazanych twarzy, zwróconych w kierunku jego budki sygnalizacyjnej. Odczuwał to jako rodzaj podziękowania.

Ktoś zrobił swego czasu kilka lotniczych zdjęć nowej magistrali. Jedno z nich pojawiło się nawet na pierwszej stronie „Birmingham Post”. Ted oprawił je w ramki i powiesił w swoim mieszkaniu, które znajdowało się w małym domku z werandą, przy Alum Rock Road. Wszyscy goście, przychodzący zresztą coraz rzadziej, musieli obejrzeć to zdjęcie, lecz historia nowoczesnej linii kolejowej nikogo nie interesowała, tym bardziej, że Ted powtarzał ją aż do znudzenia.

Williams zasiadł dziś na stanowisku, wpatrując się w rozległą scenę u swoich stóp: sztuczny świat. Brzydki dla większości ludzi, lecz dla niego najpiękniejszy, w pewien sposób niebiański. Świat, w którym on, wybrany spośród tysięcy, zajął miejsce najwyższe.

Głowa bolała go coraz bardziej, nie mógł pozbierać

myśli. Jako władca wielkiego królestwa kierował najważniejszymi punktami zwrotnymi. Miał jednak kłopot, pewną wątpliwość: zadanie do wykonania, zbyt ważne, aby powierzyć je współpracownikom. Niestety, Ted zapomniał, co to było.

Czuł rosnące, nieznośne pragnienie, biały, opuchnięty język wystawał mu spomiędzy rozchylnych ust. Sięgnął po termos, lecz w pośpiechu uderzył weń ręką i pojemnik runął na podłogę z głośnym brzękiem tłuczonego szkła.

Ted schyliwszy się, wziął w ręce pobite naczynie, odkręcił pokrywkę i wylał całą zawartość do plastikowego kubka. Okruchy szkła spłynęły razem z gorącą, brązową herbatą, Williams bez wahania podniósł kubek do ust i odchylając głowę wypił wszystko jednym haustem.

Zbyt późno uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku: potłuczone szkło pokaleczyło mu podniebienie i stanęło w gardle. Potworny ból postawił go na równe nogi. Poczuł mdłości, a po chwili wymiociny pomieszane z krwią trysnęły mu z ust. Nie był już w stanie logicznie myśleć.

Poruszał się chaotycznie po swoim małym pomieszczeniu. Stół manewrowy, przedmiot jego nabożnego uwielbienia, nic teraz dlań nie znaczył. Zabłyśły ostrzegawcze światelka, ale Ted ich nie dostrzegł. Dzwignie, które powinien był przesunąć, pozostały nietknięte.

Chwiejnym krokiem podszedł do okna i spojrzął bezymyślnie w dół: dwa pędzące z przeciwnych kierunków pociągi. Hałas narastał na podobieństwo zwiastującego katastrofę huraganu. Z nadjeżdżającej z północy lokomotywy doszedł przeciągły gwizd. Lecz niestety, żaden z maszynistów nie zwolnił, niepomny na niebezpieczeństwo, powierzając w ślepych zaufaniu swe życie dyżurnemu operatorowi zwrotnic.

Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę... Teddy stał otumaniony, nieprzytomnie patrząc na torowisko. Z jego

poranionych warg spływała wciąż krew. Wreszcie rozpoznał pociąg, chwila wahania: coś miał zrobić, ale co?

Odłamki szkła tkwiły mu jeszcze w przełyku, rozcinając naczynia krwionośne. Spróbował przełknąć. Potrzebował płynu. Nieważne, czy to herbata, czy krew...

Maszyniści zbyt późno zdali sobie sprawę z tego, że zwrotnice nie zostały przełączone. Hamuke zapisać w daremnym proteście, z szyn posypały się iskry. Pędzące wagony zachybotwały się, lecz nic już nie mogło odwrócić katastrofy.

Huk.

Dwa stalowe potwory starły się w śmiertelnym pojedynku i na ułamek sekundy znieruchomiały. Po chwili wszystko runęło; wciąż połączone ze sobą wagony wyleciały w powietrze, pasażerowie zostali zgniecieni. Wielu zginęło na miejscu, inni odnieśli poważne rany.

Obydwa wraki potoczyły się w dół i gigantyczną kaskadą spadły z wiaduktu wprost na stojącą poniżej siłownię.

Najbliższa wieża została uderzona w najsłabsze miejsce — murowaną wypukłość dwadzieścia metrów poniżej szczytu. Budowla zadrżała w posadach i zaczęła się powoli walić, zasypując cegłami cały obszar u swych stóp.

Druga wieża otrzymała cios jeszcze silniejszy: zachwiała się i runęła na trzecią. Spowodowało to swego rodzaju reakcję łańcuchową: siedem wież siłowni poleciało jedna na drugą, każda następna z większym łomotem, niż poprzednia. Siły totalnej destrukcji święciły triumfy, aż w końcu z ogromnego rumowiska podniósł się w niebo tułaczman czerwonego pyłu.

Zniszczone budynki pogrzebały w swoich ruinach setki zmiażdżonych ciał. Pośród potężnego dudnienia ogromna konstrukcja w jednym momencie runęła na ziemię, drwiąc z ludzkiego geniuszu.

Wtem buchnęły pierwsze płomienie, błyskawicznie roz-

przestrzeniając się na całą magistralę. Wraki pociągów utworzyły gigantyczne ognisko, epitafium dla nieszczęśliwych ofiar.

Po chwili powietrzem wstrząsnęła silna eksplozja. Gwałtowny podmuch podsycił ogień, ciskając we wszystkich kierunkach palące pociski śmierci.

Pierwszy samochód pożarniczy przybył już po kilku minutach. Jego załoga nie miała jednak odwagi podejść do płonących budynków. Mężczyźni z bezpiecznej odległości bezsilnie obserwowali miejsce katastrofy. Niesamowity fajerwerk: wysokie na kilkadziesiąt metrów płomienie strzelały pod niebo podczas nieprzerwanych wybuchów. Makabryczne widowisko.

Kolejne wozy ratunkowe nadjechały z wielu kierunków. Lecz niestety, cała armia strażaków zmuszona była czekać, aż ogień nieco ugaśnie. Podjęcie natychmiastowej akcji oznaczałoby jedynie powiększenie liczby ofiar. Nikt zresztą nie przypuszczał, żeby którykolwiek z kolejarzy mógł ująć z tego piekła z życiem.

Požoga trwała dzień i noc.

Rodney Matthews, który terminował jako elektryk w Ham's Hall, nie był zadowolony ze swej pracy. Wiedział, że tu nie zrobi kariery, zaczął się zatem rozglądać za jakimś innym zajęciem. Pogrążony w rozmyślaniach szedł właśnie do kantyny, gdy usłyszał odgłos zderzenia dwóch metalowych kolosów.

Spojrzał w górę, na wiadukt i zamarł z przerażenia. Widział, jak mała budka sygnalizacyjna wyleciała w powietrze, a pociągi spadły z mostu, rozbijając się na wieżach siłowniczych. Budowle runęły jak kręgle. Rod zbyt późno zauważył, że jedna z nich, oddalona zaledwie o dwadzieścia metrów, waliła się wprost na niego. Pomyślał, że za chwilę zginie, że jego ciało zostanie zgniecione na

miazgę pod setkami ton cegieł i drutu zbrojeniowego. Stało się jednak inaczej.

Wielki ceglany fragment muru odpadł od konstrukcji, ale nie roztrzaskał się przy zetknięciu z gruntem. Poderwał jedynie tuman kurzu i znieruchomiał naprzeciwko tylnej ściany głównego biura kolejowego. Pociągnął jednak za sobą całą chmurę gruzu, która spadła z hukiem na cegły, lecz nie uszkodziła jednolitej struktury odłamka.

Rodney rzucił się na ziemię. Leżał tak, z głową ukrytą w ramionach przez kilka minut, aż wreszcie uświadomił sobie, że nawet nie jest ranny. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności, a w powietrzu unosił się pył.

Zakaszłał i powoli wstał. Szedł po omacku, z wyciągniętymi przed siebie rękami, zwracając uwagę na wystające cegły. Po chwili uzmysłowił sobie ze strachem, że kręci się w kółko. Krótka inspekcja wystarczyła, aby stwierdzić, iż jest zamknięty w pułapce. Ponad nim piętrzyło się kilkunastometrowe rumowisko. Ocalenie zawdzięczał kaprysowi losu, ale czy ma szansę przeżycia?

Z góry dobiegał ogłuszający rumor walącego się Ham's Hall. On był od tego odcięty, bezpieczny, choć beznadziejnie uwięziony.

Z początku czuł paniczny lęk. A gdy nie zdołał rękami wygrzebać wyjścia na zewnątrz, ogarnęła go rozpacz. Wybuchy wstrząsały ziemią, lecz jego ciemna cela stała nieporuszona.

Powietrze choć było pełne pyłu, pozwalało oddychać. Rod zastanawiał się, jak długo tu wytrzyma. Na pewno ktoś wkrótce przyjdzie mu z pomocą. Wtem, przestraszony, poczuł jakieś wibracje, a w chwilę później niezidentyfikowany trzask. Wreszcie domyślił się: to płomienie. Niszczący żywioł trawił budynki, aby dokończyć dzieła zniszczenia.

Minęło już pół godziny od momentu, kiedy gwałtownie poczęła narastać temperatura. Z początku nie było to



dokuczliwe, lecz kiedy po jakimś czasie Rod dotknął jednej z cegieł, z krzykiem cofnął oparzoną rękę. Dym jednak nie wdzierał się do środka, co oznaczało, że jego schronienie jest całkowicie szczelne. Uświadomił sobie wtedy, iż ma ograniczony zasób powietrza. Kiedy cały tlen zostanie zużyty, będzie musiał umrzeć.

Przestraszony Roddy Matthews bez nadziei czekał na pomoc pośród całkowitych ciemności. Upał narastał z każdą minutą, jak w piekarniku włączonym w celu przyrządzenia sztuki mięsa. To było właśnie takie miejsce: piekarnik. A on miał być mięsem.

Począł gwałtownie chwytac ustami powietrze, co jeszcze bardziej utrudniło oddychanie. Dobrze wiedział, że nie ma dla niego ratunku. Był z pewnością jedynym człowiekiem, który pośród tego koszmaru uchował się jeszcze przy życiu. Żałował, że nie zginął na miejscu.

Zatkał rękami uszy, aby nie słyszeć grzmotu spadających cegieł i trzasku huczących płomieni. Przypomniat sobie historie, którą matka czytała mu w dzieciństwie: „Jaś i Małgosia”. Stara wiedźma chciała w piecu usmażyć dzieci żywcem; jemu również groziła teraz taka śmierć. Ale dzieciaki ocalały, a on?

Rod począł się rozbierać. Zdarł z siebie ubranie, lecz to nie złagodziło cierpienia. Piekący ból dawał się już we znaki. Wytrzeszczył oczy i wystawił twarde, opuchnięty język.

Temperatura wciąż rosła. Rod upadł na ziemię, wyczerpany, ale nadal przytomny. W jego więzieniu zrobiło się nieco jaśniej, ponieważ cegły poczerwieniały z gorąca. Nie mógł oddychać. Czuł rwący ból głowy i zdawało mu się, że słyszy szatański śmiech, drwiący z jego męczarni.

Leżał teraz, dysząc ciężko w agonu na twardej, rozgrzanej ziemi. Chciał krzyczeć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jego spieczonych ust. Śmierć przychodziła po-

woli, zadając potworny ból, aż w końcu Rod zachłysnął się gorącym powietrzem i zmarł.

Po chwili ciemnobrazowy trup począł się palić.

Załogi strażackie stały beczynnio w odległości pięćdziesiąt metrów od najbliższych płomieni; fala gorąca utworzyła wokół Ham's Hall nieprzekraczalną barierę. Eksplozje nie były już tak częste, okazjonalne wybuchy wciąż jednak stały w górę potężne snopy iskier.

Niebo pojaśniało od ognia, a szary tuman dymu przesunął się w stronę Birmingham. Pozbawione elektryczności miasto wyglądało niesamowicie: łuna szalejącego pożaru oświetlała opustoszałe ulice, kładąc na ściany domów czarne, upiorne cienie. W oknach migotały małe płomyki lamp naftowych i świec. Serce, które utrzymywało Birmingham przy życiu, stanęło. Elektrownia została totalnie zniszczona.

Ham's Hall było teraz gigantycznym, płonącym rumowiskiem. Wszystkie wieże siłownice leżały w gruzach.

Dowódca straży, Parkinson, nie odrywał oczu od pożogi. Gorący wiatr dmuchał mu prosto w twarz i rozwiewał włosy. Miał porozpinany mundur, z kieszeni wystawał pomięty krawat.

Parkinson czuł się dziś nieszczęśliwie, ale nie było w tym nic dziwnego. Nigdy jeszcze w swojej karierze nie widział takich zniszczeń. Miał blade wspomnienia z czasów wojny: naloty, płonące budynki, szybkie akcje gaśnicze. Lecz katastrofy Ham's Hall nie dało się z niczym porównać. Nawet niemiecka Luftwaffe nie poczyniła takich spustoszeń.

Parkinson obliznął wyschnięte wargi. Nie pił, jak zresztą wszyscy, już od paru godzin. Pragnienie dokuczało mu coraz bardziej, bolała go głowa i czuł, że ma opuchnięte policzki. Oparł się o samochód i zapalił papierosa, ale po chwili zgasił go ze wstrętem.

Setki biednych głupców znalazły tam śmierć. Większość z nich, przywalona gruzami, zginęła na miejscu. Kilku nieszczęśników z pewnością spłonęło żywcem — to się zawsze zdarza podczas wielkich pożarów.

Pragniesz uczynić wszystko, co w twojej mocy, myślał Parkinson, ale czasami jesteś bezsilny wobec szalejącego żywiołu. Dopiero za kilka godzin będzie można rozpocząć akcję gaśniczą. Całkowite stłumienie ognia potrwa co najmniej tydzień, a oczyszczenie terenu z gruzu zajmie kilka miesięcy. Co do odbudowy... Hm, to pierwsza w historii Wielkiej Brytanii tego rodzaju katastrofa. Postawienie w jednym miejscu magistrali kolejowej i wielkiej siłowni okazało się zgubne w skutkach. Wszystko w porządku, dopóki coś nie nawali.

— Miasto oszalało, szefie — rzekł młody strażak podchodząc do Parkinsona. — Mamy doniesienia o kilku innych wypadkach. Wszystkie linie wychodzące z Birmingham są zablokowane. Zamknięto New Street i Moor Street. Co tu się, u diabła, dzieje?

Parkinson nie odpowiadał. Był sparaliżowany, niezdolny do stawienia czoła tej, czy innej sytuacji. Czuł, że jest chory i ma wysoką gorączkę.

Przymrużył oczy i ponownie spojrzał na płonące budynki. Dlaczego nikt nie pospieszył z pomocą, dlaczego wszyscy stali, patrząc biernie na dogorywające rumowisko? To przecież ich obowiązek; jako strażacy powinni natychmiast iść pomiędzy płomienie i nie zważając na ryzyko ugasić ogień.

JEGO obowiązek. JEGO odpowiedzialność.

Parkinson ruszył do przodu wiedząc, że inni na niego patrzą. Musi dać przykład, ktoś zawsze idzie jako pierwszy.

— Hej, szefie, proszę nie podchodzić zbyt blisko!

Parkinson zignorował ostrzeżenie i przyspieszył kroku. Szedł beznamiętnie jak robot, jego ciężkie ogniodporne

buty stapały miarowo po gorącej ziemi. Wokoło sypały się iskry. Jedna z nich oparzyła mu rękę, ale on nie zważał na ból.

Upał jak w piekle. Ostry dym tłącego się ubrania podrażnił mu drogi oddechowe. Zakaszłał. Spojrzał na swoje nadpalone spodnie, lecz zawzięcie kroczył dalej po rozżarzonym popielisku.

— Chodźcie tu, tchórzliwe gnojki!

Wtem poczuł ostre ukłucie w płucach. Przyczyną tego nie był jednak ogień, ale coś innego, jakaś straszliwa, nie znana mu wcześniej dolegliwość.

Z tyłu wciąż dobiegały krzyki, lecz nikt nie miał odwagi pójść za nim. Strażacy stali nieruchomo patrząc na swego dowódcę, który wspinał się teraz na zwalistą przymę gruzu, samotny naprzeciwko wielkiej ściany ognia.

Potykał się o wystające cegły, lecz szedł z determinacją do przodu, jakimś cudem zachowując równowagę.

Dotarł wreszcie na szczyt rumowiska, odwrócił się twarzą do swoich kolegów i wzniosł w dramatycznym geście obie ręce do góry. Przypominał teraz makabryczną, buchającą ogniem zjawę.

I w tym momencie spadła na niego potężna chmura iskier, grzebiąc poparzone ciało, na całopalnym stosie. Szef straży pożarnej, Parkinson, odszedł z tego świata.

— Przeklęty szaleniec — zamruczał jeden ze strażaków. — Każdy z nas może w tej pracy zwariować, jeśli nie będzie się mocno trzymać w garści.

— Spokój! Biercie sikawki, zaczynamy akcję! — wrzasnął na cały głos zastępca dowódcy, Warrington. On był teraz za wszystko odpowiedzialny. Bał się, że innym też coś strzeli do głowy i pójdą w ślady Parkinsona: dziesiątki strażaków wchodzących wprost do krematorium. Należało błyskawicznie działać, aby odwrócić ich uwagę.

Zawarzały silniki samochodów. Rozwinęto węże pożarnicze i podłączono je do hydrantów. Każdy doskonale

znał swoją robotę, wiedział, co należy wykonać. Najważniejsza jest efektywność, mawiał Warrington. Ugaszenie ognia to kwestia czasu, a kiedy na miejscu pożogi pozostaną jedynie mokre popioły, Warrington otrzyma oficjalną nominację na stanowisko dowódcy straży w Birmingham. Czy jest to w pełni uczciwe? Dochodzenie do wysokich urzędów po trupach swoich zwierzchników nierzadko spotyka się z ostrą krytyką. Lecz wszyscy widzieli, że Parkinson oszalał i sam pragnął śmierci.

Strażacy założyli hełmy i ujęli w ręce sikawki. Każdy z nich rwał się do akcji, najgorsza była-bowiem beczyność: długie godziny oczekiwania, aż największe płomienie ugasną.

Gorące i duszne powietrze ledwo umożliwiała oddychanie, więc wszyscy, którzy zostali wyznaczeni do pracy na pierwszej Unii, nałożyli maski tlenowe. Niebieskie błyski pojawiły się na tle pomarańczowego nieba: światła pędzących ambulansów.

TRACH! Potężna eksplozja wstrząsnęła ruinami. Ham's Hall wysłało pod niebo serię oślepiających ogni. Łuna wybuchu rzuciła jasne światło na twarze setek gapiów, którzy stanęli kilkadziesiąt metrów za samochodami ekip gaśniczych. Tłum zbierał się powoli podczas całego dnia — poszukiwacze mocnych wrażeń. Były pomiędzy nimi także typowe hieny cmentarne, ludzie odwiedzający wszystkie miejsca pożarów. Stojąc, cierpliwie czekali, aż pogorzelnisko ostygnie. Szli wówczas pomiędzy gruzy w poszukiwaniu ciał i kosztowności.

Warrington dał sygnał wyciągniętą do góry ręką. Ten teatralny gest był niepotrzebny, lecz z pewnością podnosił jego prestiż. Czuł się jak generał, który śle swym żołnierzom decydujący rozkaz: ognia!

W jednej chwili potężne strumienie wody zatoczyły nad ziemią łuk i jaśniejąc w blasku płomieni obficie trysnęły na syczące popioły.

Kłęby pary i dymu buchnęły z wielkiego rumowiska i uniosły się w powietrze w postaci ciemnoszarej chmury. Napięty tłum odetchnął, żałując jednak, że widowisko stulecia ma się już ku końcowi.

Tysiące litrów wody lunęły na dogasające szczątki magistrarli. Starażcy byli przekonani, że osiągnęli zwycięstwo, lecz wypadki potoczyły się inaczej.

W najbliższej okolicy pożar został już całkowicie ugaszony, gdy wtem, bez ostrzeżenia, gigantyczny słup ognia wystrzelił pod niebo.

Strażacy rzucili się do ucieczki. Cały teren stanął w płomieniach; różnokolorowe języki ognia poczęły znów chwieje pożerać raz już wypalone rumowisko.

Warrington nie wierzył własnym oczom. Ogień był wszędzie, jak gdyby na szerniałe gruzy wylano nagle jeziorko parafiny.

— Co tu się, do cholery stało? — spytał przerażony jeden ze strażaków.

— Nie wiem — wyszeptał Warrington — doprawdy nie wiem.

Kaskady płomieni strzelały w górę, rozprzestrzeniając się we wszystkich kierunkach.

— Zakręcić węże — rozkazał Warrington. To dziwne, lecz przyszło mu do głowy, że właśnie woda jest środkiem podsycającym ogień. — Natychmiast odciąć dopływ wody!

Sikawki przestały pracować i po paru minutach płomienie przygasły. Jedynie kilka bladych ogników tliło się jeszcze w centrum rumowiska. Warrington potrząsnął głową i wrócił do swego radiowozu. Z pewnością, myślał, znalazłby się ktoś, kto mógłby wytłumaczyć to przedziwne zjawisko.

## Rozdział VI

Zebranie na wysokim szczeblu członków Zarządu Wodnego trwało całą noc. Brali w nim udział ci sami ludzie co poprzednio, lecz atmosfera spotkania była całkowicie odmienna. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, że stało się najgorsze. Środek chwastobójczy wpłynął do wodociągów Birmingham, a jego śmiertcionośne działanie wywołało skutki, jakich nikt nie przewidywał.

Zadzwonił telefon. Szef zarządu podniósł słuchawkę, odpowiedział coś szorstko i podał aparat naczelnikowi policji.

— Do pana — rzekł — straż pożarna.

— Halo, Croxley. — Twarz naczelnika pobladła, gdy słuchał relacji strażaków.

— Rozumiem. Poczekajcie chwilę, zapytam fachowców z Weedspray Limited.

Zaciąwszy usta Croxley odwrócił się do Blythe'a i Broadhursta.

— Chodzi o pożar Ham's Hall — rzekł. — Straż rozpoczęła akcję gaśniczą, lecz wydaje się, że... woda jest łatwopalna.

— O Chryste! — szepnął Broadhurst.

— No tak — rzekł Blythe. — Kolejne nieszczęście. Weedspray jest najbardziej palnym środkiem ze wszystkich preparatów chwastobójczych. Nigdy nie mieliśmy możliwości, aby przetestować go na taką skalę, lecz nie wolno zapominać, iż wystarczy mała iskra, aby błyskawicznie stanął w płomieniach.

— Woda zawiera środek chwastobójczy — rzekł Croxley do aparatu — nic nie możemy na to poradzić.

Dopóki nie otworzymy jakichś nowych ujęć, ogień będzie nam wciąż zagrażał. Obserwujcie miejsce wypadku i czekajcie na nowe polecenia.

Croxley westchnął i odłożywszy słuchawkę zwrócił się ponownie do zebranych.

— Drodzy panowie, stanęliśmy w obliczu bezprecedensowej sytuacji. Pożar nie daje się stłumić, zamiast wody moglibyśmy równie dobrze nalać do gaśnic benzyny. Na domar złego, całe miasto jest pozbawione elektryczności. Na ciemnych ulicach zaczęły grasować groźne bandy przestępców. Co jeszcze? W wyniku serii katastrof kolejowych wszystkie linie w rejonie Birmingham zostały zablokowane. Ludzie pracujący na szczególnie odpowiedzialnych stanowiskach — dróżnicy, operatorzy maszyn — wpadli w obłęd na skutek spożycia Weedsprayu. Mieszkańców miasta ogarnęła panika, wszyscy na gwałt chcą opuścić teren Birmingham. Czy zdążą? Przypuszczam, choć nie badałem jeszcze tej sprawy, że na drogach utwo-

rzyły się gigantyczne korki. Moim zdaniem nadszedł czas, aby premier zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów i podjął jakieś radykalne kroki, mające na celu przywrócenie porządku.

Zapadła cisza. Dwunastu mężczyzn spojrzało po sobie, lecz nikt nie zdobył się na konstruktywny komentarz. Z sąsiedniego pomieszczenia doszedł stłumiony szmer rozmowy. Prowadzono tam konferencję z udziałem radnych oraz burmistrza. Oni również szukali jakiegoś wyjścia z sytuacji, przerażeni napływającymi co godzinę strasznymi doniesieniami z miasta.

Z zewnątrz nieprzerwanie dobiegały ryki syren przejeżdżających ambulansów oraz głosy funkcjonariuszy policji, którzy próbowali uspokoić zebrane na ulicach tłumy.

— Należy ewakuować całe Birmingham — rzekł po chwili Broadhurst.

— Wykluczone — warknął poirytowany Croxley. —



To zresztą nie rozwiązałoby problemu. Miasto padnie wtedy łupem złodziei i chuliganów. Rozpocznie się totalna anarchia.

— Lecz uratujemy życie tysięcy ludzi.

— Teoretycznie tak. Ale nie w praktyce. Wiemy, że Weedspray powoduje szaleństwo — mieliśmy na to wystarczające dowody. Z pewnością wiele osób spożyło już płynącą z kranów truciznę, znajdują się oni teraz we wczesnym stadium choroby. Słyszałem dzisiaj propozycję, aby wszystkich rejestrowanych przestępców przetransportować pod strażą do zakładów zamkniętych w Londynie i Manchesterze. Ale czy to coś da? Niewinni ludzie, zwykli mieszkańcy Birmingham, wpadną wkrótce w obłąd i staną się równie niebezpieczni. Nie możemy dopuścić, aby chorzy wyjechali z miasta.

— Przepraszam was na chwilę, panowie. — Blythe powstał zza stołu. — Muszę zatelefonować do szpitala. Moja szwagierka uległa zatruciu i chciałbym się dowiedzieć, czy jeszcze żyje.

Zadowolony opuścił pokój i jego niezdrową atmosferę. Zszedł na dół po schodach do foyer, gdzie wisiał automat telefoniczny. Mógł skorzystać z aparatu umieszczonego na piętrze, lecz pragnął być przez chwilę zupełnie sam. Jeśli Cathy umarła, co jest raczej pewne, będzie potrzebował spokoju, aby dojść do siebie.

Ron wykręcił numer, lecz krótki urywany sygnał informował, że linia jest zajęta. Mają tam pewnie sporo roboty. Odłożył słuchawkę, gdy nagle przemknęła mu przez głowę pewna myśl: zadzwoni do Margaret.

Sygnał był wolny, ale nikt nie odbierał. Margaret przebywa zatem wciąż u swej matki. Blythe pomyślał, że mógłby tam zatelefonować, lecz po chwili wahania odrzucił ten projekt.

Spróbował raz jeszcze połączyć się ze szpitalem, niestety, bezskutecznie. Wszedł powoli na górę, czując coraz

większe przygnębienie. Był w pułapce, uwięziony w mieście śmierci, z którego nie ma ucieczki.

Wrócił do zadymionej sali obrad. Croxley znów siedział przy telefonie. Wszyscy w skupieniu patrzyli na niego, uważnie przysłuchując się rozmowie.

— Tak, oczywiście panie premierze — mówił cichym, ledwo słyszalnym głosem naczelnik policji. — Poinstruję natychmiast moich ludzi... wkrótce zdam panu dokładną relację.

Croxley odłożył słuchawkę i gryząc wargi spojrzął na zebranych.

— Z każdą godziną sytuacja się pogarsza — powiedział. — Mamy doniesienia, że dziesiątki rozbitych samochodów blokują główne drogi wyjazdowe. Spanikowani mieszkańcy chcą uciec za wszelką cenę. Członkowie Rady Ministrów wprowadzili na terenie całego Birmingham stan najwyższego zagrożenia. W obecnej chwili nie ma żadnych szans na rozwiązanie problemu, należy więc odizolować miasto. Dziś jeszcze przybędą tu oddziały wojskowe, które kordonem otoczą rogatki. Każdy, kto będzie chciał opuścić skażony obszar, zostanie zawrócony. Jeśli wybuchną zamieszki, podejmiemy akcję pacyfikacyjną.

A więc to tak, pomyślał Blythe, władze zamierzają poświęcić Birmingham, aby ocalić resztę kraju. Amputacja chorej kończyny ma powstrzymać rozwój gangreny. Mój Boże, co się stanie z Cathy, z Simonem, z nim samym; co się stanie z tymi wszystkimi, którzy siedzą teraz obok niego uczestnicząc w naradzie? Decyzja rządu była bezlitosna. Podczas pierwszej wojny światowej generałowie wielokrotnie wysyłali mały pluton na pewną śmierć, aby uratować cały regiment.

Ron usiadł i napełnił fajkę tytoniem. Po raz pierwszy w życiu czuł się całkowicie bezsilny.

Kolejka na dworcu lotniczym w Elmdon uformowała

się już wczesnym rankiem. Ludzie z pospiesznie spakowanymi bagażami stali lub siedzieli przygnębieni na ławkach. Niemowlęta spały w ramionach matek, a starsze dzieci kurczowo trzymały za ręce rodziców.

Wtem zatrzęszczał megafon i rozległ się głos spikera: „Dzień dobry państwu. Z przykrością informujemy, że wszystkie loty do Londynu i Manchesteru zostały już zarezerwowane na najbliższe czterdzieści osiem godzin. Z polecenia naczelnego kontrolera komunikacji powietrznej przerwano połączenia z Francją, Hiszpanią i innymi krajami na kontynencie. Prosimy o cierpliwość. Mamy nadzieję, że sytuacja się wkrótce wyjaśni”.

Komunikat wywołał pomruk niezadowolenia. Co takiego się wkrótce wyjaśni? Decyzja naczelnego kontrolera, czy problem zatrucia wody? Stojący przy kasach ludzie pragnęli jak najszybciej wydostać się z miasta. Kilka osobistych drobiazgów oraz nieco gotówki stanowiło cały ich majątek. Wszyscy rzucili się dzisiaj do kas oszczędnościowych i banków, lecz większość z nich zamknięto już na cztery spusty. Pieniądze zniknęły.

Tłum na dworcu lotniczym wciąż się powiększał. Niedośli podróżni byli podenerwowani. Grupy młodych chuliganów rozpoczęły głośne skandowanie, domagając się przerwania blokady odlotów. Ktoś rozpoczął bójkę i musiała interweniować policja.

Okolo południa na lotnisko przybyły oddziały wojskowe, które miały wkroczyć do akcji na wypadek rozruchów. Istniała obawa, że zdesperowane gromady ludzi wedrą się na pas startowy i podejmą próbę porwania samolotu.

Kolejny komunikat: „rejs Paryż — Birmingham; planowy przylot dwunasta zero trzy”.

Niewielu chyba śmiałków miało odwagę przybyć dziś do Birmingham. Wieści o katastrofie rozeszły się już po kontynencie i zagraniczni biznesmeni pospiesznie odwoły-

wali umówione spotkania. Funt leciał na łeb na szyję, gospodarce Wielkiej Brytanii zagrażała ruina.

Jumbo-jet z Paryża pojawił się na horyzoncie i po kilkunastu minutach podszedł do lądowania. Z płyty lotniska dano świetlny sygnał do rozpoczęcia tego manewru. Nie było podstaw, aby podejrzewać, że coś nie jest w porządku. Powątpiewać w kompetencje personelu technicznego oznaczałoby nie ufać nikomu. Każdy z pilotów musiałby wówczas osobiście dopilnować tysięcy spraw związanych z eksploatacją maszyny.

Oczekujący tłum pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo. Na trzecim pasie rozpedzał się właśnie do startu wielki samolot transportowy. Jumbo-jet leciał dokładnie w jego kierunku.

Było już za późno, kiedy francuski pilot poderwał maszynę, starając się uniknąć *kolizji*. Chciał przelecieć ponad transportowcem: wspaniały popis sztuki sterowniczej, ale wszystko na próżno.

Z rozdzierającym łoskotem podwozie jumbo-jeta uderzyło w startujący samolot. Obydwa kolosy potoczyły się w pełnym pędzie po pasie startowym, podskakując do góry niby w jakimś cyrkowym popisie.

Metalowe kadłuby zostały rozerwane na strzępy. Spiecione ze sobą wraki zarył w betonową nawierzchnię i wpadły z impetem na trzecią, stojącą na płycie, maszynę.

Po chwili wszystko znieruchomiało, zapadła kompletna cisza. Świadkowie katastrofy wstrzymali na moment oddechy, gdy wtem potężna eksplozja wyrzuciła pod niebo oślepiający słup ognia.

Rozbite samoloty stały w płomieniach. Kilkanaście ludzkich głów spadło z głuchym łomotem na beton, pięćdziesiąt metrów od piekła. Nieruchome oczy martwo parzyły w niebo, a na otwartych ustach zastygły okrzyki przerażenia.

Zakrwawione członki i zmasakrowane ciała leżały

wszędzie dokoła. Trupy tych, którzy pozostali wewnątrz samolotów, uległy natychmiastowej kremacji; śmierć zebrała swe żniwo.

Zgromadzone tłumy poczęły historycznie wrzeszczeć.

Policja i wojsko były bezradne; beznadziejna sytuacja: żadnego ambulansu, żadnego wozu gaśniczego. Jedyne dla przyzwoitości portowi strażacy rozwinęli sikawkę i podłączyli ją do hydrantu. Próba ugaszenia tym sprzętem pożaru nie miała szans powodzenia, lecz zaniechanie działania oznaczałoby publiczne potępienie w prasie.

**Pojedynczy strumień piany wypłynął z gumowego węzła, ale gdy woda trysnęła na płonące wraki, ogień buchnął z niewiarygodną siłą, trawiąc jeszcze gwałtowniej nadpalone szczątki kadłubów.** Gorące powietrze odrzuciło ekipę gaśniczą do tyłu. Przerażeni strażacy schronili się w poczekalni dworca.

Oniemiałe tłumy patrzyły na niewytłumaczalne zjawisko. Wszyscy stali, jak w hipnotycznym transie, obserwując tańczące niebieskozielone ogniki. Skonsternowani kontrolerzy ruchu powietrznego nie mogli uwierzyć własnym

oczom. Z wyjątkiem jednego, obsługującego trzeci pas startowy, leżącego teraz na podłodze, pod tablicą rozdzielczą, ze spuchniętym językiem na wierzchu. Rozdrapywał nieprzerwanie swe rany, aby doznać choć chwilowej

**Masowy exodus z Birmingham rozpoczął się we wczesnych godzinach porannych, jeszcze przed katastrofą Ham's Hall. Z początku samochody opuszczały śmiertelnie niebezpieczną strefę dość uporządkowaną kolumną, kierując się na autostradę Aston, a dalej do węzła Spaghetti, z którego odchodziły drogi we wszystkich kierunkach: na północ, wschód i zachód. Prawie nikt nie jechał na południe, gdyż sądzono, że Londyn podzieli wkrótce los Birming-**

|  
I  
'  
.  
I

ham. Należy skierować się na tereny wolne od zabudowań, mówili sobie ludzie, tam, gdzie są lokalne ujęcia krystalicznie czystej wody.

Pojazdy, jeden za drugim, powoli wyjeżdżały z miasta: samochody z przeładowanymi bagażnikami, furgonetki, minibusy, ciężarówki. Postanowiono nie wracać, dopóki problem Weedsprayu nie zostanie rozwiązany. Jeśli w ogóle kiedykolwiek...

Rosło zniecierpliwienie. Wielu podróżnych skarżyło się na pewne dolegliwości. Kilku z nich wyobrażało sobie chorobę pod wpływem przemożnego lęku, inni zaczęli już naprawdę odczuwać palące pragnienie. Paniczny strach ogarnął uciekinierów.

Okazało się jednak, że pierwotną przyczyną karambolu na autostradzie Aston nie było zatrucie wody przez środek chwastobójczy. Ziarno katastrofy zostało zasiane już na długo przedtem, zanim cysterna wioząca Weedspray wjechała z wąskiej szosy w Walii i rozbiła się w głębinach Zbiornika Claerwen.

Błady promyk nadziei zamigotał na chwilę w życiu Bena Wilkesa i zaraz potem zgasł. Radosne światło rozjaśniło jego ponury świat, lecz niestety, moce ciemności nie dały się pokonać.

Poranek był taki sam jak wszystkie. Fakt, że to poniedziałek, pogarszał nieco samopoczucie Wilkesa, lecz właściwie nie miało to większego znaczenia. Odnosił wrażenie, że już od lat porusza się, jak astronauta, w nieskończonej czarnej pustce i czekał tylko na śmierć.

Szedł tego dnia, jak zazwyczaj, na przystanek autobusowy. Wysoki i przygarbiony, wyglądał na dwadzieścia lat więcej, niż miał w rzeczywistości. Nikt nie mógł uwierzyć, że ma dopiero trzydzieści siedem lat. Rzednące długie włosy opadały grzywką na pograżoną w permanentnej depresji twarz. Nie śmiał się nigdy, nie miał zresztą ku te-

mu powodów. Ciemny garnitur w jodekę nadawał mu wygląd przedsiębiorcy pogrzebowego, a w najlepszym wypadku — skromnego urzędnika.

Nikt na przystanku z nim nie rozmawiał. Już bardzo dawno temu — kilka osób jeździło z Benem autobusem numer cztery od ponad dziesięciu lat — stwierdzono, że próby nawiązania rozmowy z tym ponurym człowiekiem są daremne. Wilkes unikał kontaktów, stał zawsze nieruchomo trzymając w ustach papierosa, z którego popiół spadał mu szarą kaskadą na marynarkę.

List otrzymał w sobotę. Po raz kolejny wyszarpnął urzędowe pismo z rozerwanej koperty i trzęsącymi się rękoma rozłożył zapisaną czarnym drukiem kartkę. Czytał z determinacją tonącego człowieka, który nie może uwierzyć, że pływająca mu na ratunek kłoda drewna nie jest w stanie utrzymać jego ciężaru.

W zatłoczonym autobusie wpatrywał się w maszynopis, stojąc, jak skazaniec, któremu wręczono kopię wyroku śmierci. Nie wierzył w to, pragnął wyszukać jakieś zdanie, które przeczyłoby okrutnej decyzji.

Nic takiego nie znalazł. List był bardzo lapidarny i brzmiał następująco: „Drogi Panie Wilkes. Z przykrością informujemy, że pańska aplikacja na stanowisko przedstawiciela spółki handlowej została rozpatrzona odmownie. Wakat jest już zajęty”. To wszystko. Nic więcej. Nawet dostojny tytuł: „Drogi Pan Wilkes” nie był w stanie go pocieszyć.

Ben wsunął pismo do koperty i przycisnął je do swej piersi. Nie chciał się z nim rozstawać, gdyż było symbolem tego, co MOGŁO się zdarzyć. Przypominał teraz rozbitka, który patrzył, nie odrywając wzroku, na przepływający w oddali statek, aby choć przez chwilę poczuć błogi powiew upragnionej wolności.

Rozmowa kwalifikacyjna, te kłamstwa, że jest bezrobotny i szuka pracy wszystko na próżno. Benny Wil-

kes tkwił w 'martwym punkcie; ogarnęło go paraliżujące otepienie.

Bankowość! To rak, który powoli degenerował mu umysł zmieniając w bezmyślnego robota. Ben czuł się poniżony, gorszy od swoich pracodawców, kolegów... a nawet od własnego ojca. Boże, jak strasznie nienawidził ojca, bardziej niż swej beznadziejnej egzystencji. Zaciśnął pięści i wściekle zagryzł usta, z oczu buchnął mu płomień nienawiści, wydzierający się z głębi jego umęczonej duszy.

Ben powrócił myślami do początków swojej żalostnej kariery. Już w szkole średniej, gdzie wszyscy byli przeciwko niemu, musiał ciężko walczyć o przetrwanie, lecz upór i odwaga wyciągnęły go wówczas z kłopotów. Wiele wycierpiał od starszych kolegów, którzy brutalnie się nad nim znęcali; niejedną drwinę usłyszał z ust zarozumiałych wychowawców. To los każdego słabeusza. Przewycięzył jednak wszystkie trudności i pomyślnie zdał egzamin maturalny.

Bankowość, mój chłopcze — rzekł do Bena pan Wilkes senior, gdy ten ukończył Wilmington College — to naprawdę uczciwe zajęcie. Nie ma zawodu równie szacownego, więc moim życzeniem jest, abyś poświęcił się pracy bankiera. Perspektywy są astronomiczne.

Benny bał się ojca i nigdy nie śmiał kwestionować jego postanowień. Opór był zawsze bezskuteczny. Stary Wilkes pracował jako zarządca spółki finansowej od czasów wojny aż do emerytury. Wszystkie sprawy domowe obracały się dokoła pieniędzy i banków. Ben nie miał więc innego wyjścia.

— Ależ ojcie — tym razem próbował zaprotestować.

— Nie ma żadnego ale — Thomas Wilkes wsunął ręce w kieszenie swej eleganckiej marynarki, a pod jego szczeniastymi wąsami pojawił się zimny uśmiech, który natychmiast zniechęcił chłopca do dalszej dyskusji. — Nie możesz przepuścić tak doskonałej okazji, to żyła złota.



Zobaczysz<sup>^</sup> że kiedyś mi podziękujesz za trafny wybór profesji. Około trzydziestki będziesz już menedżerem.

Benny miał teraz lat trzydzieści siedem i wciąż zajmował posadę kasjera. Niepowodzenie. Dobrze o tym wiedział. Ojciec był wściekły, a zarządcy bankowi zrobili sobie z niego pośmiewisko.

Zmienił się w odludka, w szarego upiora, który codziennie, z wyrazem rezygnacji na twarzy, jeździł do pracy i z powrotem. Wreszcie postanowił odmienić swe życie i wysłał aplikację do firmy sprzedającej akcesoria toaletowe. Niestety nie został przyjęty.

Robota Bena polegała na automatycznym przeliczaniu pieniędzy i robieniu codziennego bilansu gotówki. Nie wymagało to żadnego wysiłku, funkcjonował jak robot: błyskawicznie sortował banknoty wyczuwając pakami, czy rachunek się zgadza, wiązał małe paczuszki, zawierające te same nominały i odkładał je na kontuar. Oglupiająca praca, przerywana czasami grzecznościową, nudną konwersacją.

Wreszcie, o godzinie piętnastej, kończono rozliczenia i Ben wsiadał do zatłoczonego autobusu, w którym zmuszony był stać na kołyszącym się dolnym pomoście, pomiędzy wesoło rozmawiającymi ludźmi.

Ben Wilkes nie roześmiał się ani razu już od trzech lat, od czasu, kiedy stary kasjer Walter Priest zmarł na gwałtowny atak serca. Nieszczęśnik upadł w agonii na podłogę, pod swoje mahoniowe biurko, i skonał w ramionach Wilkesa. Benny roześmiał się wtedy w duchu. A potem raz jeszcze, podczas pogrzebu, lecz od tamtej pory nigdy...

...Również matka Bena wiele wycierpiała z powodu bankowej tyranii, którą narzucił jej mąż. Patrzyła ze współczuciem na syna i płakała nad jego losem. Nienawidziła skostniałego trybu życia finansistów, tego dobrego

tonu towarzyskich spotkań, na których wymagano od niej fałszywej uprzejmości. Nie miała jednak siły protestować.

Wspólne posiłki stanowiły dla niej prawdziwą udrękę. Każdy obiad skropiony był obficie wynurzeniami na temat bankowości, śmiertelnie nudnymi wspomnieniami, a co najgorsze — Thomas Wilkes miał zwyczaj dawać głupie, niepraktyczne rady.

— Nie mogę tego zrozumieć, mój synu, dlaczego po dwudziestu latach pracy w banku nie wybiłeś się ponad stanowisko zwykłego kasjera — dzisiejszy chłodny poniedziałek podobny był do wszystkich minionych dni — chcę przez to powiedzieć, że nie mam pojęcia, skąd się u ciebie Wziął ten karygodny brak ambicji. Każdy, kto oblewa egzaminy w Instytucie dla Menedżerów, jest leniuchem lub głupcem — Wilkes zawiesił tu na chwilę głos, aby podkreślić znaczenie swych słów, po czym podjął wypowiedź:

— Nie wierzę, iż spółdziłem idiotę, sprawy finansów masz we krwi, drogi Benjaminie.. Jesteś po prostu leniwy. Wydaje mi się jednak, że możesz jeszcze wszystko nadrobić: odłóż na bok te niemądre kryminały, deprawujące ci jedynie umysł, i zajmij się zgłębianiem fachowej literatury. Dzięki temu unikniesz całkowitej degeneracji.

Benny powoli rozgryzał zimne mięso, pozostałe po wczorajszym obiedzie. Nie odpowiadał. Nie miał nic do powiedzenia. Stały, co prawda, w jego bibliotece dwa komplety grubych podręczników ekonomii, lecz on nigdy do nich nie zaglądał. Matka milcząco zgodziła się z ojcem. Każdy musiał aprobować postanowienia Thomasa Wilkesa, panowało tu prawo patriarchy...

...Nigdy mężczyzna nie jest bardziej samotny niż wtedy, gdy śpi bez kobiety. Ciemności wyolbrzymiają wówczas po stokroć jego zmartwienia i lęki, co prowadzi niekiedy do gwałtownych wybuchów uczucia. Silni faceci płaczą, słabi wrzeszczą i przeklinają. Ben pozostawał bez-

namiętny. Raz na zawsze ujął swą osobowość w karby logicznych schematów. Leżąc w łóżku cofał się myślami do minionych lat i godzinami rozważał przyczyny swojej słabości. Wreszcie wyłoniła się ostateczna konkluzja, zresztą nic nowego: wszystkiemu jest winna bezwzględna dominacja ojca. Gdyby Wilkes senior nie był tak apodyktyczny, Ben z pewnością odniósłby w życiu sukces. Nawet najczarniejsza robota sprawiałaby mu niebiańską radość. Lecz niestety, znalazł się w piekle: dwadzieścia straconych lat, których pokłosiem jest pobieżna znajomość kwestii finansowych. Już za późno, aby zmieniać zawód. Rozmowa z szefem firmy handlowej dowiodła, że jego kompetencje są niewystarczające. Gdyby teraz umarł, nikt by po nim nie zapłakał. Któż może się wzruszyć losem maszyny, która bezustannie Uczy pieniądze, kasuje czeki i unika towarzystwa ludzi.

Często miewał samobójcze myśli. Tylko jedna rzecz powstrzymywała go przed tym desperackim krokiem: strach. Nie miał odwagi tego zrobić. Pistolet był pod ręką, leżał w szufladzie ojca. Wystarczyło wsadzić lufę do ust i pociągnąć za cyngiel. Sekunda rwącego bólu i po wszystkim, wieczny spokój. Nie miałby nawet okazji spojrzeć na to, co z niego zostanie. Lecz nie, zbyt mocno się boi!

Tego wieczoru Ben nie myślał o samobójstwie. Jego umysł pracował logicznie, szukając wyjścia z tej koszmarnej sytuacji. Pragnął uwolnić się od bankowości i od najbardziej nienawistnego mu w świecie człowieka. W dzieciństwie nauczono go ślepego posłuszeństwa dla starszych, lecz lata prześladowań przepelniły go morzem goryczy, które właśnie poczęło wzbierać. Wszyscy dobrze znają oklepaną frazę: „nawet robak się kiedyś przebudzi”. Zdąrza się to również i urzędnikom bankowym, którzy stanęli u progu swej fizycznej i duchowej wytrzymałości. Benny przełamał w sobie ostatnią barierę.

Usiadł na łóżku z niespokojnie bijącym sercem. Genialna myśl przyszła mu do głowy: ZEMSTA. Należy wszystko dokładnie zaplanować, aby uderzyć w najbardziej żywotne miejsce i załatwić sprawę za jednym zamachem. Nareszcie!

...Młody Wilkes dopracowywał swój projekt przez ponad trzydzieści bezsennych nocy. Gdy ustalił najlepszą wersję działania, testował ją po tysiącokroć, godzinami ślęcząc nad jej każdym szczegółem. Przeprowadzał w myślach swą akcję, starając się przewidzieć wszystkie jej konsekwencje. Wreszcie plan był gotowy.

Teraz już wiedział na pewno: zabije swego ojca.

Morderstwo. Nie lubił tego słowa, brzmiało zbyt drastycznie. Po prostu „nieszczęśliwy wypadek”, którego wszystkie szczegóły pozostaną na wieki okryte tajemnicą. Ben przekonał sam siebie, że był to jedynie pechowy zbieg okoliczności. Nikt nie dowie się prawdy.

Dogodna okazja może nadarzyć się lada dzień. Należy go zabić jak najdalej od domu. Ktoś uprzątnie zmasakrowane pozostałości, a policja powiadomi o tragedii środki masowego przekazu. Ben wiedział, że matka będzie zadowolona, choć nie da tego po sobie poznać.

Thomas Wilkes zginie w wypadku samochodowym. W każdy poniedziałek pobiera z banku gotówkę i jedzie potem do klubu na lunch. Nikt mu wtedy nie towarzyszy...

...Przez cały następny miesiąc Ben studiował fachowe książki, aby dowiedzieć się, jak spowodować niewinny wypadek samochodowy. Długo nie miał żadnego pomysłu, lecz kiedy zakradł się pewnego dnia do garażu, stwierdził, że to bardzo proste. Stary buick miał już ponad piętnaście lat i od dawna wymagał kapitalnego remontu. Drażek kierownicy ledwo trzymał się na zardzewiałych śrubach. Wystarczyło je nieco zluźnić, pomyślał Ben, aby

po dwóch, trzech kilometrach jazdy ojciec stracił panowanie nad samochodem.

Idąc tej nocy do łóżka Benny aż płakał z radości. Swój obecny stan ducha porównywał z wielkim uniesieniem, jakiego doświadczył podczas pierwszego pobytu w cyrku, gdy miał pięć lat. Albo z tą błogą przyjemnością, której doznawał w wigilię świąt Bożego Narodzenia.

Przez wiele godzin nie mógł zasnąć, a kiedy rano, obudzony terkotaniem budzika, zerwał się z płytkiej drzemki, miał zaczerwienione oczy i zapadnięte policzki. Podczas wykonywania porannych czynności — golenia się, ubierania i picia kawy — czuł, że pulsuje w nim świeża krew. Na przystanku autobusowym stanął jako pierwszy i wesoło pozdrowił wszystkich swoich znajomych. Wielu z nich patrzyło na niego z niedowierzaniem...

...Tego dnia Thomas Wilkes był w złym humorze. Zawsze lubił poniedziałki, gdyż pobyt w banku, w jego dawnym miejscu pracy, odświeżał mu miłe wspomnienia. Lecz tym razem czuł się nie najlepiej. To przez Bena. Stary Wilkes nie mógł zrozumieć, czemu jego własny syn tak się zmarnował. Miał przecież doskonałą okazję, aby zrobić świetną karierę w biznesie, a tu nic! Czyżby był głupcem? Nie, po prostu zadowolonym z siebie leniuchem, który preferuje spokojne, domowe życie. Żadnej ambicji, żadnej samodyscypliny. Dziś wieczorem ostro z nim porozmawia, przedstawi mu bez ogródek kompromitujące fakty i zażąda od niego natychmiastowej zmiany postawy. Nos w książki i za dwa miesiące egzamin.

Wilkes senior wyjechał swym buickiem z garażu i zmieniając biegi skęcił na ruchliwą jezdnię. Podczas tego manewru poczuł duży luz w kierownicy, postanowił więc, że jak tylko wróci do domu, zadzwoni do warsztatu samochodowego i zamówi serwis. Niech sprawdzą, czy

wszystko jest w porządku. Bądź co bądź był ex-menedżerem banku, który zajmował się finansami ich firmy.

W miarę zbliżania się do centrum ruch uliczny narastał. Wilkes przeklął siarczyście i rzekł sobie, że za tydzień podejmie pieniądze we wtorek; na drogach jest wtedy luźniej.

Po kilku kilometrach szosa stała się bardziej przejezdna. Wilkes ujrzał przed sobą boczną autostrady Aston i pomyślał, że jeśli dobrze przyspieszy, zaraz wjedzie wprost do Birmingham. Mocno przycisnął pedał gazu, a wóz odpowiedział mu nagłym zrywem do przodu.

Jechał teraz tuż przy wewnętrznym krawężniku; zaledwie kilka metrów pomalowanego na biało asfaltu dzieliło go od pojazdów pędzących z naprzeciwka. Poprzedniej nocy padało; spod kół jadącego przed nim autobusu leciały na jego szybę całe strugi wody. Wilkes włączył wycieraczki, lecz one tylko rozmazały ściekające krople, co jeszcze bardziej ograniczyło widoczność. Wcisnął spryskiwacz. Do diabła, pusty! Zbiornik musi być wymieniany co tydzień, robota w sam raz dla Benjamina. Ten próżniak nigdy nie dotykał auta z wyjątkiem tych rzadkich okazji, gdy musiał raptem gdzieś jechać.

Coś chyba jest nie w porządku, pomyślał Wilkes. Niestety, uświadomił to sobie za późno. Samochód zjeżdżał co chwilę na boki, a on nie potrafił już nad nim zapanować. Wokoło rozbrzmiewały głośnie sygnały klaksonów, ktoś ostrzegawczo mignął światłami, aż nagle buick uderzył frontowym zderzakiem w tył autobusu, który niespodziewanie zwolnił.

Rozległ się potężny huk. Impet uderzenia wyrzucił buicka prosto na biały asfalt i dalej — na przeciwległy pas ruchu. Wilkes zamarł ze strachu, kiedy zauważył, że kręci kierownicą na próżno..

ŁUP! Potężna ciężarówka staranowała jego samochód, lecz eks-bankier już nie żył, zmarł kilka sekund wcześniej

na atak serca. Buick został zgnieciony, jak pusta puszką po piwie, i wpadł pod koła pędzących z naprzeciwka pojazdów.

Karambol. Rozbite samochody zablokowały autostradę, a uwięzieni w blaszanych pudełkach podróżni podnieśli histeryczny wrzask. W centrum gigantycznej kraksy leżał spłaszczony kawał metalu, spod którego powolnym strumieniem wyciekała purpurowa krew.

Po trzech minutach odgłosy syren i błyski niebieskich świateł oznajmiły przybycie ambulansów i wozów policyjnych.

Czarny ścierwojad, który również wybrał poniedziałek na dzień swjej wizyty w mieście, znalazł coś dla siebie pomiędzy wrakami; był to zakrwawiony kikut, zmiażdżona ręka, z której zwisały, trzymając się na resztkach ścięgien, na pół obcięte palce. Ptak rzucił się w dół, porwał zdobycz i uciekł w przestworza rozsiewając w powietrzu apetyczny zapach masakry.

W ciągu kilku minut w kolizję weszło kilkadziesiąt jadących na północ pojazdów. Podróżni, którzy pragnęli jak najszybciej opuścić Birmingham, zostali zablokowani. Zamiast zaciągnąć ręczne hamulce i cierpliwie czekać na oczyszczenie jezdni zjeżdżali na przeciwny pas ruchu i wymijając nieliczne, nadjeżdżające z przeciwka samochody, kontynuowali swą desperacką ucieczkę.

Szalony rajd pod prąd; karą za nieuwagę była śmierć. Luksusowy mercedes, wiozący czteroosobową rodzinę, wpadł pod przewożącą meble furgonetkę, rozbijając się na przednim zderzaku wielkiego pojazdu. Zaraz za nim w kolizję weszły dwa fiaty, które z hukiem wpadły do przydrożnego rowu.

Wreszcie pole bitwy ucichło, ze wszystkich<sup>^</sup> kierunków dochodziły teraz jęki rannych i umierających. Oszołomieni ludzie wychodzili z rozbitych aut w poszukiwaniu pomocy. Młody chłopak leżał na ziemi, miał obcięte nogi, z

otwartych ran wyciekała krew. Błagał o kroplę wody, lecz nikt go nie słuchał. Trzydziestoletnia kobieta w okularach przyciskała do piersi bezgłowe dziecko. Przykucnęła na tylnym siedzeniu samochodu, w którym leżał rzucony na kierownicę, pokaleczony trup jej męża. Nuciała maleństwu kołysankę, jakby nieświadoma swego losu, niepomna, że krew dziecka zalewa jej sukienkę.

Mężczyźni byli wściekli, obrzucali się wyzwiskami, dochodziło nawet do bójek. Syreny karetok pogotowia odzywały się nieprzerwanie, lecz do rannych nie było dojazdu. Jedynie piechotę, z noszami.

Czerwono-biały policyjny samochód patrolowy stał zaparkowany na zbudowanym ponad autostradą wiadukcie. Dwóch oficerów patrzyło przez wąską balustradę w dół. Ich twarze były blade z przerażenia.

— Jezu Chryste — szepnął jeden z nich — jak to uporządkować, Joe?

— Nie mam pojęcia — odparł starszy sierżant. — Tyle żelastwa; robota na całe tygodnie. Najlepiej to zostawić, aż uporządkuje się samo. Nie do wiary...

Wtem zaczęły eksplodować zbiorniki z paliwem i wraki stanęły w płomieniach. Ci, którzy byli w stanie iść o własnych siłach, powyczołgivali się z samochodów i ruszyli autostradą na północ, byle jak najdalej od straszliwego miejsca. Upiorna procesja liczyła kilka tysięcy osób. Wiele z nich przystawało na poboczu drogi przy kałużach z deszczówką. Jedni gasili palące pragnienie, inni — obsypali ropiejącymi wrzodami — polewali się zimną wodą, aby złagodzić piekący ból. Po chwili dołączali ponownie do ponurej kolumny uciekinierów.



## Rozdział VII

Ron Blythe wrócił do mieszkania swego brata.

W powietrzu wciąż unosił się ostry zapach śmierci.

Cathy na pewno już umarła, pomyślał. Nawet w doskonale wyposażonej klinice, obsługiwanej przez wysoko kwalifikowany personel, nie miała szansy na przeżycie. A Simon? Cóż go zresztą obchodził! Siedział pewnie w szpitalu albo nawet został pobity przez rozwścieczone w obłądzie tłumy. Może również zatrzał się Weedsprayem? Nie ważne.

Ron zrobił sobie filizankę kawy i przeszedł z nią do dużego pokoju. Skrzywił się, woda być może zawierała truciznę. I co z tego, do diabła? Każdy w końcu kiedyś umrze! Tysiące ludzi giną teraz w różnych dzielnicach Birmingham: w Ham's Hall, na dworcu lotniczym w Edmonstone, na autostradzie Aston, wreszcie na ulicach. Ron czuł się za to wszystko odpowiedzialny, opracował przecież śmiertelnie skuteczną formułę chemiczną. Inni, co prawda, wzmocnili działanie Weedsprayu, lecz to ON dał początek katastrofie. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Pijąc swą kawę Ron poczuł pieczenie w przełyku. Gdyby w tej filizance naprawdę pływała trucizna, jego życie miałoby romantyczny koniec.

Wstał i podszedł do okna. Ulice były opustoszałe; przybyśz mógłby czuć się tutaj jak w przytulnym podmiejskim zaułku. Dzień przypominał niedzielny poranek — na schodach puste butelki na mleko, w oknach zaciągnięte zasłony. Bezruch. Wszyscy wyjechali, dokądkolwiek, byle jak najdalej od Birmingham.

Ron raz jeszcze wykręcił numer szpitala. Wciąż zajęte.

**Zablokowano chyba wszystkie linie, łącznie z alarmowym 999.**

Stał przy aparacie gryząc końcówkę nie nabitej fajki. Kilka minut wcześniej wysłuchał przez radio najnowszych wiadomości: Birmingham zostało faktycznie odcięte od reszty kraju. Stała komunikacja kolejowa, samochodowa i powietrzna.

Oddziały wojskowe otoczyły miasto ciasnym pierścieniem; począwszy od Sutton Coldfield na północy, przez Solihull na południowym wschodzie, aż do Bromsgrove i Dudley. Wszystkie drogi wylotowe zostały zamknięte. Nikt, za wyjątkiem posiadaczy specjalnych przepustek, nie miał prawa wyjechać.

Blythe wiedział już, że nie może opuścić Birmingham, nawet gdyby chciał. Było to skutkiem jego przeklętej głupoty, która kazała mu przybyć z wizytą do Erdington. W gruncie rzeczy nie miał tu czego szukać. Po prostu kaprys, zachcianka.

Najgorzej zniósł śmierć Cathy, wciąż pocieszał się tym, że nie powiadomiono go oficjalnie o jej zgonie. Może jednak... Czuł się bezsilny. Jedyne, co mógł teraz uczynić, było przystąpienie do nowo sformowanych miejskich oddziałów ratunkowych.

Oddziały te zostały powołane na bezpośredni rozkaz rządu i prowadziły akcję od chwili, gdy stwierdzono skażenie wody w Birmingham. W skład dowództwa weszli: Zarząd Wodny, Croxley, Broadhurst, oh sam, czyli Blythe oraz wysoki oficer lotnictwa z RAF-u i kilku chemików, którzy wiedzę o Weedsprayu zdobyli w swoich ogródkach działkowych przy niszczeniu chwastów.

Bez wątpienia, pomyślał Blythe, gazety zrobią na tym niezłe pieniądze, choć w samym Birmingham niczego się teraz nie drukuje. Biura miejscowej „Poczty”, znajdujące się przy Colmore Street, zostały zamknięte podobnie jak wszystkie inne firmowe lokale. Lecz krajowe dzienniki nie

przepuszczą takiej okazji i skrzętnie wykorzystają tragedię setek tysięcy ludzi.

Wtem usłyszał, że ktoś wchodzi do mieszkania: miękkie kroki, ciężki chrapliwy oddech. Zapomniał, niestety, zamknąć na klucz drzwi wejściowych, czekało go teraz spotkanie oko w oko z intruzem. Pewnie złodziej albo jakiś szaleniec w ostatnim stadium choroby, szukający — jak ranne zwierzę — cichego miejsca, aby spokojnie umrzeć.

Szary cień padł w poprzek gościnnego pokoju.

— Co za... Ron! — przybysz oparł się o futrynę. Jego twarz była blada i zmęczona, zwichrzona włosy opadały mu na czoło, a zabłocony garnitur wisiał na nim w strzępach.

— Simon! — Ron podszedł do brata. — Dzięki Bogu, żyjesz! Szukałem cię wszędzie.

— Czyżby? Martwiłeś się o mnie? — wyczerpany Simon usiadł w głębokim fotelu. — Nie dam się nabrać na twoje ckliwe powitania. Ty egoisto, nie byłbyś w stanie dać komukolwiek nawet swojego własnego gówna!

Ron powstrzymał wybuch gniewu. W tej sytuacji, gdy stanęli w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, należało unikać awantur.

— Próbowałem cię odnaleźć — rzekł spokojnie Ron.  
— Dzwoniłem do szpitala, lecz wszystkie linie były zajęte.

— Szpital! — zaśmiał się ponuro Simon. — Mój Boże, gdybyś to zobaczył! To miejsce przypomina jakiś potworny dom noclegowy. Na korytarzach ścisk; brak łóżek, koce są na wagę złota. Chorych poukładano na płaszczach, kurtkach, starych workach. Nikt się nimi nie zajmuje. Wokoło pełno zwłok, personel nie trzusi się, aby je uprzętnąć, po prostu leżą na ziemi i gniją. Ludzie wymiotują na siebie nawzajem, zresztą lekarze również nie mogą powstrzymać mdłości. Całe tłumy próbują wdrzeć się do tego szpitala: jedni chcą splądrować kuchnię, inni mają

nadzieję, że zostaną wyleczeni... Na moich oczach policjant zastrzelił chłopca, właściwie jeszcze dziecko, który nie robił nic poza tym, że usiłował wejść ze swoją dziesięcioletnią siostrą do środka, na salę przyjęć. Ostrzegali go, no tak, w porządku, ostrzegali: „spierdalaj stąd, ty mały gnojku, bo rozprujemy ci flaki”. Chłopak nie ruszał się z miejsca, więc jeden z tych sukinsynów wpakował mu kulę w brzuch. Dzieciak skrzyknął się z bólu, przeklinając swoich morderców i w tym momencie strzelono po raz drugi. Pocisk zmasakrował mu twarz. Oto, co się zdarzyło, Ron... Dwa dni wracałem tutaj z Bordesley Green. Na zewnątrz, poza domem, człowiek czuje się jak zaszczute zwierzę. Wojskowi w opancerzonych samochodach patrolują ulice, rozpędzają zbierające się tłumy, otwierają ogień do wszystkich, którzy nie chcą podporządkować się ich rozkazom. Poza tym — plaga bandytów. Widziałem, jak ja-cyś rabusie odarli człowieka z ubrania i nagiego rzucili do rynsztoka. Czasami przebycie kilkuset metrów zabierało mi parę godzin... Ron, należy się ukryć i przeczekać to piekło.

— A co z... czy widziałeś Cathy? — spytał niepewnym głosem Ron.

— Tak. O Boże, tak! — Simon ukrył twarz w dłoniach — szukałem jej godzinami. Wszedłem do szpitala, zanim jeszcze przybyło wojsko. Daremnie przemierzałem dziesiątki sal i korytarzy. Było zresztą więcej takich jak ja. Wszyscy szukali swoich najbliższych, wykrzykując ukochane imiona na cały głos. Zaginęła tam niejedna Cathy, niejedna... I wreszcie odnalazłem ją, w momencie, kiedy byłem już bliski rezygnacji.

Simon przerwał i spojrzał niewidzącym wzrokiem przed siebie. Przypomniat sobie całą tę dramatyczną scenę.

— Kanalie! — krzyknął nagle histerycznym głosem.  
— Gdy ją przywieźli, łóżka były już zajęte, położyli ją za-

tern w jakimś nędznym magazynie za kuchnią. Wrzucali tam dziesiątki chorych, dopóki nie zabrakło miejsca. Trupiarzami. Jedni wśliznęli się na drugich, prawdopodobnie poszukując wygodniejszego koca. Boże, leżał na niej jakiś typ. Wyglądał na włóczęgę, alkoholika, faceta z marginesu. Rozebrał ją i próbował... Nie wiem, które z nich zmarło pierwsze.

Głos Simona zamarł i z jego krtani wydobył się nieoponowany szloch.

— Jej ciało zaczęło się już rozkładać — rzekł wreszcie cichym, ledwie słyszalnym szeptem. — Żałuję, naprawdę żałuję, że ją ujrzałem.

Simon wstał i chwiejnym krokiem poszedł do kuchni. Ron usłyszał brzęk przestawianych naczyń, a po chwili jakaś szklanka roztrzaskała się w zlewozmywaku. Do diabła! Simon odkręcił kran i nalał sobie wody do kubka. Wypił wszystko jednym haustem i ponownie napełnił naczynie. Gasił w ten sposób pragnienie przez całe pół minuty.

Ron zrozumiał: jego brat padł ofiarą Weedsprayu; zostało mu zaledwie kilka godzin życia.

— Ron, pamiętaj, nie rób tego... nie bierz do ust tej cholernej wody. — Simon stanął w drzwiach ledwo trzymając się na nogach.

— A ty? Jak to się stało?

— Wracałem do domu przez ponad czterdzieści godzin. Po pewnym czasie zacząłem skręcać się z pragnienia i jak bezmyślne zwierzę przywarłem do rynsztoka. Wiedziałem, że już po mnie, pragnąłem jedynie umrzeć we własnym mieszkaniu.

Ron skinął głową. Patrzył na brata, jak ten wchodzi na schody i kurczowo trzymając się poręczy pokonuje stopnie. Wtem Simon upadł i na kolanach powoli wczółgał się na półpiętro do sypialni.

Ron począł się zastanawiać nad swoją sytuacją. Jego

obowiązkiem było natychmiast dołączyć do komitetu ocalenia miasta. Ci nudziarze nie opracują bez niego żadnego konstruktywnego planu działania. Wciąż obradują, wymyślając jakieś śmieszne teorie, kręcąc się wokół tych samych beznadziejnych rozwiązań.

Nie chciał jednak wracać na salę posiedzeń. Pomyślał, że o wiele lepiej, choć to ryzykowne, podjąć próbę ucieczki z Birmingham. Podążyć prosto na północ, do Margaret. Bez sensu! Szanowna pani Blythe siedzi pewnie wciąż u swojej matki, a on nie ma zamiaru jej prosić o powrót do domu. Oboje, on i Margaret, byli już sobą od wielu lat zmęczeni.

Blythe wyszedł przed dom i stanął w małym, przytulnym ogródku, uchylając się od promieni popołudniowego słońca, które przeświecało przez nagie gałęzie żywopłotu. Usłyszał dobiegające z oddali wrzaski; tysiące głosów jak hordy rozszalałych kibiców obrzucały wyzwiskami sędziego, domagając się zniesienia wszelkich zasad sportowej rywalizacji. Tak właśnie było teraz w mieście: tłum stanął przeciw prawu. Zatruta woda występowała w roli silnego rywala, który dyktuje warunki gry. Nikt nie wątpił w to, że ostatni gwizdek ogłosi jego miażdżące zwycięstwo.

Ron zszedł z niskiego podjazdu i nie oglądając się za siebie skręcił w opustoszałą ulicę. Simonowi nie można już pomóc. Najlepiej więc będzie, jeśli umrze w samotności; z pewnością zresztą nie pragnął towarzystwa brata.

Blythe szedł powoli w dół podmiejskiej ulicy i dotarł po jakimś czasie do dużego bulwaru. Tłumy ludzi zebrały się tam wokół mięczczyzny stojącego na odwróconej drewnianej skrzyni. Mówca żywo gestykulując co chwilę wskazywał na niebo. Ron uśmiechnął się gorzko. Kilka tygodni temu ten heretycki prorok zostałby zignorowany albo szyderczo wyśmiany. Dzisiaj — przestraszeni ludzie zwrócili się ku niemu, oczekując zbawiennego pouczenia. Posz-

liby nawet za samym diabłem do piekła, gdyby tylko oznaczało to wydostanie się z Birmingham.

Blythe słuchał przez kilka minut napomnień ulicznego kaznodziei. Nie interesowało go nawrócenie, nie był przecież, pomimo swej ciężkiej' winy, hipokrytą. Nigdy nie wierzył w Boga. Chciał po prostu gdzieś na chwilę przystanąć, aby trochę odpocząć i pozbierać myśli.

Wtem głośny brzęk tłuczonego szkła przerwał wywody mówcy. Wszyscy spojrzeli w stronę, z której dobiegł hałas: kilkanaście metrów dalej stało trzech długowłosych wyrostków, to jeden z nich rzucił cegłą w szybę wystawową supermarketu. Nie zwracając uwagi na wiszące szklane stalaktydy, chłopcy weszli w trójkę do sklepu i wywlekli stamtąd kilka skrzyń z napojami. Oranżada, piwo, nieważne co. Byle mieć pewność, że butelki pochodzą spoza Birmingham.

Zgięci w dół pod ciężarem kontenerów rabusie rzucili się do ucieczki. Biegli w górę ulicy, lecz nagle przystanęli i upuścili butelki, szkło rozprysło się na chodniku.

Zza rogu wyjechał pomalowany w ochronne barwy samochód wojskowy. Siedzieli w nim żołnierze w stalowych hełmach na głowach, uzbrojeni w ciężkie pistolety maszynowe.

Kierowca dostrzegł uciekających i dodając gazu natychmiast ruszył w ich kierunku.

Chłopcy wstrzymali ucieczkę i z przerażeniem w oczach stanęli pośrodku ulicy. Podnieśli ręce do góry w błagalnym geście poddania, lecz w tej wojnie nikt nie brał jeńców, prośba o ulaskawienie została odrzucona.

Rozległ się trzask naciskanych spustów, a po chwili ostra salwa wstrząsnęła budynkami, odbiła się od nich echem i ucichła.

Seria pocisków odrzuciła całą trójkę do tyłu. Kule roztrzaskały im czaszki, strumienie krwi trysnęły z rozer-

wanych tętnic. Runęli na chodnik ,padając na siebie nawzajem.

Rozpędzony jeep z impetem najechał na trupy. Spod kół doszedł trzask łamanych kości, a z porozpruwanych brzuchów wypływały poskręcane jelita. Ludzkie szczątki zmieniły się w bezkształtną, odrażającą masę.

Zgromadzeni na wspólnej modlitwie przechodnie z przerażeniem obserwowali całe zajście. Strażnicy porządku publicznego skrzyłi w boczną ulicę, pozostawiając za sobą dwa równoległe krwawe ślady opon.

Blythe ruszył dalej i po chwili zatrzymał się obok zmasakrowanych ciał. Wyciągnął z porzuconego kontenera butelkę i spojrział na zieloną kartkę informacyjną: PŁYN DO MYCIA NACZYŃ. Ci trzej desperaci pochwycili najbliższe skrzynki. Zginęli zupełnie niepotrzebnie.

Wszędzie wokoło w tym okropnym mieście śmierci umierali niewinni ludzie. Wojskowy terror siał spustoszenie na równi z samym Weedsprayem.

Po katastrofie na autostradzie Aston podjęto pod kierownictwem policji sprawną akcję, mającą na celu uprzątnięcie zwłok z szosy i przetransportowanie ich do kostnic. Śmierć zebrała swe obfite żniwo i choć nad miastem zawisła groźba totalnej zagłady, próbowano zachować pozory normalności. Każde zwłoki otrzymywały kartę identyfikacyjną, której kopię wysyłano do rodziny zmarłego. Jedną z tych kart dotarła do Wilkesa juniora oraz jego matki.

Benny wielokrotnie podczas swej dalekiej od świetności kariery bankowej był wzywany do biura naczelnego dyrektora. Nienawidził tego. Dobrze znał surowe spojrzenia Wilkesa, kierownika referatu obsługi walutowej, którego głęboko osadzone oczy zdawały się wyrażać najwyższe potępienie jego skromnej osoby. Najgorzej czuł się jednak przed gabinetem samego Russella, gdzie należało spocząć



na twardym, niewygodnym krzeselku i oczekiwać wezwania. To wszystko było obliczone na poniżenie cichego urzędnika: krzesło zostało ustawione w ten sposób, aby pracownicy banku oraz jego klienci mogli do woli naprzeczyć się na delikwenta poproszonego na rozmowę z potężnym dyrektorem firmy.

**Lecz tego poniedziałkowego poranka wizyta w gabinecie Russella przebiegła zupełnie inaczej. Około południa, właśnie w momencie, gdy Ben zastanawiał się, czy wszystko poszło pomyślnie, do jego biurka podszedł Withers.**

— Pan Russell chce się z panem widzieć — rzekł ci-  
chym, pełnym współczucia głosem.

Ben skinął głową. Oczekiwał tego wezwania już od ponad godziny, zaczął nawet podejrzewać, iż nic się ojcun stał. Teraz nadszedł czas działania. To nie powinno być trudne.

— Proszę usiąść, panie Withers — Russell wyglądał bardzo poważnie. Siedział za wielkim pulpitem i nerwowo bawił się okularami. Zdejmował je, odkładał na biurko, a za chwilę nasadzał z powrotem na nos. Drapał się po swojej łysinie i po raz pierwszy w życiu brakowało mu słów.

— Bardzo mi przykro... mam dla pana smutną wiadomość — zaczął Russell odzyskując powoli pewność siebie. — Chodzi o pańskiego ojca. Na autostradzie Aston miał miejsce gigantyczny karambol. Pana ojciec... Thomas Wilkes... zginął w swoim samochodzie.

Ben ukrył twarz w dłoniach. Musiał... aby Russell nie zauważył jego radości. Głośno zaszczołał, a był to płacz, który niósł ulgę po kilku godzinach bezustannego napięcia. Ben usłyszał, że dyrektor wstaje z fotela i podchodzi do niego. Ręka, którą można najlepiej określić słowem „przyjacielska”, spoczęła na jego ramieniu. Spojrzał pustym wzrokiem na Russella; chciał udawać człowieka przybitego nagłym nieszczęściem. Tak było chyba naj-

właściwiej. Czytał gdzieś, że otepienie jest pierwszą naturalną reakcją na tragiczne wieści.

— Poproszę, aby panna Watson przyrządziła panu filiżankę kawy — rzekł dyrektor. Otworzył drzwi i wydał stosowne polecenie młodziutkiej, zgrabnej sekretarce.

Kawa została podana już po kilku minutach. Benny wciąż nie mógł wykrztusić ani słowa. Jego plan się powiódł, nie było się o co martwić! Chyba że policja odkryje na drążku kierowniczym ślady manipulacji... Ben zbladł i trzęsącą się ręką podniósł filiżankę do ust.

— Niech pan jedzie do domu — powiedział Russell. Benny triumfował, skłonił swego szefa do okazania mu współczucia. Wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie samemu. — Zadzwonię po taksówkę. Mam nadzieję, że dzięki moim wpływom uda mi się, pomimo tego bałaganu, coś złapać.

Z każdą minutą sytuacja ulegała poprawie. Benny trzymał od razu dwie sroki za ogon. Stary Russell nie szczędził wysiłków, aby go podnieść na duchu. Był bardzo uprzejmy, nawet troskliwy i na dodatek zafundował mu darmową przejazdkę do domu. Koszty miał pokryć bank.

— Dziękuję. — Ben przełknął resztkę kawy. Dyrektor wyszedł z gabinetu, a po chwili wrócił z przewieszonym przez ramię jego płaszczem; młodszy kasjer otrzepywał palto z kurzu. Benny nie spieszył się z wyjściem, chciał jak najdłużej fetować swoje zwycięstwo.-

W domu o pierwszej trzydzieści! Benny lekko wyskoczył z taksówki i wszedł na chodnik prowadzący do jego mieszkania. Chciał coś zagwizdać, coś wesołego, lecz zawsze niemiłosiernie fałszował; milczał więc, choć przepęniała go radość.

Wtem zatrzymał się w miejscu, jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Nie mógł uwierzyć, że to, co przed sobą zobaczył, jest prawdą. Poczł nagły skurcz żołądka i nie

dające się opanować mdłości. To niemożliwe, pomyślał i zwymiotował wprost na starannie utrzymany trawnik. Staniając się na nogach patrzył półprzytomnym wzrokiem na dwóch policjantów, którzy siedzieli w masce żółto-zielonego jeepa tuż przy jego domu.

Spuścił głowę. No tak! Koniec nastąpił w momencie, kiedy wszystko miało się dopiero rozpocząć. Benny Wilkes był mordercą, którego ujęto nieomalże na miejscu zbrodni. Nie miał nawet czasu, aby nacieszyć się skutkami swego czynu. Usłyszał kroki nadchodzących policjantów, lecz nie śmiał podnieść wzroku. Poczł rękę na swoim ramieniu. Chciał krzyknąć: tak, to ja! Wszystko wam powiem! Lecz słowa utknęły mu w gardle.

— Proszę się uspokoić — łagodnym tonem rzekł policjant. Ben próbował przewyciężyć paraliżujący go strach. Bezskutecznie. Wielokrotnie widział w telewizji, że właśnie w ten sposób dokonuje się aresztowań groźnych przestępców. „Cokolwiek pan od tej chwili powie, może zostać zarejestrowane i użyte jako dowód przeciwko panu”. Ben tylko czekał na te słowa.

— To musiał być dla pana straszny cios, prawda? — powiedział jeden z policjantów, którzy prowadzili go teraz w kierunku domu. Ben zastanawiał się, czemu nie zakuwają go w kajdanki. Zapewne nie był dla nich typem nieobliczalnego przestępcy. Chcieli wpierw przeprowadzić krótkie, „przyjazne” przesłuchanie, aby stał się bardziej rozmowny na śledztwie. Nie ma potrzeby i tak powie im wszystko, całą prawdę. Nie mogą go przecież powiesić! Dziesięć lat więzienia, być może nawet zostanie przedterminowo zwolniony za dobre sprawowanie... Zresztą, nawet cela jest lepsza od tego cholernego biura.

— Ja, ja... - Benny próbował zdobyć się na decydujące wyznanie, lecz nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Pani Wilkes jest na górze — rzekł policjant, gdy

weszli do mieszkania. Benny spojrział na niego: sierżant, rosły chłop o czerstwym obliczu.

Policjant zdjął z kuchenki czajnik z gotującą się wodą i nalał Benowi herbaty. — Niech pan spocznie na łóżku

- kontynuował popychając go lekko ręką. - Pańska matka jest w szoku, to najzupełniej normalne. Sąsiadka już się nią zaopiekowała. Pan jest zresztą w podobnym stanie.

Benny spojrział na nich ze zdziwieniem. Grali w tę samą grę co on. To świetnie, dali się, idioci, nabrać! Zaciśnął usta i z rozbawieniem obserwował komedię, której dał wczoraj początek.

— To był naprawdę straszny wypadek — mówił dalej sierżant — jeden z największych karamboli w historii Birmingham. Napiszą o tym w gazetach, pokażą w telewizji. Jeśli obawia się pan jakichś nieprzyjemności z tego powodu, możemy udzielić panu na parę dni schronienia.

— Co spowodowało kolizję? — Ben przeklął moment, w którym zadał to ryzykowne pytanie. Prawdziwy morderca nigdy się w ten sposób nie zdradza.

— Stare bieżniki opon, poślizg — sierżant był zakłopotany. — Pan Wilkes hamował, ale bezskutecznie. Zjechał na przeciwny pas i zderzył się czołowo z nadjeżdżającą ciężarówką. Śmierć na miejscu. Wyjaśnię teraz panu, co nas tu sprowadza. To pański ojciec, hm... wiemy, lecz... zwłoki nie zostały oficjalnie rozpoznane, rozumie pan? Jeden z poszkodowanych kierowców, będących jednocześnie pewnym, że to wóz Thomasa Wilkesa, odmówił identyfikacji zmiażdżonego w jego wnętrzu trupa. Nie mogłem go zmuszać. Mamy zatem prośbę. Chcemy, aby udał się pan z nami do kostnicy.

Benny ponownie poczuł mdłości, lecz teraz już z innego powodu. Nikt nie podejrzewał go o morderstwo. Starcie opony zmyliły ślad i zapewne na tym sprawa się zakończyła. A do tego, jak na ironię, został poproszony na ins-

pekcję rezultatów swojej własnej zbrodni. Chciał skoczyć na równe nogi i krzyknąć: Ja to zrobiłem! Ja zabiłem tego starego sukinsyna i oszukałem was wszystkich! Lecz powstrzymał się, nie był przecież szaleńcem.

— W porządku — skinął głową — pomogę wam.

— Hm, to nie takie proste — sierżant spuścił wzrok i spojrzął na swoje buty — widok jest makabryczny.

Benny potwierdził swoją gotowość. Miał nadzieję, że policjant nieco przesadza.

— Chcę jeszcze przedtem zobaczyć się z matką — powiedział wstając z łóżka. — Za chwilę będę z powrotem.

— Proszę, niech pan idzie — policjant odetchnął z ulgą, słysząc zgodę Wilkesa juniora. — Nie ma pośpiechu.

Benny odwrócił głowę, aby ukryć nie dający się powstrzymać uśmiech. Nie ma pośpiechu! Po raz pierwszy w jego urzędniczym życiu.

Pani Wilkes spojrzała na syna, gdy ten wszedł do zagrożonej w półmroku sypialni. Benny pozdrowił siedzącą przy łóżku panią Thomspson. Kobieta wstała z krzesła, lecz Ben dał ręką znak, aby nie wychodziła z pokoju.

— Ja tylko na chwilę — rzekł. — Muszę zaraz jechać do kostnicy. Postaram się jednak jak najszybciej wrócić.

Wszyscy troje zastanawiali się teraz nad tym samym: w jakim stanie są szczątki, które wyciągnięto spod zmiażdżonego samochodu.

Ben spojrzął na matkę. Miała zapadnięte oczy, ale nie płakała, nie widać było po niej wielkiej rozpacz. Za parę dni z pewnością dojdzie do siebie. Pragnął ją we wszystko wtajemniczyć. Nie, jeszcze nie teraz, przez najbliższe miesiące nikt nie może się o tym dowiedzieć, ale kiedyś wyzna jej całą prawdę. Ona go zrozumie.

Po chwili odwrócił się i szedł na dół, do policjantów.

Ben zawsze odczuwał lęk przed kostnicami. Widział je dotąd tylko na filmach: leżące na metalowych stołach, na-

kryte prześcieradłami ciała, czasem spod płóciennych narzut wystawała ręka lub noga. Cichy świst uwięzionego w zimnych murach wiatru — niby nic nadzwyczajnego; śmierć, lecz człowiek ma wrażenie, że to inny, wrogi świat.

Kostnica, do której przybyli, była jednak jakaś odmienna. Wzdłuż ścian zostały ustawione w długim szeregu solidne drewniane szafy, a w każdej z nich mieściło się po pięć szuflad. Sierżant wraz z ubranym w biały fartuch dozorcą podeszli do szuflady numer sześćdziesiąt siedem. Benny popatrzył na nich ze zdziwieniem. W tam małym schowku nie mogli przecież umieścić tego tłustego konia, jakim był jego ojciec. To chyba jakaś pomyłka.

Po chwili ujrzał jednak, że wszystko się zgadza. Dozorca kostnicy wyciągnął z szuflady czarny polietylenowy worek, mniej więcej półtorametrowej długości, i zaczął go rozwiązywać. Sierżant cofnął się o kilka kroków do tyłu. Mimo iż był przyzwyczajony do widoku ludzkich zwłok, nie chciał patrzeć na zmasakrowane szczątki Thomasa Wilkesa.

— Czy rozpoznaje pan ojca? — Gdy Ben usłyszał suchy, beznamiętny głos odzianego na biało człowieka, zebrało mu się na wymioty. Stał roztrzęsiony, obłany potem, próbując opanować drżenie rąk.

Skąd, do cholery, ten strach? — to przecież rezultat jego własnych machinacji. Nie ma się czego bać! Przeciwnie, należy śmiało spojrzeć na swoje dzieło i co najwyżej na nie splunąć.

Benny zbliżył się i zajrzał do worka. Nie było tego wiele. Przypomnił sobie dawne czasy, kiedy jeszcze trzymali w domu psa, potężnego dobermana. Co sobotę, wczesnym rankiem Ben chodził do rzeźnika i kupował tam za sześć pensów całą torbę gnatów. Miał wtedy sporo forsy, nawet więcej niż dziś... Jego ojciec wyglądał teraz

tak samo jak to żarcie dla psa: kości pomieszane z kawałkami mięsa, wszystko pokryte zakrzepłą krwią.

Z worka cuchnęło śmiercią. Benny stał nieruchomo przy szczątkach znenawidzonego tyrana i szeptał w duchu ostatnie słowa zemsty: podziękuj za to swojemu ukochanemu bankowi. Wygrałem! Jesteś teraz przy mnie mamą kupą gówna.

— A zatem? — stanowczy głos policjanta przeciął wybuch naglej wściekłości. — Czy rozpoznaje pan te zwłoki?

— Tak — Ben miał nadzieję, że nikt nie zauważył jego podniecenia. — To on. Te włosy, ucho...

Kłamał. Szczątki niczego nie przypominały, lecz sierżant zdawał się być zadowolony.

— Dziękuję — uśmiechnął się przyjaźnie i spojrzał na zegarek. — Proszę wybaczyć, że pana niepokoiłimy, lecz ktoś musiał to zrobić. Podrzucę pana do domu.

Pogrzeb. Dziesiątki pogrzebów przez cały tydzień — chowano ofiary katastrofy na autostradzie Aston. Ben Wilkes uświadomił sobie nagle, że jest sprawcą gigantycznej zbrodni. Przeszedł go lodowaty dreszcz. Być mordercą oznaczało posiadać władzę. Większą nawet niż Russell.

W małym podmiejskim kościele panował nieopisany tłok. Ben usiadł w pierwszej ławie, tuż przy matce w żałobnej sukni.

Nie mieli żadnych dalszych krewnych. I bardzo dobrze, tacy przychodzą jedynie po to, aby się najeść i upić na stypie. Skąd się jednak wzięli ci wszyscy nieznajomi ludzie? Czyżby chcieli wyrazić swoje ubolewanie z powodu śmierci bankiera, który nierzadko zwracał im czeki nie mające już żadnego pokrycia? Dziura w ziemi i wieczne zapomnienie powinny być dla niego jedyną zapłatą za niegodziwe życie. Ben nienawidził teraz ojca bardziej niż kiedykolwiek. Spojrzał na katafalk stojący przed głównym ołtarzem. To śmieszne! Przedsiębiorca pogrzebowy złożył

szczałki Thomasa Wilkesa do wielkiej dębowej trumny. A wystarczyłoby przecież plastikowe wiadro.

Nabożeństwo trwało już ponad pół godziny.

— Psalm 62 — rzekł wielebny pastor i zgromadzeni zgodnym chórem rozpoczęli uroczystą pieśń: „Dusza moja spoczywa tylko w Panu...”

Benny zastanawiał się, dlaczego bankierzy i księża mają anielskie twarze. Czy ktoś poza nim zwrócił już na to uwagę?

— Odszedł od nas szanowany obywatel miasta oraz skromny sługa Boży... — rozpoczął wikary. Benny z trudem stłumił chichot. To przecież bezwstydne kłamstwa. Wszyscy dobrze znali wredny charakter jego ojca, który w kościele pokazywał się jedynie na ślubach i pogrzebach. Dziś był tu po raz ostatni.

Karawan wyjechał ze świątyni, a za nim ruszył kondukt pogrążonych w skupieniu żałobników. Benny trzymał matkę pod ramię. Pani Wilkes miała na sobie czarny welon z woalką, nikt zatem nie zauważył na jej twarzy uśmiechu. Benny był w złym humorze. Pragnął, aby z nieba lunęły nagle strugi deszczu i przemoczyły do nitki tych wszystkich hipokrytów, którzy przepychali się teraz wokół rozkopanego grobu, czekając na finał ceremonii.

— ...a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen — dokończył pastor.

Jesteś już w połowie drogi, pomyślał Ben o ojcu, dwadzieścia kilogramów doskonałego naturalnego nawozu.

Czarne zwały ziemi runęły na dębową trumnę, grzebiąc ją na zawsze w mrocznym królestwie umarłych.

Sen czy rzeczywistość? Benny przez całą noc rzucał się niespokojnie na łóżku. Widział wokół siebie dogorywające ofiary katastrofy. Oskarżycielsko wyciągnięte palce wskazywały prosto na niego: morderca! Odwrócił głowę, lecz koszmarne obrazy nie znikły. Żyjące trupy, pozbawione



mięśni szkielety, wlokły za sobą płaty owrzodzonego ciała, nagie piszczelce białeły pośród ponurych ciemności.

— Nie zabiłem was! — Ben z krzykiem usiadł na łóżku — wypiliście zatrutą wodę. Sami spowodowaliście swój koniec!

Głuchy, sarkastyczny śmiech odbijał się od ścian małej sypialni. Makabryczne, pełne nienawiści twarze otoczyły Wilkesa zwartym pierścieniem.

Ben wstał, lecz zachwiał się i upadł na podłogę. Zimne ręce dotknęły jego *twarży, lepkie, wilgotne palce* wydzielały odrażający smród. Ohydna, cuchnąca śmierć! Poczują, że ktoś go dusi, dyszące zemstą widmo kolaniem miażdży mu krtań. Boże miłosierny!

Wstał, lecz nie mógł zrobić ani kroku, bo czyjeś dłonie zacisnęły się na jego kostkach. Wyszarpnął się, lecz po chwili ponownie poczuł paraliżujący uścisk. Musi natychmiast zapalić lampkę! Trochę wysiłku... PSTRYK! Białe światło poraziło mu źrenice, ostry ból dotarł aż do mózgu. Przemógł się jednak i ponownie otworzył oczy. Odetchnął z ulgą, gdy ujrzął, że pokój jest zupełnie pusty. Nieruchome meble, stary wytarty dywan. Te kreatury, były wytworem jego własnej imaginacji.

Ciało miał złane potem. Chłodny strumyczek ściekał mu z czoła na podbródek i na mokrą niebieską piżamę. Ben zatoczył się i usiadł na krześle.

Był chory. Czyżby zatrzał się środkiem chwastobójczych? To niemożliwe. Starannie unikał bezpośredniego kontaktu ze skażoną wodą. Pił wyłącznie puszkowane napoje, których całą skrzynkę kupił jeszcze tydzień temu. Od momentu ogłoszenia stanu klęski w ogóle się nie mył. Matkę drażnił jego nieprzyjemny zapach, lecz do diabła z tym! Jemu smród nie przeszkadzał. Bank został zamknięty do odwołania: Russell i Withers nie będą mu robić wymówek. Próbował sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach mógł zagrozić swojemu życiu.

Wtem przyszło mu coś do głowy. Mył przecież zęby. Starannie, jak zawsze, szorował je przez całe pięć minut. Potem dokładnie przepłukiwał jamę ustną, wszystko według zaleceń stomatologów. Połknął nawet trochę wody;

O Boże! Musi jak najszybciej ugasić palące pragnienie! W domu nie było już oranżady, ostatnią puszkę wypił kilka godzin temu. Pozostaje bieżąca woda.

Ben trwożliwie wysunął się z sypialni na ciemny korytarz. Wyciągnął rękę, aby zapalić światło, wciąż się bowiem obawiał, że dusze zabitych powrócą, aby go prześladować.

Słabiutka, czterdziestowatowa żarówka oświetliła całe pomieszczenie. Przeklinał swego ojca. Ten stary sukinsyn był zbyt skąpy, aby zamontować w przedpokoju jakąś jasną lampę.

Stał nieruchomo, nie mogąc się zdecydować, co najpierw zrobić. Chciał zaspokoić pragnienie, a jednocześnie męczyły go gwałtowne torsje. Miał przed sobą dwoje drzwi: pierwsze do łazienki, gdzie odbitym od bladej żarówki światłem lśniły dwa metalowe kurki; drugie do ubikacji, gdzie była muszla klozetowa.

Skierował się jednak do źródła wody. Odkręciwszy kran poczuł, że paląca żółć podchodzi mu do gardła, dławiąc go ostrym wyziewem.

Natychmiast pobiegł do toalety, aby zwymiotować. Zgięty w pół, trzymając się kurczowo muszli, pluł, charczał i o mało się nie zakrztusił. Po chwili wyczerpany pociągnął za spłuczkę. Płynący strumień wody brzmiał mu w uszach jak najpiękniejsza muzyka; był jak odgłos wodospadu szumiącego w zielonej oazie dla wycieńczonego z pragnienia wędrowca.

W głębi mieszkania otworzyły się jakieś drzwi. Usłyszał szelest miękkiego materiału, deski w podłodze zatrzeszczały pod bosymi stopami.

- Benny, Benny, jesteś chory?

Ben podniósł głowę i odwróciwszy się ujrzał stojącą na schodach drobną postać: rozczochrane włosy, zmizerowana twarz, długa pomięta koszula nocna.

— Benny, masz mdłości? — zapytała matka.

Mój Boże, pomyślał Ben, czyżby tu, w klozecie, porzrucane były zmieszane z keczupem ziemniaki? Idiotyczne pytanie! Głupota matki równała się bezwzględności ojca. Ben poczuł wściekłość. Gdyby zasrał całą podłogę, i powiedział, że to czekolada uwierzyłaby mu. Nigdy nie była w stanie odważnie stawić czoła rzeczywistości.

— Na twoim miejscu położyłabym się do łóżka — głos matki niespokojnie drżał — to normalna reakcja organizmu... wypadek ojca, pogrzeb... i ci ludzie, którzy wciąż umierają w całym mieście.

Ben poczuł, że wracają mu siły. Stał teraz pewnie na nogach, a dokuczające od godziny mdłości minęły bez śladu. Lecz niestety, nie mógł pozbierać myśli.

— Powiedziałaś: wypadek? — spojrzał na nią surowym wzrokiem, a ona cofnęła się o krok. Patrzył z rozkoszą, jak w zdenerwowaniu gniecie rąbek nocnej koszuli.

— Tak, wypadek — odrzekła cicho pani Wilkes — wypadek, w którym zginął twój ojciec.

— To nie był żaden wypadek — krzyknął Benny chrapliwym głosem.

— Co masz na myśli, mój synu?

— Ja go zabiłem — zaśmiał się ponuro Ben. Dzięki mnie dostał zapłatę, którą powinien był otrzymać już dwadzieścia lat wcześniej. Zluzowałem śruby w drażku kierowniczym doprowadzając w ten sposób do katastrofy.

— Jesteś chory — zdziwiona pani Wilkes patrzyła na syna ze strachem. Chciała wierzyć, że to są bzdury, mająki trawionego gorączką umysłu. Jednak czuła, sama nie wiedząc czemu, że powiedział prawdę.

— Ty bredzisz, Benjaminie. Jesteś chory, podobnie jak tysiące mieszkańców Birmingham.

— Tak, jestem chory — Ben zrobił krok w kierunku matki — lecz nie z powodu zatrucia skażoną wodą. To przez tego starego gnoja, twojego męża. I przez ciebie!

— Ben, nie wiesz chyba, co mówisz?

— Owszem, wiem doskonale. Chciałem wam to powiedzieć już dawno, ale nigdy nie miałem śmiałości. Z waszej winy jestem teraz śmieciem. Najpierw przyzwoita szkoła średnia, a potem ten pieprzony bank.

— Uspokój się, rozmawiasz ze swoją matką.

— Nie przerywaj mi! — wrzasnął Ben, powoli do niej podchodząc. — Na miasto spadła straszliwa plaga, nadszedł więc czas, aby skończyć z tak zwaną kurtuazją i wyrzucić z siebie tłumione przez lata pretensje. Należy rozpocząć życie od nowa. To tak jak podczas zarazy, tyle że jedynie nieliczni wyjdą z tego cało.

— Ty oszalałeś, Ben!

Pani Wilkes odwróciła się, aby wbiec po schodach na górę, do swojej sypialni, lecz Ben chwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem. Dotknęła jego poczerwieniałej twarzy, krzywiąc się w momencie, gdy poczuła bijący mu z ust ohydny, chory zapach. Odór przytłoczył ją zupełnie i bezsilna osunęła się w jego ramiona.

— Gdyby nie ty i ojciec — syknął Ben — byłbym już dawno uciekł stąd na prowincję. Lecz wyście mnie zatrzymali, abym tu gnił zawałony nudną biurową robotą.

Pani Wilkes próbowała krzyknąć, lecz Ben ścisnął jej gardło, uniemożliwiając wołanie o pomoc.

Na czole przerażonej kobiety pojawiły się nabrzmiałe purpurowe żyły, oczy wyszły jej na wierzch, a głowa bezwładnie opadła do tyłu... widziała już tylko, za czerwona-wą mgiełką, zastygłe w nienawistnym grymasie rysy twarzy swojego syna — mordercy. Trzymana w żelaznym uścisku, runęła nieprzytomnie w objęcia śmierci.

Ben puścił matkę dopiero po kilku minutach. Jej ciało

stoczyło się ze schodów i upadło na podłogę. Wyglądała teraz jak porzucona szmaciana lalka.

Ben rzucił się do drzwi łazienki, przechodząc tym razem obojętnie obok ubikacji. Wody! Był tak spragniony, że w pośpiechu nie zapalił światła. Zimny strumień trysnął z kranu na jego wystawiony język.

Wtem z półmroku wyłoniły się ponownie straszliwe zjawy. Przekleństwa, szyderczy śmiech, jakby całe miasto umarłych powstało ze zbiorowego grobu. Tysiące przegniłych twarzy, wyciągnięte w oskarżycielskim geście palce.

— Benjaminie, tyś jest naszym mordercą! Twe ciało zakończy dziś swój nędzny żywot, a dusza twoja skręcać się będzie w ogniu piekielnym aż po wieczne czasy!

Upadł bez tchu na podłogę. Czuł, że pogrąża się w bezdenną, czarną otchłań śmierci. Obrzękły mózg rozsadał mu czaszkę; po chwili leżał nieruchomo, a z jego otwartych ust sączył się strumyk purpurowej krwi.

## Rozdział VIII

Ron Blythe siedząc w zatłoczonym barze w Lozells zwrócił uwagę na pewną dziewczynę. Była mocno zaniedbana, lecz pomimo to atrakcyjna. Obcisła, pognieciona bluzka i pokryte plamami spodnie doskonale na niej leżały, podkreślając efektowne kobiece kształty.

Chuda raczej niż szczupła, ciemnowłosa, zaledwie o kilka centymetrów niższa od niego, miała regularne rysy i szczególnie wyraziste piwne oczy. Delikatny makijaż dawał jej tajemniczego uroku.

Siedziała smutna przy kontuarze, podparła głowę rękoma i nawet nie tknęła stojącej przed nią szklanki coca-coli.

Blythe przyglądał się jej uważnie, obejmując jednocześnie wzrokiem pozostałych gości. Panowało ogólne przygnębienie. Mężczyźni i kobiety, z których jedni zginą, a innym uda się przeżyć, przyszedli tu, aby otrzymać swoją dzienną rację puszkowanych napojów. Gasili pragnienie nie narażając się na zatrucie.

Na zewnątrz, na chodniku stał żołnierz z przewieszonym przez ramię karabinem. Bacznie obserwował całą ulicę, co parę minut zaglądał do kawiarni. Gdyby nie wojско, w Birmingham mogłyby wybuchnąć zamieszki, bunt stutysięcznego, żadnego czystej wody tłumu. Rząd zapobiegał w ten sposób również gwałtownej eskalacji cen; za nielegalny handel lub składowanie napojów groziła kara co najmniej pięciu lat więzienia. Codziennie każdy miał prawo nabyć w jednym z funkcjonujących jeszcze supermarketów litr płynu na osobę. Przepis ten nie powstrzymywał jednak masowych wędrowek od sklepu do sklepu

w poszukiwaniu kropli wody więcej. Należało przy tym bardzo uważać, aby nie dać się złapać z ponadprzydziałową butelką...

Kawiarniom zezwolono podawać konsumentom pół litra wybranego napoju, wszystkie zaś punkty dystrybucji płynów patrolowane były przez siły porządkowe, które baczyły na jakiegokolwiek oznaki niepokoju publicznego.

Rząd przyrzekł w najbliższym czasie sprowadzić do miasta tysiące cystern nieskażonej wody. Należało wpięć jednak oczyścić szlaki komunikacyjne — autostrady, tory kolejowe oraz doprowadzić do porządku port lotniczy w Elmdon. Kwestia dwóch, trzech dni, mówili przedstawiciele władz. Gdyby nie pożary, byłoby to już zrobione. Dwa, najwyżej trzy dni...

Blythe złapał się na tym, że znowu patrzy na dziewczynę. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna. Może to jej chłopak?

Mężczyzna przysunął się do niej ze swym krzesłem. Był wielki, barczysty, nosił wyświechtany kombinezon, a kolor jego skóry zdradzał domieszkę azjatyckiej krwi. Objął ją w talii.

— Nie dotykaj mnie! — zareagowała natychmiast dziewczyna. Wyswobodziła się z jego uścisku; szarpnęła się przy tym tak gwałtownie, że o mało nie spadła z krzesła.

Mężczyzna zamruczał coś, potem wybuchnął śmiechem i ponownie próbował wziąć ją w objęcia. Tym razem podniosła rękę i błyskawicznie uderzyła go z całej siły w twarz. Odgłos mocnego plaśnięcia rozszedł się po małej kawiarence.

— Zabierz te swoje brudne łapy!

Powoli, z udawanym spokojem mężczyzna rozcierał zaczerwieniony policzek. Wszyscy goście obserwowali to zajęcie, lecz nikt się nie poruszył. Była to zbyt błaha sprawa, aby interweniować.

— Należy ci się mała lekcja, siostrzyczko — rzekł olbrzym. Pochylił się do przodu i zanim zdążyła wykonać jakiś obronny ruch, chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

Ron instynktownie wstał i bez zastanowienia podszedł do szamoczącej się pary. Silnym ciosem wyzwolił dziewczynę z potężnego uścisku i przechylając napastnika na krzesła do tyłu, szarpnął go za kołnierz. Aby nie upaść, mężczyzna mocno ucpeł się Blythe'a, balansował przez chwilę w powietrzu i wreszcie runął na podłogę, pociągając Rona za sobą.

— Ty zasrany sukinsynu! — wrzasnął przygnieciony ciałem Blythe'a mężczyzna. — Nauczę cię dobrych manier!

Przerażeni ludzie odskoczyli od swoich stolików i stłoczyli się przy wyjściu. Zadzwieczętał zamontowany u drzwi elektryczny dzwonek i do snack-baru wpadł żołnierz z wycelowaną przed siebie lufą karabinu.

— Co tu, do diabła, się dzieje? — krzyknął w stronę walczących, a blady uśmiech przemknął po jego twarzy. Nareszcie jakaś akcja. Już zaczynał się nudzić, przez cały dzień w rejonie Lozells było zupełnie spokojnie. Teraz jego zwierzęcy instynkt zabijania mógł zostać zaspokojony. Ruszył do przodu trzymając palec na cynglu odbezpieczonej broni.

Wziął najpierw na cel ciemnowłosą głowę. PACH! Ron, który miał wyraźną przewagę nad przeciwnikiem, trzymał go bowiem mocno za gardło, poczuł rwący ból w okolicy skroni. Upadł na ziemię i znieruchomiał.

Mieszaniec chciał szybko wykorzystać dogodną sytuację. Odskoczył parę metrów w bok, skulił się i gdy żołnierz repetował broń osłonił głowę ręką. Huk, a po chwili kula rozerwała mu kości przedramienia. Mężczyzna ochryple krzyknął, lecz wiedział, że nie ma szans na ułaskawienie, nawet jako ranny.



Nie zwracając uwagi na gwałtowny krwotok, począł się wycofywać. Podeszedł do kontuaru, gdzie na metalowej tacy stało kilka pustych szklanek. Sięgnął zdrową ręką po jedną z nich i zebrawszy wszystkie siły, cisnął w zbliżającego się żołnierza.

Szko trafiło prosto w twarz. Ostry odłamek przetrzął żołnierzowi policzek i rozciął mu usta na dwoje. Przez moment stał niezdecydowany, zalany potokiem krwi, w jego okrutnych czarnych żenicach odbijał się ból oraz kipiąca wściekłość. Wreszcie ostrząsnął się z zaskoczenia, zatoczył bronią szeroki łuk i wycelował w swoją ofiarę. Lufa karabinu znalazła się w odległości pięćdziesięciu centymetrów od głowy nieszczęsnego mężczyzny, który zniechęcony ze strachu. Mógł on teraz, wyciągnawszy rękę, nagłym ruchem odtrącić broń, aby zmienić tor ołowianego pocisku. Lecz niestety, był zanadto sparaliżowany, porażony straszną świadomością, że za chwilę jego życie dobiegnie końca. Nie słyszał nawet ogłuszającego huku. Pałące płomienie buchnęły mu w oczy i poczuł rozrywający czaszkę ból: to kula przeszła mu potylicę. Osunął się martwy na kontuar.

Ciężkie ciało runęło po chwili w dół i przewracając stojące obok krzesła, upadło z głuchym łoskotem na podłogę.

Dławiący zapach kordytu rozszedł się w małej kafejce. Świadkowie brutalnej sceny z przerażeniem patrzyli na leżące w kałuży krwi zwłoki. Niektórzy zaczęli kaszleć, ktoś nawet zemdliło. Nikt jednak nie opuszczał lokalu.

— Wy pieprzone gnoje! Nigdy się nie nauczycie porządku.

Żołnierz trzymał wszystkich na muszce, jakby obawiał się jakiejś nieprzewidzianej, nagłej reakcji. Krew spływała mu strumieniem z rozciętej twarzy, plamiąc żółto-brązowy mundur. — Każdy, kto się poruszy dostanie kulę w łeb. Żadnych sztuczek. I niech któryś spróbuje stąd wyjść!

w kawiarni zapanowała cisza. Żołnierz odwrócił się i powoli wyszedł na ulicę.

— Te sukinsyny używają dum-dum — niski mężczyzna, stojący w dalekim kącie lokalu, pierwszy odważył się coś powiedzieć. — Nie masz szans, jeśli trafi cię taka kulka.

Spośród stłoczonych pod ścianą osób wyszła trzęsąca się ze zdenerwowania, zapłakana szatynka. Nie patrząc na zakrwawione szczątki swego napastnika, zbliżyła się do człowieka, który próbował przyjąć jej z pomocą. Uklękła na podłodze i ująwszy w swoje delikatne dłonie jego głowę, poczuła dużą opuchliznę tuż przy lewym uchu. Ron cicho jęknął i otworzył oczy.

— Dzięki Bogu, żyjesz — westchnęła z ulgą dziewczyna.

Blythe coś niewyraźnie zamruczał i uniósł się lekko na łokciu. Ujrzał skręcone zwłoki mężczyzny, z którym walczył.

— Kto... to zrobił? — zapytał słabym głosem zwracając się do dziewczyny.

— Jeden z żołnierzy — próbowała się uśmiechnąć — 'lecz nie martw się o niego, dostał to, na co zasłużył. I tak byś go zresztą pokonał... Już myślałam, że nie żyjesz.

Ron poczuł tępy ból głowy i przez kilka sekund dwoiło mu się w oczach.

„Jak to się stało, że ocalałem?” — pomyślał. „Widocznie pocisk przeleciał tuż obok głowy i drasnął mnie jedynie lekkó w skroń.”

- Chodźmy stąd lepiej — szepnął i ze zdumieniem stwierdził, iż może utrzymać się na nogach.

— Żołnierz rozkazał, aby nikt nie opuszczał kawiarni — powiedziała dziewczyna chwytając go za ramię, aby pomóc mu się podnieść. — Chodź, usiądziemy tu.

— Nie! — Ron rozejrzał się wokół. Grupka kilkuset osób patrzyła na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

— Czy ten żołnierz był sam?

— Tak. Do tego ranny. Ten facet rzucił mu szklanką w twarz.

— Zatem to mało prawdopodobne, aby patrolował teraz ten rejon i strzelał do każdego, kto tylko stąd wyjdzie. Raczej poszedł do jakiegoś punktu sanitarnego po gazę albo plaster.

— Jego rana obficie krwawiła. Wydaje mi się, że potrzebny mu był solidny bandaż.

— Tym lepiej! Mamy więcej czasu, aby uciec, zanim wróci. Chodźmy, należy się śpieszyć.

Blythe pewnym krokiem opuścił kawiarnię z uwieszoną u swego ramienia dziewczyną. Nikt nie zdecydował się ruszyć za nimi. Żołnierz rozkazał pozostać w środku, zlekceważenie tego polecenia mogłoby skończyć się śmiercią. Akcja, którą zamierzał przeprowadzić Blythe, była naprawdę ryzykowna.

Rozejrzeli się uważnie po ulicy: wszędzie stały porzucone samochody, lecz ani śladu życia.

— Nie mam pojęcia, dokąd moglibyśmy teraz pójść. ~ Ron próbował się roześmiać, lecz poczuł rwący ból głowy. — Nie mieszkam w Birmingham, przyjechałem tu przed kilkoma dniami.

— Mam mieszkanie półtora kilometra stąd — powiedziała dziewczyna. — Wokoło jest zresztą pełno opuszczonych domów. Możemy schronić się gdziekolwiek, ale chyba lepiej pojechać na własne śmieci, tym bardziej, że mam w szafie jeszcze kilka puszek shandy.

— To brzmi wspaniale — odparł Ron. — Mam nadzieję, że nikt ich do tej pory nie znalazł.

— Nie podziękowałam ci jeszcze za to, co dla mnie zrobiłeś. Jesteś bardzo dzielny.

— Chyba trochę przesadzasz. Oberwałem jedynie w łeb, a gdy się ocknałem, facet już nie żył.

— Sam tego chciał. Wcale go nie żałuję.

— Jesteś nieczuła — uśmiechnął się Ron. — A'propo, nie wiem nawet, jak masz na imię.

— Nazywam się Carol Evans.

— Ja jestem Ron Blythe. A teraz, gdy już oboje się znamy, mogę ci powiedzieć o sobie najgorsze. To ja stworzyłem formułę chemiczną środka chwastobójczego, który od kilku dni zabija ludzi w naszym mieście. Pracowałem jako chemik dla firmy Weedspray Limited.

— To przecież nie twoja wina, że cysterna rozbiła się w Claerwen.

— Nie. Ale mam wrażenie, że ponoszę za to wszystko odpowiedzialność. W międzyczasie pracuję razem z powołanym przez rząd komitetem ocalenia miasta nad jakimś skutecznym rozwiązaniem problemu. Do tej pory jednak niczego nie wymyśliliśmy... Na dodatek wpadłem w kłopoty, dostałem się pomiędzy tłumy i strzelające bez ostrzeżenia oddziały porządkowe. To przez moją szwagierkę, która była jedną z pierwszych ofiar katastrofy. Wiedziałem, że umrze, zabrano ją do szpitala, a mi zależało na tym, aby się dowiedzieć, co się z nią w końcu stało.

— To zrozumiałe — głos jej zadrzał — mój chłopak pracował w Ham's Hall. Nie wiem nawet, w jaki sposób zginął. Pod gruzami jest jeszcze kilkaset ciał, których może już nigdy nie wydobędą.

Ron otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Przez kilka minut szli w milczeniu. Wyglądali jak para zakochanych.

— To tutaj. — Carol pokazała na trzypiętrowy dom z dużym tarasem. — Numer 342.

Na klatce schodowej było cicho, odgłosy kroków odbijały się echem od pomalowanych na zielono ścian. Weszli na górę, na najwyższe piętro i Carol otworzyła drzwi swego mieszkania. Pokój był skromnie umeblowany, jedynie kilka najważniejszych sprzętów: stara kuchenn-

ka gazowa, porcelanowa umywalka, mały stolik, łóżko i szafa, nic więcej..

— Phil zawsze spał tu podczas weekendów — rzekła swobodnym tonem Carol.

Blythe skinął głową. Nawet przez chwilę nie sądził, że jest dziewczcą. W dzisiejszych czasach niewiele dziewczyn broni swojej cnoty.

— Nie pochodzę stąd — kontynuowała Carol zamykając drzwi na klucz. — Moja rodzina mieszka na północy, w Wigan. Spotkałam Phila podczas ostatnich wakacji i przeprowadziłam się tutaj, aby być bliżej niego. Chyba wrócę do rodziny... jeśli tylko uniknę zatrucia i wydostanę się z Birmingham.

Carol zajęła się przygotowaniem oszczędnego posiłku: chleb z margaryną plus trochę zimnego spaghetti. Nie było na czym gotować, w ramach ostrożności odcięto dopływ gazu.

Jedli w milczeniu. Nie mieli zresztą apetytu, byli jedynie spragnieni. Puszka shandy musiała im wystarczyć na cały dzisiejszy wieczór.

Gdy skończyli, Ron nabił fajkę i zapalił. Wypuścił chmurę niebieskiego dymu i na parę minut oboje pograżyli się w rozmyślaniach. Wreszcie Carol przerwała ciszę.

— Jesteś żonaty, prawda? — spytała i spuściła wzrok.

— Tak — odparł Ron — i przypuszczam, że jeśli ci powiem, iż moje małżeństwo jest nieudane, zabrzmiałoby to bardzo banalnie.

— Niekoniecznie — lekko uśmiechnęła się Carol — tyle związków się teraz rozpada, że należy to po prostu przyjąć do wiadomości. Czy jesteście wciąż razem?

— Sam już właściwie nie wiem. Teraz, rzecz jasna, przebywamy daleko od siebie. Próbowałam porozmawiać z nią przez telefon, lecz niestety, nie było jej w domu. Wczoraj przerwano łączność telekomunikacyjną z resztą

kraju, nie mam więc żadnej możliwości, aby się z nią skontaktować.

— Chcesz do niej wrócić?

— I tak, i nie. Tak, ze względu na dzieci. Nie, ponieważ nie mogę już dłużej ścierpieć tego, w jaki sposób ze sobą żyjemy. Sądzę, że nie rozumiem siebie samego. Miałem ostatnio kilka przyjaciółek, nic poważnego, po prostu przelotne znajomości, lecz to w ogóle mi nie pomogło.

— Większość mężczyzn miewa miłosne przygody po ślubie — rzekła Carol. Zapaliła papierosa i głęboko zaciągnęła się dymem. — Przed laty w Wigan, nie znałam wtedy jeszcze Phila, zdarzył mi się romans z żonatym facetem. Poznałam wtedy, jakie naprawdę jest życie. Ludzie w miasteczku gadali i pewnego dnia przyszła do mnie jego żona. Wyglądała zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażałam; była bardzo ładna i miała doskonałą figurę. Pracowała nawet kiedyś jako modelka. A jednak jej mąż wolał kochać się ze mną, przynajmniej zawsze tak twierdził.

— Margaret nie jest brzydka — Ron stanowczo potrząsnął głową — lecz od roku stała się jakaś dziwna. Ma lekką nadwagę i wcale nie troszczy się o to, aby schudnąć. Seks nic już dla niej nie znaczy. A przecież seks jest wspaniały, jest najsilniejszym i najzdrowszym z ludzkich popędów. Weź na przykład tę cysternę, która spowodowała katastrofę. To wszystko właśnie przez seks. Kierowca miał kochankę w jakimś innym mieście i używał firmowej ciężarówki, aby tam dojeżdżał. Gdyby znalazł sobie dziewczynę gdzieś bliżej, lub gdyby żona zaspakajala go w domu, nie musiałyby potem gnać jak szalony przez Walię i w Birmingham panowałby teraz spokój.

— Czy nie chciałbyś wydostać się z miasta? Pozostać ten bałagan na łasce losu i wrócić do Margaret?

- Myślałem o tym, ale... — Ron uśmiechnął się smutno. — Moje życie jest pełne nieszczęśliwych wypadków, pech prześladuje mnie już od lat.

Wtem z ulicy dobiegły jakieś hałasy. Tupot pędzących nóg, rozdrażnione głosy, ktoś krzyczał.

Ron pierwszy podbiegł do okna, a Carol spojrzała przez jego ramię w dół. W świetle zachodzącego słońca ujrzeli kilkunastu wyrostków, stojących półkolem naprzeciwko przypartego do muru chłopaka, który trzymał w ręce butelkę.

— Złodziej! — krzyknął któryś z wyrostków.

— Nieprawda, butelka jest moja! — wrzasnął w odpowiedzi chłopak wskazując na jednego z otaczających go napastników. — On mi ją ukradł, odebrałem tylko swoją własność.

— Kłamiesz!

Groźni chuligani powoli podchodzili do zaszczutego chłopca. Żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Nie spieszyli się, wiedzieli, że ofiara już im nie umknie.

Byli niepokonani i pewni siebie. Działając w grupie chronili się nawzajem — prawo nie znajdzie winy w żadnym z nich. Piętnaście żelaznych prętów, tyleż samo par ciężkich butów — nikt nie ustali, kto zadał śmiertelny cios. W ten sposób nawet ten, kto ma jeszcze pewne skrępuły, może zabić człowieka. Po zamknięciu boisk piłkarskich, po odwołaniu wszystkich meczy młodzi ludzie musieliby jakoś inaczej rozładować swoją agresję.

— Mówię wam przecież, butelka jest moja!

— Kłamiesz!

Pierścień wokół małego nieszczęśnika wciąż się zaciskał.

— Więc zabierzcie ją sobie — krzyknął wyzywająco złapany w pułapkę chłopak i wyrzucił butelkę z całej siły w górę. Wszyscy podnieśli głowy, patrząc jak leci obracając się dokoła swej osi, aż na wysokość czwartego piętra; wreszcie znieruchomiała w powietrzu i po chwili poczęła spadać pionowo na ziemię. Rzucili się, aby ją złapać, wie-

dzieli, że to już ostatnia piłka w tej grze. Piłka, która przesądzi o wygranej lub klęsce.

Butelka huknęła o beton, eksplodując gwałtownie uwolnionym gazem, odłamki szkła rozprysły się we wszystkich kierunkach. Skonsternowani chuligani stali przez moment bez ruchu, nie mogąc się pogodzić ze stratą ostatniej kropli czystego napoju. Wreszcie, pośród wściekłych wrzasków skoczyli w pościg za uciekającym chłopcem.

Dorwali go jak stado wygłodniałych wilków, przewrócili na ziemię i zaczęli kopać i okładać pięściami. Zdarli z niego ubranie, rozerwali je na strzępy i rzucili na ulicę jak świstki niepotrzebnego papieru. Taki jest los ofiary, która dostanie się w ręce swoich prześladowców.

— Oh! — Carol ścisnęła Rona za ramię. — Zagryzą chłopaka na śmierć. Czy jest jakiś... czy możemy coś zrobić?

— Nie damy im rady — mruknął Blythe — a nawet gdyby to było możliwe, już nie zdążymy w porę zbiec na dół. Módlmy się raczej, aby nie znaleźli naszej ukrytej shandy.

Młodociągni bandyci zostawili wreszcie swą ofiarę w spokoju. Nagi, ciężko pobity chłopiec kopał nogami ziemię w przedśmiertnych drgawkach. Oprawcy powolnym krokiem odeszli z miejsca okrutnej zemsty; obojętnie zapalili papierosy, niektórzy obróciwszy się w stronę konającego splunęli mu jeszcze w twarz.

— Oni go... on... — Carol była blada z przerażenia. Ron odsunął ją delikatnie od okna.

— Tak — potwierdził — zrobili to, rozszarpał dzieciaka jak krwiożercze bestie. Na stadionach piłkarskich wielokrotnie zdarzały się takie jatki.

Jęki umierającego chłopca powoli cichły. Siny trup leżał na szarym, zakurczonym podwórku.

Robiło się coraz ciemniej, pokój pograżał się w mro-



ku. Carol i Ron usiedli obok siebie przy małym rozkładanym stoliku.

— Mam w szufladzie pod zlewem jeszcze kilka świec — rzekła Carol. — Jak myślisz, czy możemy zapalić jedną?

— Jeśli pokój pozostanie ciemny mogą się tu wedrzeć plądrujący opustoszałe mieszkania rabusie. Z pewnością tysiące świec płonie teraz w całym Birmingham. Zaciągniemy zasłony, aby nikt z budynku naprzeciwko do nas nie zaglądał.

Ron podszedł do okna, podczas gdy Carol szukała zapalek i świec. W oddali niebo przybrało głęboki pomarańczowy odcień, jak gdyby oświetlone było łuną zachodzącego słońca. Lecz przecież słońce dawno już schowało się za horyzont...

Czarna chmura dymu wisiała nad zachodnimi dzielnicami miasta. W powietrzu unosił się drażniący zapach spalenizny.

— Ogień uratował niegdyś Londyn przed zarazą — rzekł do siebie Blythe — lecz nam na pewno nie pomoże.

Oboje usiedli z powrotem przy stole. Postawiona na spodku świeczka migotała radośnie, rzucając na ścianę roztańczone cienie.

Ron wziął do ręki leżącą pod blatem gazetę, ostatni numer „Poczty”, wydany przed wstrzymaniem edycji. Leniwie przejrzał pierwsze strony; litery były ledwie dostrzegalne w słabym blasku świecy. Wtem zwrócił uwagę na zdjęcie potężnego mężczyzny. Uderzająco okrutne rysy i zrosnięte krzaczaste brwi nadawały mu wygląd drapieżnego ptaka. Małe, żywotne oczy hardo patrzyły przed siebie, a mięsiste wargi wykrzywione były w drwiącym uśmiechu — cała twarz wyrażała nieopisaną pogardę dla świata. Do tego jeszcze odstające uszy i płaski złamany nos.

Dziewczyna spojrzała na fotografię. Rozstrzelonymi li-

terami wydrukowano obok wielki nagłówek: CUMMINS OTRZYMAŁ DOŻYWCIE.

Im prędzej zostanie przywrócona kara śmierci, tym lepiej - syknęła jadownicę Carol.

— Masz rację — przyznał Blythe — takim typom należy się najwyższy wymiar kary. Jest szalony, więc dla dobra publicznego powinien wisieć. Trzy morderstwa popełnione przy pomocy siekiery, dwa brutalne gwałty... I jeszcze się z nas śmieje, spójrz tylko na jego twarz! Dziennikarze dali mu pseudonim „Rzeźnik”.

Ron przejrzał na skróconą relację z procesu i głośno przeczytał ostatni akapit, będący podsumowaniem artykułu:

„Mike Cummins zostanie wkrótce przewieziony z zakładu karnego Winson Green w Birmingham do placówki penitencjarnej w Broadmoor”.

— Policja będzie musiała przedsięwziąć szczególne środki ostrożności, aby żadne zemsty tłumy nie zlinczowały zbrodniarza — mruknęła Carol.

Blythe spojrzął na wydrukowaną u góry strony datę; gazeta ukazała się dziesięć dni temu. Morderca z pewnością nie został wywieziony z miasta przed rozpoczęciem się tego piekła. Można by go zatem po cichu zgładzić. Dać sukinsynowi wody i spokojnie czekać, aż umrze.

— Jakie masz teraz plany? — spytała Carol. Była podenerwowana, jakby obawiała się jego odpowiedzi.

— Hm... — Ron złożył gazetę i spojrzął na dziewczynę. — Wątpię, czy ktokolwiek w Birmingham myśli teraz o czymkolwiek innym niż o przetrwaniu. Jakie plany? Szczerze mówiąc, nie wiem. Być może pod osłoną nocy udałoby mi się dotrzeć do mojej kwatery na New Street. Niewykluczone, że umknąłbym patrolom, lecz hm... po ciemnych ulicach włóczy się mnóstwo zabijaków. Dla takich zadęgać człowieka, to pestka.

— Możesz przecież podejść nazajutrz do żołnierzy i

jako członek komitetu ocalenia miasta poprosić ich o eskortę.

— Nic z tego — odrzekł smutno Ron — nie mam przy sobie żadnych dokumentów *stwierdzających moją tożsamość*. Zostawiłem wszystko w biurku. Ludzie próbują teraz z wojskiem różnych sztuczek; aby mnie wysłuchano, musiałbym okazać legitymację członka komitetu. W przeciwnym razie mogą mnie przymknąć lub nawet wsadzić kulę w łeb.

Carol wstała i zdjęła z kołka gruby bawełniany szlafrok. Ubrała się i podeszła do Rona.

— Zimno, prawda? — rzekła rozcierając sobie ręce — centralne ogrzewanie nie działa już od trzech dni.

Stojące w kącie pokoju łóżko wyglądało ciepło i zapraszająco. Położyć się obok Carol, pomyślał Ron, poczuć przy sobie jej młode, gorące ciało. Nie, jakież to głupie! Po prostu powiększenie listy erotycznych przygód, których miał wiele w ciągu swego nieudanego pożycia z Margaret. Seks to nie wszystko, Ron był stęskniony za prawdziwą miłością.

— A więc? — Carol usiadła w fotelu, ręce miała schowane głęboko w kieszeniach szlafroka.

— Co takiego? — Ron ponownie wziął do ręki gazetę.

— Zostajesz, czy wychodzisz?

— Jeszcze nie zdecydowałem. Nie wiem, czy dałbym radę przedrzeć się teraz do centrum.

— Możesz u mnie przemocować, jesteś mile widzianym gościem.

— Dzięki — odrzekł z uśmiechem Blythe. Spojrzył na łóżko, a potem na nią. — Przyjmuję twoje zaproszenie. Daj mi tylko jakiś koc, który można rozłożyć na podłodze. To mi w zupełności wystarczy.

— O czym ty mówisz, Ron? W łóżku będzie ci o wiele cieplej i wygodniej. Jest trochę za małe dla dwóch osób, lecz jakoś się pomieścimy.

— Och, Carol! Ty chyba nie wiesz, na co sobie pozwalasz — rzekł Ron i dostrzegł, że dziewczyna lekko się zarumieniła. — Mówiłem ci przecież, że miałem mnóstwo romansów. Moja żona jest kobietą, z którą chodzę do łóżka jedynie po to, aby się dobrze wyspać.

— Ja nie myślałam o tym — zająknęła się Carol i spuściła wzrok — muszę ci coś wyznać, zanim... Powinieneś to wiedzieć.

— Co takiego? — spytał zaniepokojony Blythe. Poczłuj drażniącą w przetyku gorycz, sięgnął po chusteczkę i wytarł nią spocone dłonie.

— Prawdopodobnie jestem w ciąży.

Blythe popatrzył na nią ze zdumieniem. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, wiele młodych, niezamężnych kobiet rodzi przecież dzieci. Normalna życiowa sprawa. Lecz Carol nie nadawała się według Rona do macierzyństwa. Nie mógł jej sobie wyobrazić z wypchniętym do przodu brzuchem, w luźnej ciążowej sukience; potem bóle porodowe, karmienie piersią i setki matczynych obowiązków — nie, to nie było dla niej.

— Aha, rozumiem — Ron próbował ukryć swoje rozczarowanie.

— Nie jestem tego zupełnie pewna — Carol nerwowo bębniła pakami po stole. — Jeszcze za wcześnie, aby lekarz mógł coś powiedzieć. Okres mam regularnie co dwadzieścia osiem dni i minął już tydzień od mojego terminu. Nie mam mdłości, ani żadnych innych objawów...

— Jeżeli byłaś wystarczająco ostrożna — rzekł Ron — jest tysiąc innych przyczyn opóźnienia okresu. Cały ten burdel, życie w ciągłym strachu, no i strata chłopaka... Nazywał się Phil, prawda?

— Tak — odparła krótko, lecz głos jej zdrzął, a oczy zaszyły łzami. — Wciąż mam nadzieję, że... och, sama już nie wiem... czasami proszę Boga, aby dał mi to dziecko.

Byłoby częścią Phila. Nie mam pojęcia, jak ja sobie teraz poradzę... ale... naprawdę chcę być dzisiaj z tobą, Ron.

— Dziękuję — Blythe oparł się na fotelu. — Posłuchaj, nie mogę ci obiecać, że będę się należycie zachowywał, to w końcu moja natura, lecz uwierz, spróbuję sobie wyobrazić, że jesteś moją siostrą. Bo tak naprawdę, najbardziej niepokoi cię to... — Ron urwał na chwilę — że jeśli będziesz mieć dziecko, nigdy nie dowiesz się, kto jest jego ojcem... ja czy Phil.

— Tak, masz rację — odparła zapałkana Carol — do końca życia zdręczałabym się wątpliwościami.

— Nie musisz się zatem niczego obawiać. Miałem robioną wazektomię, to jest podwiązanie nasieniowodów.

— Aha — dziewczyna spojrzała z niedowierzaniem na Rona.

— Moja żona nic o tym nie wie.

— Myślałam, że do tego potrzebna jest zgoda obojga małżonków.

— Zazwyczaj tak. Lecz w prywatnym gabinecie można czasem uniknąć kłopotliwych formalności.

— Czy sądziłeś, że twoja żona będzie temu przeciwna? Powiedziałeś przecież, że ma dosyć seksu i nie chce więcej dzieci. Wazektomia jest naturalną konsekwencją takiej postawy.

— Ale nie w przypadku Margaret. Ona wyznaje zachowawcze poglądy odnośnie kwestii płodności. Ja natomiast mogę sypiać teraz z kobietami, nie kłopotząc się o to, że przyjdzie mi kiedyś utrzymywać nie chciane dzieciaki.

— Rozumiem — Carol zgasiła papierosa na służącej za popielniczkę pokrywce od puszki. — Więc dlatego zdecydowałeś się na operację. Aby bez niepotrzebnego lęku zdradzać swoją żonę.

— Dokładnie tak. Czy zatem nie lepiej, abym spał na podłodze?

Bez odpowiedzi Carol przeszła do drugiej części pokoju i rozłożyła na łóżku pościel. Poprawiła poduszkę i odwrócona do niego tyłem zaczęła się rozbierać. Ron patrzył na nią, nie był w stanie oderwać oczu od jej smukłej figury; daleki od obscenicznych wyobrażeń podziwiał piękno jej dziewczęcego ciała. Carol zdjęła bluzkę, pod którą miała cienką nylonową halkę i rozpięła dzinsy. Ani razu nie spojrzała na niego.

Ron poczuł erekcję. Ta dziewczyna była na swój sposób o wiele bardziej seksowna od wszystkich innych kobiet, z którymi sypiał. Nie musiała czynić żadnych wyzywających gestów, to obniżyłoby tylko jej wartość, zredukowało do poziomu zwykłej dziwki. Rozbierała się, ponieważ szła spać. Wskoczyła do łóżka i zwrócona twarzą do ściany nakryła się ciepłą kołdrą. Ron został w pokoju sam.

— No i co? — spytała po dłuższej chwili Carol — przyjdiesz do mnie, czy chcesz siedzieć przy tych świeczkach i marznąć?

Blythe wstał, odsunął fotel i począł drżącymi pakami rozpinać koszulę. Carol leżała wciąż odwrócona. Propozycja mu łóżko, ciepłe miejsce do spania. Nic więcej, żadnych obietnic czy zastrzeżeń. Była fatalistką. Bardzo ładną fatalistką.

Rozebrany rozejrzał się po pokoju. Wybrał najlepszą drogę do łóżka, taką, aby nie zawadzić o żaden mebel i zdmuchnął świeczkę. Gdy wsunął się pod kołdrę, natychmiast poczuł rozkoszne ciepło jej ciała. Mała wysepka szczęścia pośród bezmiaru przerażenia i śmierci.

Gdzieś z oddali dobiegały pomieszane odgłosy syren, ludzkich krzyków i strzałów z broni palnej.

Ron Blythe przeklął ten cały zwariowany świat.

Obudził się, gdy jasne światło dnia przeświecało już przez lekko uchylone zasłony. Doznał dawno zapomniana-

nego uczucia, gdy po chwili uświadomił sobie, że leży w łóżku razem z kobietą.

Spojrzał na Carol. Spała z twarzą zwróconą w jego stronę. Gdy widział ją wtedy w snack-barze, wydała mu się bardzo atrakcyjna. Teraz była po prostu piękna. Czytał kiedyś, że dobrym sprawdzianem urody kobiety jest jej wygląd zaraz po obudzeniu, zanim jeszcze doprowadzi się do porządku, zrobi makijaż, ułoży włosy. Carol wypadła w tym teście doskonale.

Ron poczuł ból głowy, ostre pulsujące rwanie w miejscu, gdzie miał opuchliznę. To pamiątka po wczorajszej utarczce.

Przypomniał sobie całą przygodę i nie mógł opanować rozdrażnienia. Robił przecież wszystko co w jego mocy, aby uratować miasto i tysiące ludzkich istnień, a ten sukinsyn chciał mu wpakować kulę w łeb!

Powoli i delikatnie, aby nie zbudzić śpiącej dziewczyny, Ron wstał z łóżka i podszedł do okna. Odsunął zasłony i spojrzał przed siebie. Słońce czerwono-żółtymi promieniami filtrowało mrok, które tworzyły opary porannej mgły i unoszące się brunatne dymy.

Otworzył okno. Powietrze, które wypełniło pokój, pachniało spalenizną. Garbaty włóczęga szedł wzdłuż rynsztoka, patrząc uważnie w dół, jakby czegoś szukał pomiędzy zwałami śmieci i zeschniętych liści. Wtem przystanął, upadł na kolana i kościstymi rękami zaczął rozgrzebywać jakieś ohydne pomyje. Woda! Stara, mętna kałuża. Na jej powierzchni pływają kolorowe plamy oleju silnikowego. Starzec pochylił głowę, wysunął poźółkły język i począł łapczywie pić. Przypominał teraz skulonego podwórzowego kundla.

Ron patrzył z dezaprobatą. Włóczęga wciąż chłęptał brudną wodę. Podniósł się dopiero po kilku minutach, zostawiając w miejscu kałuży jedynie brunatny szlam. Zwrócił swą wyniszczoną twarz ku niebiosom, jakby bla-

gał Boga o cudowne uzdrowienie lub o natychmiastową śmierć. Lecz niestety, w Birmingham cuda się nie zdarzały. Starzec potknął się i zachwiał niepewnie na nogach; rozpostarłszy ręce upadł prosto w obrzydliwą mierzwę. Leżał tak, z szeroko otwartymi, pełnymi strachu oczyma, wydając przy tym jakieś niezrozumiałe dźwięki i trzymał się owrzodziałymi rękoma za gardło.

Po dziesięciu minutach ucichł. Ludzie mijali go obojętnie, taki widok był w Birmingham codziennością.

— Która godzina, Ron?

Blythe odwrócił się i zobaczył, że Carol siedzi na łóżku. Mrużąc oczy próbowała się przyzwyczaić do jaskrawego światła dnia.

— Pięc po ósmej. Czas na śniadanie.

— W szafce jest jeszcze puszka spaghetti. Wyciągnij też ze schowka jedną shandy.

Ron zajął się przygotowaniem skromnego posiłku, podczas gdy Carol wstała i zaczęła się ubierać.

— Czy mamy jakąś szansę stąd uciec? — spytała dziewczyna, gdy zasiedli do stołu.

— Musimy spojrzeć prawdzie w oczy — Ron owinął spaghetti wokół swojego widelca — wiele ludzi próbuje wydostać się z Birmingham. Rząd jest zdeterminowany nikogo nie wypuszcza; nie chcą, aby tłumy szaleńców przedostały się do innych części kraju. Z pewnością jednak są tacy, którym się to powiodło. Powiedziałbym, że mamy takie same szanse jak wszyscy.

— Lecz ty przecież zamierzasz powrócić do swojego komitetu ocalenia miasta czy jak to się tam nazywa.

— Tak. Ponieważ sądzę, że dzięki temu można będzie lepiej zorganizować ucieczkę. Posłuchaj, Carol, nie opuszczę cię i pragnę też, abyś pozostała ze mną. Spróbujmy najpierw dotrzeć razem do mojej kwatery na New Street. Tam zastanowimy się, co robić dalej.

— Lecz jesteście teraz oddaleni zaledwie o trzy kilo-



metry od najbardziej wysuniętych na północ punktów patrolowych. Twój pomysł natomiast oznacza powrót prosto do centrum tego piekła.

— Usiłując przedrzeć się przez kordony wojska narazimy się na identyczne niebezpieczeństwo, jak przy próbie dojścia do New Street.

— Masz rację, Ron, ale wytłumacz mi jedną rzecz. Żyjemy w cywilizowanym kraju, dlaczego więc władze nie zorganizowały dotąd żadnej pomocy medycznej, dlaczego wciąż nie ma prądu, a na ulicach szaleją hordy obłąkanych?

— Sądzę, że to nie jest ich wina. W jednej chwili pojawiło się mnóstwo trudnych do rozwiązania problemów. Drogi są nieprzejezdne. Lotnisko Elmdon, jak wiadomo z raportów, jest teraz jednym wielkim pogorzeliiskiem; wraki samolotów blokują wszystkie pasy startowe.

— Dlaczego zatem nie wprowadzono do akcji śmigłowców?

— Śmigłowce? To prawda, są niezwykle skuteczne przy wspomaganiu znajdujących się w kłopotach alpinistów, ale tu mamy do czynienia z setkami tysięcy oczekujących pomocy ludzi. Myślę, że za jakiś czas będzie można zorganizować regularne dostawy wody pitnej i lekarstw do Birmingham, lecz zanim to się stanie, umrze co najmniej jedna czwarta miasta... Bądź dzielna, Carol, oboje musimy przeżyć.

Dziewczyna milczała przez chwilę, wpatrując się w talerz pełen nietkniętego spaghetti.

— No dobrze — uśmiechnęła się smutno — kiedy zaczynamy?

— Najpierw zjedz coś i wypij trochę shandy. Nie wiadomo, jak długo to wszystko będzie trwało.

— Dziękuję ci, Ron — odparła Carol, a oczy zasły jej łzami. — Nawet nie domyślasz się, ile dla mnie znaczy twoja opieka.

Dwadzieścia minut później opuścili mieszkanie i wyszli na ulicę. Przemykali pod ścianami domów, rozglądając się uważnie na każdym skrzyżowaniu. Dzielnica wyglądała jak po nieprzyjacielskim nalocie: zakrwawione ciała leżały tu i ówdzie na chodniku, dziesiątki rozbitych, porzuconych samochodów blokowały jezdnię. Na opustoszałych ulicach pojawiali się co jakiś czas przechodnie. Jedni szli na północ, mając nadzieję, że uda im się nielegalnie przekroczyć strzeżone przez wojsko roгатki, inni zdążali do centrum, aby wziąć udział w totalnej rewolcie.

Czasami z ciemnych bram wypetzałi pokryci wrzodami ludzie. Mężczyźni i kobiety, o twarzach wykrzywionych z bólu, obłędnie wrzeszczeli pragnąc już jedynie śmierci.

Czarny całun dymu, który zawisł nad miastem, robił się coraz gęstszy: wielka nieruchoma chmura. Pył spadał na ziemię, niczym delikatne płatki śniegu.

Z oddali dochodziły nieprzerwane krzyki rozszalałych tłumów. Co chwila padały strzały, żołnierze byli zdecydowani utrzymać porządek.

— Grozi nam tu wielkie niebezpieczeństwo. — Blythe wciągnął Carol do szerokiego, dającego schronienie przedsionka. Postanowił otworzyć ostatnią puszkę shandy. — Zbliżyliśmy się do obszaru objętego rozruchami.

Ugasiwszy pragnienie musującym napojem, rzucili zgniecioną puszkę na beton. W tej części miasta nie było już tak pusto jak na peryferiach. Gangi chuliganów dumnie przechadzały się po ulicach, kopiąc leżące na ziemi zwłoki, plując na zastygłe w cierpieniu twarze. Ron pchnął delikatnie dziewczynę do tyłu, nakazując jej głębiej ukryć się w niszy. Być zauważonym oznaczało popaść w tarapaty.

Zapadł zmierzch, zlewając się w jedno z czarnymi tumanami dymu. Nadchodziła noc, lecz nie zrobiło się zupełnie ciemno. Pomarańczowa łuna pożarów rozjaśniała ciemnoszare niebo. Z wysokich biurowców, oddalonych

mniej więcej o pół kilometra, strzelały w górę potężne słupy ognia. Trawione płomieniami wieżowce wciąż jeszcze stały pionowo, lecz od żelbetonowych ścian poczęły wnet opadać wielkie fragmenty konstrukcji.

— Musimy teraz bardzo uważać — szepnął Ron rozglądając się po okolicy. — Nie odchodź ode mnie na krok!

Dwie ulice dalej Ron cofnął się nagle i pociągnął Carol do wąskiej, ciemnej bramy. Kilkadziesiąt metrów od nich toczyła się jakaś walka; czterech młokosów zaatakowało pełniącego służbę żołnierza. Rozległ się strzał, płomień rozjaśnił ciemności, lecz kula nie raniąc nikogo poszła w powietrze. Wreszcie wyrwano żołnierzowi broń i skrepowano mu ręce na plecach.

— Zostawcie mnie, sukinsyny — krzyknął obezwładniony stróż porządku publicznego, lecz ciężka zaciśnięta pięść zamknęła mu usta.

— Uzbrojony niepoczytalny tłum — szepnął Ron — może zrównać to miasto z ziemią. Znosi się na gigantyczną masakrę.

Dwóch młodych awanturników prowadziło teraz przed sobą oszołomionego żołnierza. Trzeci z nich niósł karabin, trzymając lufę wycelowaną nieco ponad głową jeńca. Wtem chłopak zawadził nogą o nierówną płytę chodnika, stracił równowagę i mimowolnie nacisnął spust. Rozległ się głośny huk i żołnierz upadł jak podcięty na ziemię.

Na drugim końcu ulicy pojawił się nagle kilkunastooosobowy oddział sił bezpieczeństwa. Komandosi ukryli się za porzuconymi samochodami i rozpoczęli ostrzeliwanie rebeliantów. Chłopcy rozbiegli się, szukając jakiegoś schronienia. Ten z karabinem przykucnął za wielką, przewróconą śmieciarką, gorączkowo manipulując przy zamku dopiero co zdobytej broni. Po chwili opanował już sztukę repetowania i wychylił się poza kabinę ciężarówki,

aby oddać strzał. Żołnierze natychmiast otworzyli ogień. Młokos otrzymał kulę prosto w klatkę piersiową, upadł na ziemię i skonał. Karabin potoczył się po bruku.

Ron chwycił dziewczynę za rękę i oboje rzucili się do ucieczki. Biegli z powrotem w kierunku dzielnicy, w której mieszkała Carol. Wystraszeni przechodnie chowali się po okolicznych bramach, znikali w mrocznych sieniach opuszczonych kamienic. Ostre pociski ze świstem przesywały powietrze. Ktoś upadł, ale nikt nie przystanął, aby mu pomóc. Każdy myślał jedynie o sobie.

Kilka przecznic dalej Blythe zwrócił uwagę na mały frontowy ogródek. Wysoki żywopłot, z którego opadły już liście, tworzył solidny mur odgradzający rabatki od ulicy. Weszli do środka i usiedli na stercie zeschniętych badyli. Jacyś ludzie przebiegli obok nich, nie wiadomo — prześladowcy czy prześladowani.

— Mój Boże — szepnął Ron — w piętnaście minut przebyliśmy prawie taką samą odległość jak przez cały dzień. Wróciliśmy nieomalże do punktu wyjścia.

— I co teraz zrobimy? — w głosie dziewczyny pojawił się strach. Z całej siły ścisnęła Rona za rękę.

— Pozostaje nam tylko jedno — rzekł ponuro Blythe — pójdziemy do twojego mieszkania, spędzimy tam noc i jutro podejmiemy kolejną próbę przedarcia się do centrum. U ciebie są jeszcze ze trzy puszki shandy, wypijemy je, a potem... będziemy zmuszeni, jak wszyscy w tym cholernym mieście, gasić pragnienie zatrutą Weedsprayem wodą.

## Rozdział IX

— To tutaj, Colestreet 342 — Blythe zgasił zapalkę, dzięki której odczytał numer posesji namalowany olejną farbą na drewnianych drzwiach. Weszli do sieni, a potem po trzeszczących schodach na górę.

W mieszkaniu, gdy zamknęli drzwi, Ron, zapalił świeczkę, mały ogarek, który pozostał na zalanym parafiną spodku. Migoczący płomień oświetlił pokój. Blythe rozejrzał się wokoło, a potem podszedł do okna i zaciągnął zasłony.

— Bogu dzięki, nikogo tutaj nie było podczas naszej nieobecności.

Carol podeszła do ustawionej przy umywalce szafki i wyciągnęła z niej dwie puszki shandy.

— To już ostatnie — rzekła z wymuszonym uśmiechem — jeżeli jesteś głodny, możesz zjeść zimne spaghetti. Nic innego, jak wiesz, nie mamy.

— I tak poszczęściło nam się bardziej niż innym — Ron łyknął nieco shandy, zmuszając się, aby zostawić trochę na później. — Jesteśmy przynajmniej zdrowi i nie musimy jak na razie pić tej choleralnej kranówki.

Jedli w milczeniu, a potem, gdy świeca sycząc pograżyła się w rozlanych resztkach parafiny, Carol podeszła do łóżka i zaczęła się rozbierać. Druga noc z dziewczyną, pomyślał Blythe. Patrzył, jak zdejmuje stanik: drobne, zakończone twardymi sutkami piersi rzuciły na ścianę podniecający cień. Gdy rozpięła spodnie i zsunęła czarne rajstopy, ujrzał jej długie zgrabne nogi, które harmonijnie wysmuklały całą sylwetkę.

Weszła do łóżka, położyła się twarzą w jego stronę i

zamknęła oczy. Ron zauważył jednak, że kiedy rozpięła bluzkę, rzuciła mu zalotne spojrzenie. Czyżby chciała coś zasugerować?

Ron uśmiechnął się w duchu. Czemu nie? W tych czasach, gdy życie jest tak niepewne, nie należy stronić od przyjemności. Jutro oboje mogą przecież umrzeć.

Zgasił świecę i wszedł do łóżka. Blask pomarańczowej łuny przenikał nawet przez grube zasłony. Pożary rozprzestrzeniały się na całe dzielnice, ludzie bowiem z uporem próbowali gasić płomień przy pomocy skażonej łatwopalnym środkiem wody. Wszędzie grasowały bandy rozwydrzonych wyrostków, którzy lekceważyli polecenia władz, co utrudniało prowadzenie akcji ratunkowych.

Ron zdrzął, gdy dziewczyna dotknęła go swymi szczupłymi pakami. Poczł jej ciepły, słodki oddech; pocałował ją, a ona delikatnie przesunęła ręką po jego silnych ramionach. Chciał zbliżyć się do niej, wejść pomiędzy jej uda, lecz ona uklękła na łóżku, odrzuciła kołdrę i usiadła na nim rozrzucając nogi. Była znakomitą kochanką, olśniła go swym wdziękiem i subtelną perwersją; jej usta, włosy, piersi — wszystko to tchnęło niepowtarzalną zmysłowością; namiętne ruchy, objęcia rąk, aż w końcu cudowne, pełne zespolenie. A gdy leżeli już zmęczeni w czułym uścisku, Ron zdał sobie sprawę, że jest w niej zakochany. Zazwyczaj, gdy było po wszystkim, odczuwał potworne zmęczenie, kobieta służyła mu bowiem tylko jako środek do celu. Carol dawała mu coś więcej, pragnął zostać z nią na zawsze, już nigdy nie wracać do Margaret: Oby tylko jak najszybciej wydostać się z tego chorego miasta!

Ron powoli zapadał w sen, lecz nawet w nocy nie mógł spokojnie wypocząć. W jego wyczerpanym umyśle pojawiła się koszmarna wizja: zawałone trupami ulice, zrujnowane domy, zgliszcza. Wielka cywilizacja upadła.

Wkrótce jednak nadchodzi nowa era: żołnierze Powoli

odbudowują miasto, zaczyna funkcjonować komunikacja, rozkwita uliczny handel. Niestety, mieszkańcy, którym udało się przeżyć, są wciąż ostatnimi nędzarzami, żyjącą w brudzie hołotę. Dzięki wszechmocnej woli przetrwania odrodzą się jednak, jak Feniks z popiołów, na gruzach zniszczonego Birmingham i rozpoczną normalne ludzkie życie.

Ron śnił dalej: tego ranka, jak zazwyczaj, w mieście panował spokój. Nie oznaczało to jednak, iż na ulicach nie ma nikogo. Wręcz przeciwnie: przechodnie tłoczyli się wokół handlowych pasaży, oglądali szyby wystawowe, zbierali się przy straganach — zwykła codzienna biegani-na, której owocem są pełne siatki zakupów.

Wokoło rozlegał się nieustanny tupot nóg i szmer pędzących jezdnią samochodów. Nie warczał żaden silnik, maszyny napędzane energią atomową. Niosło to za sobą również pewne niebezpieczeństwo: kto nie był wystarczająco ostrożny, mógł zostać potrącony przez poruszającą się bezgłośnie pojazd. Nikt nie zwracał uwagi na ofiary wypadków. Człowiek taki leżał na ulicy, dopóki nie nadjechał patrolujący dany rejon ambulans. A potem — jeśli nieszczęśnik już wyzionął ducha, zabierano go do kostnicy, jeśli zaś został lżej poszkodowany — do szpitala. Nikogo nie obchodziło, czy żyjesz, czy umierasz. Obojętność stała się powszechna, tym bardziej, że większość ludzi nie wiedziała właściwie, po co żyje.

W mieście panowała nienaturalna cisza. Czasami tylko stłumiony krzyk oznajmiał, iż ktoś nieuważnie wszedł na skrzyżowanie. Żadnych komentarzy, nie było przecież o czym rozmawiać. Każdy dzień przynosił to samo: martwą jedностajność. Niektórzy na coś czekali. Czy warto było czegoś oczekiwać? Chyba jedynie tego, co nieuchronne, konieczne, choć umrzeć można, oczywiście, na wiele sposobów.

W nocy — śnił Ron — miasto wyglądało zupełnie ina-

czej niż w dzień. Po zmroku nikt nie miał odwagi opuścić mieszkania, ruch na ulicach malał, a około ósmej, dziewiątej wychodzili ONI — hordy zdziczałych łupieżców. Nie można ich było nazwać ludźmi, chociaż fizycznie nieco ich przypominali, raczej troglodyci, niż przedstawiciele rasy homo sapiens. Posiadali przodków pomiędzy narkomanami i najgorszym plebsem dawnego Birmingham. Miasto stanowiło ich naturalną przestrzeń życiową; prowadzili pasożytniczą egzystencję, rozradzając się niczym króliki w podziemnych pomieszczeniach kanalizacyjnych i opuszczonych piwnicach. Nie przejmowali się niczym, najważniejsze, iż mnożyli się szybciej, niż umierali. Po kilku latach od katastrofy setki ich wylęgały pod osłoną ciemności na ulice w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Swych nocnych przyzwyczajeń nabyli podczas długich tygodni pamiętnego terroru. Spał za dnia, aby dopiero wieczorem rozpocząć zbójckie wypadki — było wtedy o wiele bezpieczniej.

Policja znalazła najprostsze rozwiązanie problemu: poradzono mieszkańcom, aby po zachodzie słońca nie wychodzili z domów. W godzinach nocnych nikt nie pilnował porządku, gdy zapadał zmierzch, patrole wracały do swoich jednostek. A wtedy otwierały się włązy betonowych schronów i na ulicach pojawiali się ONI.

Grasowali całymi bandami, polując na wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Ludzie mieszkający na parterze często nie spali po nocach. Ciskali czasem przez okno jakiś stary bochenek chleba, patrząc, jak odbija się od asfaltu i pada pod nogi tych plugawych padlinożerców. Myśliwski skowyt zamieniał się wtedy w potężny triumfalny wrzask. Cała ich zgraja — około trzydziestu kobiet i mężczyzn — rzucała się na żalosny kawałek suchara. Pierwszy osobnik, który dopadł czerstwego pożywienia nie miał zazwyczaj nawet tyle siły, aby swymi połamanymi, gnijącymi zębami solidnie wgrzyźć się w bochenek.



Reszta wygłodniałych szaleńców spadała na niego jak burza, rozrywając nieszczęśnika w dzikiej wściekłości na kawałki. Po chwili pożerali już jego członki, zachłystując się krwią, plując twardymi ścięgnami. Taki akt kanibalizmu nierzadko stanowił dość spektakularne widowisko. Po pewnym jednak czasie przestawało to być interesujące, ludzie zamykali okna i ignorując zwierzące ryki, próbowali zasnąć.

Blythe był tam pomiędzy nimi. Pewnej nocy widział, jak zgraja tych małpoludów dopadła młodą dziewczynę. Nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób znalazła się ona o dziewiątej wieczorem na ulicy. Może to prostytutka, którą niezadowolony alfons wyrzucił z jakiegoś nędznego burdelu w odległej dzielnicy slumsów? Sądziła, że w innej części miasta będzie bezpieczna. Nic bardziej złudnego.

Ron siedział właśnie w fotelu czytając gazetę, gdy usłyszał przeciągłe wycie, a potem dziewczęcy krzyk. Podszedł do okna, nie zastanawiał się jednak, czy warto zbiegać na dół. Nikt nie przychodził w tym mieście nikomu z pomocą. Ron zresztą nie miałby żadnych szans w walce z rozszalałą hordą.

Dziewczyna zauważyła ich, gdy stali przyczajeni na stopniach podziemnego przejścia. Próbowała uciekać. Na prostej drodze z pewnością udałoby się jej ich zdystansować; wskoczyłaby potem do jakiejś bramy i tam przeczełałaby niebezpieczeństwo. Lecz niestety, wszystkie podwórka pozamykane były na cztery spusty. Żaden dozorca nie odważył się uchylić drzwi, aby wpuścić przestraszoną dziewczynę; to zbyt ryzykowne. Ludzie pootwierali okna; patrzyli w dół drzwi i szydząc w oczekiwaniu na krwawą rzeź.

Wtem, kiedy już się wydawało, że dziewczyna jednak umknie, zza przeciwległego rogu ulicy wyszła druga horda, odcinając jej drogę ucieczki. Kiedy zrozumiała, że jest osaczona, stanęła jak wryta, złapała się za głowę i zaczęła

krzyżeć. Podeszli do niej, tym razem nie chcieli mięsa, może później; najpierw musiała im oddać swoje pełne ciało. Zazwyczaj walczyli ze sobą o kobiety jak psy o sukę, znajdując w krwawym pojedynku więcej rozkoszy niż w samym akcie płciowym. Lecz tej nocy dziewczyna została już przeznaczona jednemu z nich. Potężny mężczyzna wysunął się na czoło grupy: nagi, pokryty bujnym, czarnym owłosieniem, dziki i wolny, jak starożytny barbarzyńca. Z łatwością mógłby zadusić w jednej potyczce tuzin swoich współplemieńców, lecz dał sobie dzisiaj spokój. Pragnął jedynie kobiety.

Podszedł do przerażonej dziewczyny, uniósł ją w górę i położył na kamiennej platformie, służącej w dzień za ladę ulicznego straganu. Trzymając swą ofiarę w silnym uścisku, począł zdzierać z niej ubranie. Dziewczyna odwróciła się ze wstrętem, aby nie czuć buchającego mu z ust okropnego smrodu, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Swymi zwierzęcymi łapskami rozchylił jej nogi i wsadził swój lubieżny nos prosto pomiędzy jej uda. Pozostali mężczyźni, mrużąc z niezadowolenia, patrzyli na podniecającą scenę, lecz nikt nie śmiał upomnieć się o swoją kolej, aby nie rozwścieczyć despotycznego przywódcy. Olbrzym tymczasem, na oczach wszystkich zgromadzonych posiadał ją i pośród gardłowych jęków, podniecony dodatkowo krzykami dziewczyny, kończył pierwszą część orgii.

Wreszcie było po wszystkim. Dziewczyna leżała nieprzytomna. Gwałciciel podniósł się i wyszczerzył zęby do swoich dzikich kompanów; rozpalona zgraja żądała teraz swojej części łupu. Herszt chcąc utrzymać władzę musiał im na to przyzwolić. Podniósł dziewczynę do góry i dźwignął ją ponad swą głowę; stał tak, z przewieszonym przez ramiona bezwładnym ciałem przez kilkanaście sekund, niczym pierwotny kapłan, mający za chwilę dokończyć ofiarnej rzezi. Zgromadzeni poczęli szemrać, nie mogli już doczekać zdobyczy. Wreszcie olbrzym rzucił

dziewczynę w tłum — pomiędzy odrażających, wygłodniałych nędzarzy. Każdy pragnął zaspokoić swoje żądze; rezultatem tej rozpustnej zabawy mogło być jedynie rozerwanie dziewczyny na strzępy. Krwawymi szczątkami, jeszcze na długo przed świtem zajmą się żarłoczne kanałowe szczury.

Gdy horda zawyla z radości, Blythe po raz pierwszy w swym śnie ujrzał twarz nieszczęśnicy. Zamarł z przerażenia. „Nie było żadnych wątpliwości: te posiniaczone policyjki, szeroko otwarte oczy, zlepione krwią ciemne, długie włosy — to Carol Evans!

Pragnął natychmiast skoczyć jej z pomocą, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Napiął raz jeszcze wszystkie mięśnie — na próżno, czuł obezwładniający paraliż. Z wyroku losu musiał ograniczyć się do roli biernego obserwatora. Była to kara za zniszczenie starego Birmingham, za spowodowanie kataklizmu, który naruszył socjalną strukturę miasta. Nienormalne warunki życia wyprodukowały nową, zdegenerowaną rasę ludzi. Prawdziwe piekło!

— Nie! — Ron zmusił swoje struny głosowe do wydania krzyku. — Nie! Puśćcie ją, sukinsyny! Weźcie mnie, jeśli tak bardzo pragniecie krwi, ale błagam, zostawcie ją w spokoju! Ona jest niewinna. To ja zrujnowałem miasto, to przeze mnie życie teraz w betonowych bunkrach!

Wtem cała scena poczęła się gdzieś zapadać, jakby wciągana w otchłań przez rozkręcone wiry.

Wszystko nagle zniknęło.

— Nie uciekajcie! Oddajcie Carol, proszę was!

Ron poczuł na swoim ciele czyjeś ręce; nie były to jednak brudne, owłosione łapy barbarzyńców, lecz delikatne, dziewczęce palce.

— W porządku, Ron. To ja Carol. Miałeś koszmarny sen.

— Bogu dzięki, że nic się tobie nie stało... — spocony Blythe przytulił się do dziewczyny.

— Jesteś bezpieczny, leżysz w łóżku. Ze mną. — Carol musnęła go ustami, a w chwilę potem zatopili się oboje w długim pocałunku.

— Przepraszam — Ron próbował zapanować nad drżeniem swego głosu. — To вина tej przekłetej sytuacji. Śniło mi się, że ci, którzy przeżyli katastrofę Birmingham, zrobili sobie kryjówki w podziemiach, zupełnie jak dzikie bestie. Czuli się tam bezpieczniej podczas tych miesięcy, kiedy w mieście niepodzielnie panowało wojsko. .

— Nie bądź głuptasem, Ron. Czy ty naprawdę myślisz, że grozi nam dyktatura?

— Może jeszcze nie teraz. Lecz przypuśćmy, że ta plaga rozszerzy się na pozostałe części kraju. Liczba normalnych obywateli Wielkiej Brytanii zmniejszy się wtedy co najmniej o jedną trzecią. Nikt nie powstrzyma wówczas rządu przed wprowadzeniem w całym państwie stanu wyjątkowego.

— Gadasz bzdury! Weedspray nie wydostanie się poza teren Birmingham.

— Tak, dopóki terroryści nie wpadną na pomysł, aby zatruć wszystkie ujęcia wody, jak to już kiedyś planowała pewna frakcja faszystowska. Anarchia może wybuchnąć niczym pożar na suchej prerii.

Oboje umilkli. Gorejące niebo oświetlało obdrapany pokój nawet wtedy, gdy zasłony były zaciągnięte. Ron uświadomił sobie, iż rzeczywistość niewiele odbiega od nocnych, koszmarnych wizji. Ludzie żyli w ciągłym strachu, zabijali się o kroplę czystej wody; i on razem z Carol pośród tego wszystkiego.

— Słyszysz? — Carol ścisnęła Blythe'a za ramię. — Zdawało mi się, że coś stuknęło na naszym piętrze.

Ron wstrzymał oddech. Nasłuchiwał. Ktoś ciężko sapiąc wchodził po schodach, drewniane stopnie trzeszczały pod twardymi butami intruza.

Wtem przeskoczyła klamka. Drzwi otwierały się po-

woli, niemiłosiernie skrzypiąc. Czarny cień poruszył się w półmroku korytarza.

Blythe wyskoczył z łóżka, przeszedł na pakach pod ścianę i przykucnął, wyprężony do skoku jak bengalski tygrys.

— Żadnych sztuczek! — zza uchylonych drzwi doszedł groźny niski głos. — Jeden niepotrzebny ruch i otrzymasz kulkę prosto w łeb.

Blythe wstał i podniósł ręce na kark. Nie wątpił, że tamten trzyma wycelowany w jego głowę pistolet. Gdyby był sam, mógłby spróbować jakiegoś fortelu, aby obezwładnić napastnika. Lecz musiał uważać na Carol.

Świat stanął na głowie; nawet we własnym mieszkaniu nie można się było czuć bezpiecznie. W samym środku nocy pojawiają się nagle nekrofilni maniacy, aby zabijać dla samego zabijania.

## Rozdział X

Revolta w zakładzie karnym Winson Green rozpoczęła się trzeciego dnia po wybuchu katastrofy. Szarobłękitne dymy szły nieprzerwanie z głównego bloku więziennego pionowymi spiralami w górę i rozsnuwały się po bezchmurnym niebie.

Wyziwy oslepiły małą grupkę zamkniętych w oficerskiej kantine funkcjonariuszy.

Ciężkie drewniane drzwi od kantyny zostały wkrótce rozrąbane siekierą, dębowe deski poszły w drobny mak. Ostatnia barykada padła i po chwili wszyscy wartownicy byli już rozbrojeni.

Na całym terenie Winson Green rozbrzmiewały krzyki walczących mężczyzn. Zgromadzeni na zewnątrz murów więziennych przechodnie poczęli rzucać w rebeliantów kamieniami. Główna brama została już jednak rozbita. Wisiała, chwiejąc się niebezpiecznie, na jednym zawiasie, a wokół niej leżały zwłoki kilku zabitych.

Bunt dla samego buntu.

Na początku ktoś rzucił małą bombę benzynową. Po pewnym czasie na ulicy zebrały się tłumy, które z napięciem obserwowały stłoczonych już na dachu więźniów. Siedzący w budce strażniczej strzelec wyborowy, starannie mierząc kładł po kolei rebeliantów trupem. Jeden z więźniów podniósł do góry zaimprovizowaną białą flagę, lecz w tej samej chwili kula przeszła mu pierś. Runął z wysokości czterech pięt na bruk, a postrzępiony kawałek prześcieradła spadł zaraz za nim, przykrywając go niby całunem.

Na ulicy robiło się coraz goręcej. Ludzie byli rozdraż-

nieni. Sformowano naprędce ochotnicze oddziały porządkowe, dla których zabijanie stanowiło znakomitą zabawę. Ochotnicy mieli dwie możliwości: zastrzelić sukinsyna, lub samemu zostać zastrzelonym. Nie zastanawiali się zatem długo, naciskali po prostu na spust.

Niewielka była szansa na oswobodzenie nieszczęsnych funkcjonariuszy więziennych. Wojsko nie dawało już sobie rady, utrzymanie porządku publicznego przekraczało ich siły. Tutaj, w Winson Green, podobnie jak w wielu innych miejscach, zostali zalani rosnącą falą gwałtu i przemocy. Wokoło płonęły samochody, eksplodowały baki z paliwem, zwąły złomu wylatywały w powietrze. Z wielu nietkniętych jeszcze pojazdów spuszczano do pustych butelek benzynę. Takie prowizoryczne bomby stały się bronią używaną na wielką skalę przez zastępy szalejących chuliganów.

Brama więzienna runęła wreszcie z hukiem i tłumy kryminalistów rzuciły się do wyjścia. Był to dość ryzykowny wyczyn, coś w rodzaju akrobatycznego skoku przez płonącą obręcz, ponieważ naprzeciwko bramy ustawił się żołnierz z gotowym do strzału karabinem maszynowym. Gdy więźniowie wybiegli na ulicę, powitała ich nieprzerwana seria ognia. Zabici padali pokotem, lecz wnet w bramie pojawiły się nowe falangi uciekinierów; pędzące przed siebie, na oślep wrzeszczące brygady samobójców.

Broń zamordowanych strażników stała się łupem więźniów. Strzelając na wszystkie strony rozpoczęli desperacki odwrót od bramy, nie widzieli na razie szansy ucieczki.

Część więźniów siedziała wciąż na dachu głównego budynku; dusili się tam pośród gęstniejącego czarnego dymu. Chcieli się poddać, lecz niestety, nie mieli już możliwości odwrotu. Dowództwo sił porządkowych postanowiło dokonać pełnej pacyfikacji buntowników.

Żołnierze skoncentrowali ogień na pospiesznie wycofu-

jącej się spod bramy grupie. Kilku rebeliantów zdążyło ukryć się za ceglanym magazynem, wielu jednak padło pod gradem kul na ziemię.

Wtem coś świsnęło w powietrzu - butelka z zatknietą płonąca szmatką. Wpadła prosto pomiędzy oddział żołnierzy, oślepiający płomień buchnął z głośnym hukiem do góry.

Więźniowie przypuścili kolejny szturm na bramę; w rękach ściskali metalowe pręty, stołowe nogi najeżone zardzewiałymi gwoździami, podniesione z ziemi kamienie. Z determinacją ruszyli do przodu i rozpoczęli zaciętą walkę z siłami porządkowymi. Nikt nie zwracał uwagi na jęki rannych i konających, chodziło jedynie o to, aby wydostać się na wolność.

Za żelaznymi drzwiami, w jednoosobowej małej celi siedział potężny mężczyzna. Pot spływał mu strugami po czole, lecz nie ze strachu, on nie bał się nigdy; temperatura sięgała blisko pięćdziesięciu stopni. Spokojnie wyjął zza ucha zgniecionego papierosa, przejechał zapalką po paznokciu i podpaliwszy tytoń głęboko się zaciągnął. Wstrzymał na chwilę oddech i szeroko rozwierając nozdrza wypuścił szary kłęb dymu.

Oparłszy się o ścianę, czekał. Nic innego nie mógł zrobić — jedynie czekać! Miał dwa wyjścia z tej okropnej sytuacji: albo ktoś tu przyjdzie i go uwolni, albo będzie musiał umrzeć w płonącej celi.

Słyszał, jak rebelianci wyrąbują sobie siekierą drogę do kantyny oficerskiej. Siekiera stanowiła według niego najdoskonalszą broń, w dobrych rękach była skuteczniejsza od noża czy nawet pistoletu. Mike Cummins uważał się za eksperta, jeśli chodziło o mord przy pomocy siekiery.

Wstrzymano transport więźnia do Broadmoor. Mike umówił się z kumplami, że jeśli pozostanie w zakładzie w Winson Green przez ponad tydzień, zorganizują mu perfekcyjną ucieczkę. Weedspray przyszedł mu nawet z po-



mocą, lecz bunt więźniów w ostatnim momencie udaremnił jego plan. Teraz był zdany wyłącznie na samego siebie. Musiał się spieszyć, lada chwila mógł usmażyć się tutaj na befsztyk.

Wtem zmrużył oczy. Jest jedno wyjście! Jeśli tylko ktoś pojawi się obok jego celi, najlepiej jakiś rebeliant.

Podszedł do pryczy i spośród zrolowanych kocy wyciągnął pustą butelkę. Kupił ją za paczkę papierosów od Eddiego, chudego więźnia z trójki, który najprawdopodobniej został zabity na dachu jako pierwszy. Eddie miał po prostu pecha, nawet w więzieniu odsiadywał wyrok za zbrodnię, której nie popełnił. Takie jest w dzisiejszych czasach brytyjskie sądownictwo...

Cummins odkręcił butelkę. Etykieta była wciąż nieknięta. Nie najlepsza ta whisky, uśmiechnął się pogardliwie, gatunek niewiele szlachetniejszy od szczoarów. Naley ją zatem napełnić podobnym jakościowo płynem. Cummins odpiął guziki rozporka i pochylając się nieco do przodu obserwował, jak poziom w butelce rośnie. Prawie połowa! Nałożył z powrotem zakrętkę i trzymając butelkę w wyciągniętej ręce podziwiał swoją robotę. Nieźle! Tym bardziej, że w więzieniu jest gorąco i z pewnością brakuje czystej wody! Kolor był właściwy: ciemnobrązowy, dokładnie taki, jak ma whisky. Dadzą się, dumnie, nabrać... Zadowolony Cummins postawił płaską butelkę na stole, w ten sposób, aby była widoczna dla każdego, kto zagląda przez wiernik.

Po około dwudziestu minutach usłyszał, że ktoś idzie korytarzem. Położył się na podłodze twarzą do ziemi i czekał. Kroki były szybkie i zdecydowane. Trzech mężczyzn, osądził Cummins.

Przystanęli przy jego drzwiach, o pół metra od miejsca, gdzie leżał.

— Hej, spójrzcie do środka!

— O kurwa, whisky. Całe pół butelki.

— Na co więc czekamy?

— A jak chcesz się tam dostać? Facet wykitował, a my nie mamy kluczy.

— To poszukajmy, może wiszą gdzieś tutaj.

— Ależ z was pierdzicie! Zanim je znajdziemy, to pół tej budy pójdzie z dymem. Masz przecież spluwę, Charlie. Dawaj ją, rozwalimy ten zamek na kawałki.

Cummins drgnął, gdy usłyszał, jak jeden z nich odwodzi kurek. Kula mogła przecież, przebiwszy drzwi, trafić w niego, zabijając na miejscu. Co robić? Przede wszystkim zachować spokój!

Głuchy odgłos strzału odbił się echem od betonowych ścian. Nieomal natychmiast nastąpił kolejny huk.

— No i co? Poszło?

— Odsuń się, rąbnę jeszcze raz.

Trzecia detonacja i drzwi same otworzyły się do środka na dobrze naoliwionych zawiasach.

— Chodźcie, bierzemy whisky i spieszamy stąd!

Cummins uniósł nieco głowę w momencie, gdy tamci przechodzili ponad nim. Rozpoznał człowieka z pistoletem. Nie znał go z imienia, lecz wiedział, że odsiadywał wyrok w bloku E za napad z bronią w rękę. Dwóch pozostałych widział po raz pierwszy w życiu.

Należało teraz podjąć szybką decyzję. Mógł oczywiście bez kłopotu uciec, ci trzej nie mieli żadnego powodu, aby go zabijać; byłaby to jedynie strata cennej amunicji. Lecz rewolwer, Webley 45, wiele znaczył dla kogoś, kto chce nielegalnie opuścić zakład karny. Mike postanowił zdobyć tę broń.

Podniósł się jednym, perfekcyjnie skoordynowanym ruchem i z półprzysiadu błyskawicznie skoczył na plecy uzbrojonego mężczyzny. Jedną ręką zadał potężny cios w nieosłonięty kark, a drugą wyrwał mu z dłoni rewolwer.

Powalony silnym uderzeniem Charhe osunął się na

podłogę. Cummins był już uzbrojony, lecz nie chciał niepotrzebnie marnować kul.

Chwycił za włosy zaskoczonego mężczyznę z prawej i całej siły wepchnął mu głęboko w gardło lufę pistoletu. Ze zdławionym charkotem nieszczęśnik upadł na kolana i po chwili skonał.

Dwóch napastników zostało już wyeliminowanych. Trzeci postanowił się bronić; odskoczył do tyłu i wykonał silny obrót, pragnąc kopnąć napastnika w plecy.

Cummins strzelił zza biodra, instynktownie mierząc prosto w zbliżającą się nogę: ołów kontra kości. Pocisk trafił w kolano i mężczyzna przewrócił się z krzykiem na podłogę. Morderca chwycił ze stołu butelkę, podszedł do rannego i huknął go potężnie w skroń. Szkło rozprysło się po celi.

Cummins, trzymając w ręce ostry szklany odłamek, pochylił się nad nieprzytomnym człowiekiem i jednym cięciem poderżnął mu gardło. Gdy stwierdził, że przeciwnik nie żyje, przyskoczył do ciała mężczyzny, któremu odebrał broń. Przewrócił zwłoki, aby można było przetrząsnąć kieszenie. Po chwili znalazł to, czego szukał: metalowe podłużne pudełko z rysunkiem głowy lwa na pokrywie — pojemnik na zapasowe kule. Potrząsnął pudełkiem i usłyszał grzechot. Nie mógł wprost uwierzyć, iż wszystko się tak dobrze układa.

Uzpełnił magazynek rewolweru i zdecydowanym krokiem wyszedł na korytarz. Wszędzie unosił się gryzący, czarny dym. Cummins przebiegł przez całe zachodnie skrzydło bloku A i stanąwszy u wyjścia wyjrzał na dziedziniec więzienny. Spod bramy dochodziły stłumione jęki, gdzieś wybuchły bomby benzynowe, lecz ogień karabinowy ucichł. Bitwa zakończyła się zwycięstwem rebeliantów i więzienie służyło teraz jedynie za obiekt, który można było splądrować.

Cummins wiedział, że musi uciekać, zanim będzie za późno. Wsunął rewolwer do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Z trudem torował sobie drogę przez zgromadzony za murem więziennym tłum. Pośród kłębow szarego dymu był właściwie nierozpoznawalny. Koniecznie jednak musiał zmienić ubranie.

Wielki plac przed zakładem karnym przypominał pojowisko: na ziemi leżały zwłoki więźniów, cywilów i żołnierzy. Cummins szukał pomiędzy trupami człowieka o podobnej do niego budowie.

Po kilku minutach znalazł odpowiednie zwłoki: zwalsty mężczyzna leżał z przestrzeloną głową na trawie. Ściągnął z niego koszulę, spodnie i kurtkę — nie były nawet poplamione — i począł się przebierać. Zwinął w kłębek swoje więzienne dreluchy i wyrzucił je do kosza na śmieci.

Szedł ulicą, uważnie patrząc pod nogi, aby nie nadeptać na płonące kawałki drewna albo na potłuczone szkło. Łzy ściekały mu ciurkiem po policzkach. Dym uniemożliwiał orientację w otoczeniu. Kierunek, w którym podążał, był nieistotny. Chciał jedynie znaleźć jakieś spokojne miejsce, aby odpocząć, a potem posilić się i ugasić pragnienie. Później będzie można pomyśleć o wydostaniu się z Birmingham.

Nie miał pojęcia, jak długo wałęsał się po mieście, niejednokrotnie musiał skręcać w boczne uliczki, aby schronić się przed grasującymi bandami chuliganów. Miał wrażenie, że przebywa w podzwrotnikowej dżungli zamieszkiwanej przez dzikie zwierzęta. Tumany gęstych dymów unosiły się nad miastem, lecz pomimo że zapadła noc, nie było zupełnie ciemno.

Wiele budynków stało opuszczonych; właściciele i lokatorzy podjęli daremną pielgrzymkę w poszukiwaniu jakiejś bezpiecznej dzielnicy.

Wybrał na chybił trafił jeden z przedwojennych tara-

sowych bloków. Wszedł przez przedsionek na klatkę schodową z zamiarem dostania się do jednego z mieszkań. Panowały tu nieprzeniknione ciemności. Spotkać kogoś w tym miejscu było raczej mało prawdopodobne, lecz Cummins nie mógł sobie pozwolić na zmniejszenie czujności. Ujął w dłoń przygotowany do strzału rewolwer i począł wchodzić po schodach do góry. Delikatnie stawał na kolejne stopnie, przeklinając trzeszczące deski. Palec trzymał wciąż na cynglu: jakikolwiek ruch i kula poleci prosto do celu. Martwy, twierdził Cummins, w przeciwieństwie do żywego, nikomu nie zaszkodzi. Taką już miał filozofię.

Wtem doznał euforycznego wrażenia nieograniczonej wolności. Poczul się w swoim żywiole — miasto stanowiło jedną krwawą łaźnię. Zabijali wszyscy, morderstwo było sposobem na życie. Z pewnością znajdzie gdzieś porzuconą siekierę...

Zanim dotarł na półpiętro usłyszał głosy jakichś ludzi, mężczyzny i kobiety. Naprężył mięśnie, chciał się wycofać, lecz po chwili odrzucił tę myśl. Być może mają tam coś do jedzenia i picia. Prawdopodobieństwo znalezienia żywności w opuszczonym mieszkaniu było zaś niezmiernie małe.

Ruszył do przodu.

Głosy nagle umilkły, zapewne go usłyszeli. Cummins zatrzymał się na moment, lecz po krótkim wahaniu postanowił kontynuować rozpoczętą akcję. Nacisnął pakami klamkę i nieco uchylił drzwi. Przez wąską szparę, sam pozostając w cieniu, ujrzał oświetlone pomarańczową **tuną** wewnątrz pomieszczenia: na ustawionym obok okna łóżku leżało dwoje przytulonych do siebie ludzi. To nic groźnego, pomyślał Cummins.

Wtem mężczyzna odrzucił pościel i począł się skradać w kierunku drzwi. Cummins zareagował natychmiast. Od-

wiódł kurek rewolweru i wycelował w nagiego, bezbron-  
nego człowieka.

— Ani kroku dalej — ostrzegł. — Żadnych sztuczek!  
Jeden ruch, a rozwalę ci czaszkę.

Dwóch mężczyzn patrzyło na siebie w milczeniu.  
Cummins odetchnął z ulgą, gdy Blythe podniósł ręce do  
góry. Dziewczyna wciąż leżała w łóżku, z przerażeniem  
obserwując całą scenę.

— Czy można jakoś oświetlić ten pokój? ~ zapytał  
Cummins, wchodząc do mieszkania.

— Na spodku jest jeszcze ogarek — odparł stłumio-  
nym głosem Blythe. — A tam, w szufladzie, leżą całe ka-  
wałki świec.

Ron po krótkim namyśle stwierdził, iż w tej sytuacji  
bezpieczniej będzie zapalić światło, niż kontynuować  
konfrontację w pomarańczowym blasku nocnej łuny.

— No to już, na co czekasz? — Lufa Webleya wyce-  
lowana była prosto w klatkę piersiową Blythe'a.

Carol pochyliła się nieco do przodu i rzuciła na stół  
pudełko zapalek. Ron drżącymi pakami podpalił zatopio-  
ny w wosku knot. Niepewny płomyczek chwiejnie zami-  
gotał, lecz po chwili wystrzelił w górę i rzucił jasne świat-  
ło na cały pokój.

— Nie ruszajcie się z miejsca! — nakazał Cummins.  
Trzymając ich wciąż na muszce podszedł do szafki, otwo-  
rzył ją i zajrzał do środka. Na półce leżało kilka świec, a  
obok nich stały trzy puszki spaghetti oraz ostatnia shandy.

— Stylowe życie, co? — Cummins wziął jedną świecz-  
kę, odpalił ją od gasnącego płomyka i postawił na spodku.

Ron z przerażeniem rozpoznał teraz rysy intruza. Nie  
mogło być mowy o pomyłce. Fotografia tego człowieka  
została zamieszczona w gazecie, która leżała obok, na stole.

— Jesteś Cummins, prawda? — zapytał Blythe.

— Człowiek-siekiera we własnej osobie — odparł

Cummins i zgiął się w drwiącym ukłonie. — Czy masz mi coś do zaproponowania?

— Nie, nic. Chciałbym się jednak ubrać.

— Poczekaj chwilę. Znajduję ogromną przyjemność w sprawianiu nieoczekiwanych wizyt nudystom. — Cummins spojrział w kierunku łóżka, zatrzymując wzrok na Carol. Jej nylonowa halka podwinęła się prawie ponad uda. — A ty co, mała, czemu nie jesteś golusieńka?

— Bo jest mi zimno — odparła wyzywająco Carol. Przez moment myślała, że ten gbur każe jej się rozebrać.

On jednak ponownie podszedł do szafki i powrócił z puszkami oraz otwieraczem. Rzucił to wszystko Ronowi przez stół.

— Otwieraj! — warknął podnosząc broń. Odwiódł kurek i położył palec na cynglu.

Blythe posłusznie spełnił żądanie. Cummins wolną ręką podniósł shandy do ust, przechylił ją i nie spuszczać oczu z obojga wlał całą zawartość do gardła. Gdy skończył, rzucił pustą puszkę na dywan i czknął. Zabrał się potem do spaghetti. Jadł pakami prosto z pojemnika, pochłaniając wielkie porcje w błyskawicznym tempie. Makaron wypadał mu z przepelnionych ust na podłogę. Po chwili odetchnął głęboko i czknął ponownie; wydawał się być zadowolony.

— No, już lepiej! — rzekł, wycierając rękawem zaślinitone wargi. Przysunął sobie krzesło i usiadł. — Możemy teraz trochę porozmawiać.

— Nie wiem, czy mamy sobie coś do powiedzenia. — Blythe stał wciąż nagi, całkowicie bezsilny. — Wpadłeś tu, do naszego mieszkania i zjadłeś ostatnie zapasy żywności. Nic więcej nie jesteśmy ci w stanie zaoferować.

Cummins spojrział na Carol i uśmiechnął się lubieżnie. Dziewczyna spuściła wzrok.

— Może tak, a może nie — rzekł nieproszony gość i położył rewolwer na stole, wciąż jeszcze trzymając palec

na cynglu. — Chciałbym się was zapytać, czy macie jakieś plany odnośnie ucieczki z tego piekła.

— Tak jak tysiące innych mieszkańców Birmingham — zaśmiał się nerwowo Blythe — znajdujemy się przecież na tym samym tonącym okręcie. Ludzie konają na ulicach, szpitale zaś z powodu przepełnienia zostały otoczone oddziałami wojska, aby zawistni szaleńcy, którym odmówiono elementarnej pomocy medycznej, nie puścili ich z dymem. Komunikacja stanęła. Nieczynne są dworce kolejowe i lotniska, a autostrady zamknięto dla ruchu kołowego. Gdy ktoś próbuje przedrzeć się **przez** kordony, dostaje kulę w łeb bez ostrzeżenia. Tak wygląda sytuacja w mieście, Cummins. Wydostałeś się z celi, lecz wciąż tkwisz w więzieniu. I jeśli zamierzałeś wziąć zakładników, to nie był to dobry pomysł. Władze nie spełnią twoich żądań, aby ocalić dwoje ludzi, podczas gdy każdej godziny umierają ich setki.

— Lecz mieliście jakieś plany, prawda? — Cummins zmarszczył brwi. — Czyżbyście chcieli pozostać w tej nadpalonej dziurze, jak para piwnicznych szczurów?

— No cóż, spróbujemy się stąd wydostać — odparł Blythe. — W tej chwili jednak nie wiemy jeszcze w jaki sposób.

— Należy zatem dobrze się zastanowić.

— To dziwne, myślałem, że taki facet jak ty preferuje działanie w pojedynkę.

— Stęskniłem się ostatnio za ludźmi — odrzekł Cummins i ponownie spojrzął na Carol. — Zbyt długo przebywałem w odosobnieniu; rozwinął się u mnie w tym czasie silny instynkt stadny.

Blythe drżał z zimna, a ciało pokryła mu gęsia skórka.

— Doceniłbym to należycie, gdybyś pozwolił mi się w końcu ubrać.

— W porządku — odparł Cummins i ujął w dłoń rewolwer — ale powtarzam, żadnych sztuczek!



Blythe sięgnął po koszulę, spodnie i sweter, w pełni wykorzystując ten krótki czas do namysłu. Szanse na ucieczkę z Birmingham były niewielkie już przed pojawieniem się tego rzeźnika, teraz zaś zmalały prawie do zera. Ron nie miał jednak zamiaru się poddać. Musieli jak najszybciej dotrzeć do głównej kwatery komitetu ocalenia miasta. Ten kryminalista nie może im w tym przeszkodzić, w najgorszym razie trzeba będzie zabrać go ze sobą.

— No dobrze — rzekł Ron siadając naprzeciwko Cumminsa — mamy pewien plan i nie zamierzamy go zmieniać. Nawet gdybyś zaprotestował.

— Słucham więc uważnie.

— Nazywam się Ron Blythe. Jestem naukowcem, który opracował formułę chemiczną środka chwastobójczego, dziesiątkującego teraz ludność naszego miasta.

— No proszę! Zamykają do ciupy zwykłych morderców, a tacy zbrodniarze jak ty cieszą się pełną wolnością.

— To nie jest odpowiednia pora na błyskotliwe uwagi — odciął się Blythe. — Jak ci wiadomo, nikomu nie udziela się pozwolenia na wyjazd z Birmingham. Jestem jednak, jako chemik, członkiem komitetu ratowniczego, który pracuje nad rozwiązaniem problemu skażenia. Mamy swą siedzibę w centrum miasta, na New Street, lecz z pewnych powodów kilka dni temu opuściłem obrady. Moim celem jest tam powrócić, aby otrzymać od naczelnika policji przepustkę na wolność dla Carol. Usiłowaliśmy już raz dostać się do kwatery, lecz niestety zostaliśmy zmuszeni do odwrotu. Wkrótce spróbujemy ponownie.

— Z przyjemnością dołączę się do waszej ekspedycji.

— No cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak cię zabrać. Lecz nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności za to, co dalej nastąpi. Jeżeli dostaniesz się w ręce sił porządkowych, postawią cię przed plutonem egzekucyjnym.

— Trudno, muszę zaryzykować — wyszczerzył zęby Cunmins. — Tylko pamiętaj, Blythe, dziewczyna idzie ze

mną. Jakiś trik z twojej strony i nie będziesz już nigdy pieprzył tej kotki, chyba że lubisz to robić z trupami.

— Jesteś ostatnim sukinsynem! — Ron był siny z wściekłości.

— Niewykluczone — odparł z uśmiechem Cummins.  
— Nigdy się nie dowiedziałem, kim byli moi prawdziwi rodzice, niespecjalnie się zresztą tym interesowałem... Ostrzegam raz jeszcze, Blythe, dziewczyna otrzyma kulę w brzuch, jeśli będziesz próbował mnie wykiwać.

Ron skinął głową. Spojrzał na Carol i napotkał jej wzrok; smutny uśmiech rozjaśnił na moment strapioną dziewczęcą twarz. Nie mieli innego wyjścia, trzeba było brać tego bandytę ze sobą.

— No to co, pakujemy się? — Cummins podniósł do ust pełną do połowy puszkę shandy, którą Ron napoczął poprzedniego wieczoru — im prędzej stąd wyjdziemy, tym lepiej. Pod osłoną nocy zdążymy jeszcze przebyć spory kawałek drogi.

Dziesięć minut później zgasili świeczkę. Blythe schodził w dół jako pierwszy, za nim szła Carol, a na końcu Cummins z rewolwerem w dłoni.

Po ulicach włóczyli się jacyś ludzie; jedni chodzili bez celu od bramy do bramy, inni zapalali papierosy i przysiadając na kamiennych słupkach o czymś żywo rozprawiali. Mężczyźni, kobiety, dzieci — wielu z nich znajdowało się we wczesnych stadiach zatrucia Weedsprayem. Przeważnie zdawali sobie z tego sprawę, lecz to tylko pogarszało ich sytuację; wiedzieli, że muszą umrzeć, że nie mogą Uczyć na pomoc. Jedynie śmierć ulży ich cierpieniom. Kilku chorych wpadło już w obłąd, zaczęli krzyczeć i brutalnie napastować przechodniów. Czasami potrzeba było dwóch lub trzech silnych mężczyzn, aby obezwładnić szaleńca... czasami wystarczała kula w plecy,

Ron szedł Powoli, trzymając Carol za rękę. ignorował nieustanne nawoływania Cumminsa, który krzyczał, aby

się pospieszyć. Przede wszystkim należało zachować spokój, pozostać niezauważonym, ukrytym w tłumie szarym człowiekiem. Po drugie — unikać kontaktu z policją.

— Proszę pana, moja mamusia potrzebuje pomocy.

Blythe odwrócił się i ujrzał małego, może dziesięcioletniego chłopca, stojącego w bramie kamienicy, którą właśnie mijali. Dzieciak miał podarte, zaplamione ubranie, a po brudnej twarzy ściekały mu potoki łez.

— Proszę pana, mój tatuś zmarł, a mama jest bardzo chora.

— Zostaw go, Blythe — syknął Cummins. — Nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu.

Było w tym chłopcu coś, co poruszyło wrażliwą naturę Rona. Przypomniał sobie mianowicie film, który oglądał bardzo dawno temu, kiedy miał jeszcze pięć czy sześć lat. Niejasne urywki wzruszających scen zamajaczyły mu przez moment w głowie; płakał wtedy w kinie po raz pierwszy i jedyny w życiu.

Ten brzdąc, uliczny łobuz ze slumsów, wywołał to wszystko z jego pamięci.

— Pójdę tam, zobaczę, co się da zrobić.

— Nie bądź idiotą. Tym ludziom już nic nie pomoże.

— Pójdę i zobaczę.

— Zostaniesz tutaj, w przeciwnym razie...

— Posłuchaj, Cummins. Możesz nas, co prawda, szantażować swoim rewolwerem, lecz nie zapominaj, że beze mnie nie uda ci się żywym opuścić Birmingham.

— W porządku. — Cummins chwycił Carol za rękę.

— Ale dziewczyna zostaje ze mną. Aby mieć pewność, że wrócisz.

— Okay — Ron odetchnął z ulgą. Stwierdził, że to nawet lepiej, iż Carol nie będzie wchodzić do środka. Należało, w miarę możliwości, oszczędzać jej makabrycznych widoków.

— Zabierz mnie do swej mamy, synku — zwrócił się do chłopca.

Dom śmierdział uryną i wymiocinami. Na klatce schodowej było zupełnie ciemno, małe okienka nie przepuszczały odblasku łuny. Ron szedł za chłopcem wąskim korytarzem, kilkakrotnie zahaczając nogami o jakieś wystające drągi. Przeszli przez otwarte na oścież drzwi i znaleźli się w obskurnym pomieszczeniu, blade oświetlonym przez rozżarzone kawałki węgla. Pogniecione ubrania zawały stół i podłogę, a na postrzępionej szmacie przy piecu leżał rozciągnięty wielki skundlony pies. Blythe spostrzegł, że zwierzę jest martwe.

Wtem na tapczanie poruszyły się zwały prześcieradeł i spod przepoconej pościeli wyjrzała półprzytomna kobieta. Blythe wstrzymał oddech. Niegdyś mogła być całkiem atrakcyjna, teraz jednak rysy twarzy miała zupełnie zniekształcone przez chorobę. Wypryski i wrzody rozrastały się masowo na skórze. Przymknęła do połowy prawe, nie widzące już oko, w lewym zaś tliła się jeszcze gasnąca iskierka życia.

Chłopiec stanął nieco z tyłu, patrząc to na matkę, to na przybysza. Łzy spływały mu po zapadniętych policzkach.

— Niech pan uratuje moją mamusię, bardzo pana proszę.

— Wody! — zacharczała kobieta. — Dajcie mi wody.

Ron skinął głową. Chorej pozostały jeszcze najwyżej dwie godziny życia. Kolejna dawka Weedsprayu nie może już nic zmienić, przyspieszy jedynie śmierć.

Pokryta plamami, wyszczerbiona kamienna umywalka stała w kącie pomieszczenia. Ron chwycił stojący na półeczce kubek i odkręcił kran z zimną wodą. Niestety, nie było ciśnienia, do kubka spłynęło zaledwie parę kropel.

Ukląkł na podłodze i odszukał pod umywalką zawór regulujący dopływ wody z rurociągu. Spróbował przekre-

*cié* go w lewo, lecz od razu poczuł opór, co oznaczało, że jest całkowicie otwarty. A mimo to wody brak. Rury były puste!

— Pić!

— Chwileczkę — Ron odkręcił ciepłą wodę i silny strumień od razu napełnił kubek do pełna. Po chwili jednak w rurach coś zabulgotało i woda przestała płynąć.

Gdy pochylił się nad leżącą na tapczanie, umierającą kobietą, coś nagle sobie uświadomił. Po pierwsze — zamknięto ujęcia, władze odcięły mieszkańców od wody. Po drugie zaś — i najważniejsze — ciepła woda w rurach zdatna była do picia! Musiała bowiem wpłynąć do rurociągów prowadzących do ciepłowni na długo, zanim Weedspray dostał się do Zbiornika Claerwen. Nie było tego dużo, z pewnością nie tyle, aby ugasić pożary, lecz w sam raz dla uratowania wielu istnień ludzkich. Należy to jak najszybciej publicznie ogłosić! Im prędzej dotrze do Komitetu, tym lepiej. Powie im, że w każdym mieszkaniu jest co najmniej litr czystej wody.

— Pić! Jeszcze!

Ron odebrał kubek z rąk wycieńczonej kobiety.

— Przykro mi — rzekł — lecz zdaje się, że doptyw wody został zamknięty.

Chora runęła na poduszkę. Leżała teraz bez ruchu, pogrążona w skrajnej rozpacz. Chłopiec zaczął głośno płakać.

— Kiedy umarł twój ojciec?

— Wczoraj. Jest na górze, w sypialni.

Typowa sytuacja. Setki trupów leżały po domach, rozkładając się, wydzielając wstrętny fetor. Chociaż na dworze już od kilku dni panowała niska temperatura, uniknięcie epidemii było mało prawdopodobne. Weedspray stanowił problem numer jeden. Pojawił się jednak kolejny: tyfus. Nie trzeba będzie pić zatrutej wody, aby umrzeć, pomyś-

łał Blythe, ta zakaźna choroba rozprzestrzeni się i zbierze obfite żniwo.

— Czy może pan coś zrobić dla mojej mamusi?

Blythe zacisnął usta. Jak, do diabła, powiedzieć temu dzieciakowi, że za kilka godzin zostanie sierotą?

— Czy masz babcię albo dziadka, synku?

— Tak... ale oni wyjechali.

— Rozumiem. A twoi przyjaciele, ich rodzice?

— Większość ludzi wyjechała, proszę pana.

O Boże, co teraz robić? Ron nabił i zapalił fajkę. Aromat tytoniu rozniósł się po całym domu, tłumiąc nieco ohydny smród gnijących ciał.

Nie był w stanie pomóc tej kobiecie. Nikt się nią przecież nie zainteresuje. Służba zdrowia, zavalona natłokiem chorych, praktycznie już nie funkcjonowała. Nie mógł jednak zostawić chłopca w tej odrażającej umieralni. Było tylko jedno wyjście — zabrać go ze sobą.

— Wiesz co, mały? — rzekł z uśmiechem Ron. Położył chłopcu rękę na ramieniu, przyjmując opiekuńczą, ojcowską postawę. Taki właśnie był zawsze wobec swoich dzieci. — Jestem tu z dwojgiem przyjaciół. Stoją na ulicy, sam ich zresztą widziałeś. Czy chcesz się do nas przyłączyć? Z nami będziesz o wiele bezpieczniejszy, niż gdybyś pozostał tutaj.

— A co z moją mamą?

Do diabła! Blythe zagryzł aluminiowy trzonek swojej fajki. Spojrzał na chłopca, a potem na tapczan, gdzie wciąż bez ruchu leżała jego matka. Wstrzymując oddech podszedł do niej i pochylając się nad pościelą spojrzął na pokrytą wrzodami twarz. Pótotwarte usta nie chwyciły już powietrza, rozszerzone źrenice zastygły na zawsze.

— Obawiam się... że twoja mama już nie potrzebuje pomocy — rzekł Ron.

Chłopiec stał osłupiały nie mogąc uwierzyć, że to prawda. Wtem podbiegł do Blythe'a, stanął na pakach i

zarzuciwszy mu ręce na szyję wybuchnął płaczem. Zachłystując się łzami próbował coś mówić, lecz jękał się tylko i nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

— Czyżbyś zdechł w tej dziurze, Blythe? Czekamy na ciebie już piętnaście minut.

Ron wzdrygnął się na dźwięk tych ostrych słów. W szeroko otwartych drzwiach stanął Cummins. Idący od ognia czerwony blask oświetlił jego twarz, złowrogo podkreślając okrutne, nieludzkie wprost rysy. To ciekawe, na tym zdeformowanym obliczu miał wyraźnie wypisaną całą historię swego życia.

Carol pozostała nieco z tyłu, w ciemnym korytarzu.

— No i co, synku, idziesz z nami? — spytał Ron, wtrząsając z fajki grudkę popiołu.

— Nie bądź idiotą, Blythe — warknął Cummins. — Nie będziemy brać ze sobą żadnych zasmarkanych gówniarzy!

— Zamknij pysk — krzyknął rozwścieczony Ron. — Zgodziłem się tobie pomóc, ale nie mam zamiaru zostawić tego dzieciaka na pastwę losu.

Cummins wyciągnął rewolwer, lecz Blythe nie dał się zastraszyć.

— Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, zakuta pało — mówił dalej — że jeśli nas zastrzelisz, nie będziemy w stanie z tobą współdziałać?

— W porządku — odparł Cummins — lecz według mnie jesteś ostatnim durniem.

— Jak ci na imię? — Blythe spojrzał na chłopca, który wciąż kurczowo trzymał się jego rękawa.

— Paul... Paul Merrick.

— Już dobrze, Paul; daj rękę, idziemy stąd!

Wyszli w milczeniu na ciemną ulicę. Po wydostaniu się z niezdrowego, przesyconego zapachem śmierci pomieszczenia z ulgą powitali zadymione, lecz świeże powietrze.

Czworo ludzi: dwoje z nich, chłopiec i dziewczyna, po-

grążeń w smutku, opłakiwali tych, których darzyli miłością. Obaj zaś mężczyźni mieli ręce splamione krwią. Jeden, niegdyś bardzo ceniony chemik, ponosił odpowiedzialność za śmierć tysięcy mieszkańców Birmingham; drugi — to okrutny morderca, w którego żyłach płynęło pragnienie zabijania. Dziwnie się dobrali; wyruszyli razem we wspólną podróż, obcy sobie, a jednocześnie tak bliscy. Podążali w nieznaną, wypełniając swoje przeznaczenie.



## Rozdział XI

Wysoki biurowiec na New Street płonął już od kilku godzin. Rozszalałe morze ognia pochłaniało kolejne kondygnacje. Strażacy, nie mogąc dać sobie rady z pożarem, odskoczyli od ognia, mieszając się z tłumem gapiów.

Na bruku leżały dziesiątki zwęglonych zwłok, swąd piekącego się ludzkiego mięsa wypełnił powietrze. Nie wszyscy byli ofiarami płomieni; wiele osób zmarło na ulicy wskutek zatrucia się Weedsprayem, a ogień trawił teraz ich pokryte wrzodami szczątki.

Wtem z tłumu podniosły się krzyki przerażenia. U góry, na dziesiątym piętrze, zamajaczyły w oknie jakieś twarze. Uwięzieni w budynku ludzie nie mieli jak się stamtąd wydostać. Spłoną żywcem, gdy tylko ogień podejdzie wyżej.

— Czy nikt nie ma zamiaru im pomóc? — zapytał ktoś ze zbiegowiska.

— Zbędny wysiłek — odparł niski mężczyzna o ziemistej twarzy. — Nie ma żadnych szans na podjęcie skutecznej akcji ratunkowej. Któż by zresztą żałował tych sukinsynów? To oni przecież wynaleźli ów przeklęty środek chwastobójczy, oni spowodowali katastrofę, niech się więc teraz na nic nie skarżą! Szkoda tylko, że nikt im nie wlał tego ich świństwa do gardła!

— Stusznie - rzekł ktoś inny. — Należy się łotrom zasłużona kara.

Z tłumu posypały się gwizdy, przekleństwa i drwiny. Nikt nie współczuł skazanym na pewną śmierć członkom komitetu ocalenia miasta.

Najbliższy pożar oddalony był o mniej więcej dwieście

metrów. Rozprzestrzeniał się dość szybko, lecz nie doszedł jeszcze do New Street. Być może przeskoczyła jakaś iskra... niewykluczone też, że ktoś, kto szukał zemsty, wrzucił przez okno bombę benzynową. Terrorystów, tak jak płomieni, nie można było teraz powstrzymać.

Ken Broadhurst patrzył na zgromadzone w dole tłum. Twarz miał poszarzałą ze strachu; nigdy nie przypuszczał, że coś takiego mu się w życiu przydarzy. Żaden nocny koszmar nie mógłby oddać grozy sytuacji, w której się teraz nieoczekiwanie znalazł. Odwrócił się od okna i spojrzął na swoich towarzyszy: Croxley, całkowicie już pozbawiony swego władczego spojrzenia, siedział przygnębiony w fotelu; oficer lotnictwa Wallace, zazwyczaj tak pewny siebie, stał z zaciśniętymi ustami przy biurku i nerwowo bębnił pakami po blacie; pułkownik Blaxley, wysoki, dobrze zbudowany, był doskonałym ekspertem w dziedzinie prowadzenia wojny lądowej, ale teraz, niestety, nic mu nie przychodziło do głowy; i wreszcie dwaj chemicy, Gleason i Gillet, którzy przez te kilka dni na próżno usiłowali wynaleźć antidotum dla Weedsprayu — nie będą już mieli możliwości kontynuowania swoich prób, ich praca przejdzie do historii jako wielkie niepowodzenie. Najprawdopodobniej zresztą nikt o nich nie będzie pamiętał.

Broadhurst zastanawiał się, gdzie jest Blythe. Ten sukinsyn wysiadł z pociągu na moment przed katastrofą, tak jakby wiedział, co się stanie... może nawet to on podłożył tu ogień? Nie, to nie było do niego podobne. Nie miał zresztą żadnego powodu. Chyba, że napił się gdzieś trucizny i w obłądnie postanowił zamordować swoich kolegów, aby nie umierać samotnie. Ludzie pod wpływem Weedsprayu stają się przecież całkowicie niepoczytalni.

— Cholernie gorąco — rzekł Croxley.

Nikt nie zareagował na jego słowa. To rzeczywiście głupio zabrzmiało, zreflektował się naczelnik policji, tak jakby tonący człowiek skarżył się na to, że woda jest mokra.

Temperatura w pomieszczeniu rosła. Podłoga zaczęła się powoli nagrzewać. Każdy z nich zastanawiał się, do którego piętra dotarły już płomienie. Trudno było powiedzieć. Prawdopodobnie zresztą uduszą się dymem, jeszcze zanim rozszalały żywioł obejmie ich kondygnację. Broadhurst miał nawet taką nadzieję, najgorsze to zginąć w ogniu. Przyszła mu na myśl Joanna d'Arc, wyobraził sobie, w jakich cierpieniach musiała umierać. Mój Boże, co za los! Ciekawe, jak długo to potrwa? Zbyt długo, stwierdził przestraszony Broadhurst, jakkolwiek by na to nie spojrzeć.

— Musi być jakieś wyjście — jęknął Gleason.

— Jeśli nawet kiedyś było, to je przeoczyliśmy — rzekł lekceważącym tonem Wallace. Podczas wychowania w szkole wojskowej wpojono mu dwie podstawowe zasady: należy godnie żyć i dumnie umrzeć. Często stawiano go za wzór cnót oficerskich, więc i teraz, choć w tak ekstremalnych okolicznościach, pragnął pozostać wierny swojej żołnierskiej etyce. Był gotów odważnie stawić czoła śmierci.

— Lecz przecież funkcjonuje w tym mieście straż pożarna! — krzyknął zdesperowany Gillet.

— Nie sądzę - odrzekł zimno Wallace — a nawet gdyby tak było, nie mają możliwości, aby się do nas dostać. Ulice są całkowicie zawałone gruzami, zablokowane przez porzucone samochody — nie przejechałbyś tamtędy nawet taczkami. Lecz przypuśćmy, że stał się cud i strażacy przybyli, aby nas uratować. Cóż jednak będą w stanie uczynić? Nie postawią przecież drabin pośród szalejących płomieni. A gdyby przyszło im do głowy, by chlusnąć na nas wodą, to tylko przyspieszy nasz koniec!

— Lecz nie możemy tak po prostu... siedzieć tu i czekać...

— To wymyśl coś, mój chłopcze. A jeśli dzięki twej pomysłowości uda nam się wydostać z tego piekła, to

gwarantuję, że zostanie ci przyznany stopień oficerski w armii brytyjskiej. Zrobię nawet więcej, dopilnuję, abyś otrzymał nominację na generała.

— Pan żartuje, Wallace, a przecież my za parę godzin zginiemy.

Nastąpił moment przygniatającej ciszy. Wszyscy o tym dobrze wiedzieli, lecz nikt **jeszcze** tego nie powiedział tak otwarcie. Nawet naczelnik policji nerwowo wykrzywił wargi.

— Powinniśmy byli opuścić ten budynek dużo wcześniej — mruknął Croxley. — Niestety, biurowiec nie posiada żadnych dróg ewakuacyjnych, które umożliwiłyby ucieczkę. Architekci nie brali pod uwagę tego, że jakiś szalenciec wrzuci przez okno bombę benzynową i to w momencie, gdy z braku energii elektrycznej przestały działać windy i, co gorsza, nie można przeprowadzić efektywnej akcji gaśniczej. Taka sytuacja byłaby już niezwykle trudna w normalnych warunkach, lecz moglibyśmy jeszcze mieć nadzieję. Teraz jesteśmy bez szans. Jeśli któryś z was chce zmówić ostatnią modlitwę, proszę, nie kępcujcie się.

Nikt jednak nie uklęknął. Co chwilę ktoś wychodził z gabinetu na korytarz; jedni wałęsali się po różnych pomieszczeniach biurowych, inni korzystali z toalety. Broadhurst podejrzewał, iż Gillet jest w szoku, Gleason też zresztą wyglądał nieszczęśliwie — ci dwaj załamią się pierwsi.

Broadhurst ponownie przypomniał sobie Blythe'a. Miał zamiar awansować go w najbliższym czasie na stanowisko zastępcy dyrektora. Ten zdolny i energiczny człowiek doskonale poprowadziłby interesy. Broadhurst rozmawiał już nawet w tej sprawie z sekretarzem firmy, Pagem. Szkoda, że nie powiedział o tym Blythe'owi. A jeśli to jednak on podpalił siedzibę komitetu? Mój Boże, czyżby rzeczywiście był do tego zdolny?

Ken wyszedł na korytarz, aby odpocząć od nerwowej atmosfery panującej w sali. Chciał być przez chwilę sam,

nie widzieć swego własnego strachu odbitego w twarzach pozostałych.

Rozwagał możliwość otwarcia okna i rzucenia się w dół. Zawsze odczuwał paniczny lęk wysokości, przejawiający się gwałtownymi zawrotami głowy. To byłaby ciężka próba. Stanąć na parapecie, chwila wahania... na ulicy tłum obserwujących cię ludzi. A potem skok w przestworza i długi lot bezwładnego ciała, przez cały czas w pełni świadomości... Zbliżający się grunt, aż wreszcie potężne uderzenie w beton. Trzask łamanych kości... ale czy na pewno zginie na miejscu? Czytał miesiąc temu notatkę prasową o robotniku, który spadł z rusztowania i runął w pięćdziesięciometrową przepaść. Pogruchotał sobie ręce i nogi, złamał miednicę i doznał wszelkich możliwych obrażeń — ale przeżył. Jako niezdolny do życia inwalida, wegutuje teraz w jakimś domu pomocy społecznej.

Broadhurst poczuł mdłości. Nie, nie skoczy, choćby miał tu spłonąć. Wszedł do małego pomieszczenia na końcu korytarza i usiadł przy biurku sekretarki. Metodycznie rozpatrywał wszystkie bardziej lub mniej skomplikowane procedury popełnienia samobójstwa, lecz większość z nich nie nadawała się w tych warunkach do realizacji. Nie było tu tlenu węgla ani wystarczającej ilości wody, aby się utopić. Mógł, oczywiście, podciąć sobie scyzorykiem żyły, lecz wydawało mu się to nieestetyczne i, co gorsza, nazbyt długotrwałe.

Mógł również się powiesić. Ten pomysł wart był uwagi. Śmierć przychodzi szybko — moment i jest już po wszystkim.

Spojrzał do góry. Solidne haki, na których niegdyś wisiła lampa, wciąż tkwiły u sufitu. Nie zostały jeszcze usunięte po tym, jak zainstalowano świetlówki. Broadhurst ujął w dłoń swój krawat i szacował jego wytrzymałość: nylon, na pewno się nie zerwie, można by na nim holować samochód. Wszystko jest takie proste: należy stanąć

na krzesło, zawiązać sobie krawat wokół szyi, drugą jego końcówkę mocując na haku. A potem jedynie kopnąć krzesło...

Odetchnął głęboko. Niektórzy sądzą, że tylko tchórze odbierają sobie życie. To nieprawda, jedynie odważni ludzie mają śmiałość ze sobą skończyć. No, może jeszcze szaleńcy, wyprowadzeni z równowagi desperaci... lecz Broadhurst był już bliski nerwowego załamania.

Czy jednak jest w stanie to zrobić? Obawiał się, że w ostatniej chwili stchórzy, rozwiąże węzeł i zejdzie z krzesła, czując się przy tym okropnie. Powróci do sali obrad, zakłopotany, jak ktoś, kto na wytwornym przyjęciu wymknie się ukradkiem do toalety i później sądzi, iż nikt tego nie zauważył.

Stał niezdecydowany. Należy jednak spróbować, pomyślał, zawsze przecież można się cofnąć. Każdy z nich, więźniów płonącego budynku, popełniłby samobójstwo, gdyby tylko miał nieco odwagi. Nikt jednak tego nie robił i Broadhurst również nie wierzył, iż uda mu się przełamać strach.

Boże, jak gorąco! Oblizął wyschniętym językiem spieczoną wargę. Pot spływał mu strumieniami po czole. Rozluźnił krawat, a po chwili zdjął go nagłym szarpnięciem z szyi. W takich okolicznościach dobra prezencja nie mogła już nikogo obchodzić. Chyba, że takich ludzi jak Wallace albo Blaxley — ci umrą zapewne w zapiętych na ostatni guzik mundurach. Najważniejsze są dla nich nienaganne manieri, nawet wtedy, gdy zbliża się śmierć. Taki już jest człowiek. Gdy przez wiele lat bezwolnie ulega konwensom, przyjmuje wreszcie za punkt swego honoru, aby bez względu na to, co się dzieje reprezentować zasady, które mu narzuciło społeczeństwo.

Broadhurst nerwowo gniótł w rękach swój krawat. Zdobiące go zielone i niebieskie paski były akurat teraz w modzie. Te kolory coś oznaczały, a mianowicie standard,

wedle którego należało się ubierać. Preferowałeś dany de-  
señ tylko dlatego, że wszyscy inni zachwycali się takim, a  
nie innym wzorem, dyktowanym zresztą przez zmyślnych  
projektantów mody. Co za okropny konformizm!

Ken postawił nogę na krześle. Wyobraził sobie, że  
wchodzi na drewniane siedzenie i stając na pakach dosię-  
ga podwieszonych u sufitu haków, aby zawiązać na nich  
krawat. Teraz albo nigdy, pomyślał. Już miał to zrobić,  
gdy nagle usłyszał, że otworzyły się drzwi.

— A więc tutaj jesteś, Broadhurst — rzekł wchodzący  
Croxley. — Nie było cię tak długo, że pomyślałem, iż coś  
ci się stało.

Broadhurst potrząsnął głową. Czuł, że twarz mu po-  
czerwieniała ze wstydu. Nie spodziewał się, że ktoś go za-  
skoczy właśnie w decydującym momencie. Zdjął nogę z  
krzesła i usiadł na biurku.

— Czy wszystko z tobą w porządku? — zapytał na-  
czelnik policji.

— Tak, jak najbardziej — odparł cicho Broadhurst.  
Odwrócił się do okna i udawał, że patrzy w dół, na ulicę.  
W powietrzu unosiły się kłęby gęstego, czarnego dymu,  
ograniczając widoczność do zaledwie kilkunastu metrów.

— Próbowałem po prostu znaleźć jakieś wyjście.

— A ja w ostatniej chwili udaremniłem twoje plany.

— Croxley był zadowolony. Potwierdził w ten sposób swą  
policyjną intuicję. Ujął przestępcę, zanim jeszcze ten po-  
pełnił zbrodnię.

— Nie tak zupełnie — rzekł Broadhurst — prawdo-  
podobnie bym się na to nie zdobył.

— Nigdy nic nie wiadomo, dopóki nie spróbujesz.

Cisza. Obaj mężczyźni utkwili wzrok w podłodze i  
przez moment studiowali faliste wzory wyfłoczone na brą-  
zowym dywanie.

— Zostawię cię samego, jeśli masz zamiar ponowić

próbę — uśmiechnął się blado Croxley. Broadhurst wiedział, że nie mógłby się już wtedy cofnąć.

— Nie. Za późno. Po raz drugi będzie zresztą jeszcze trudniej.

— Tak przy okazji, Gleason zachorował.

— Wszyscy jesteście chorzy. W obliczu śmierci mało kto zachowuje się normalnie.

— Nie to miałem na myśli. On jest ofiarą trucizny. Ukrywał przed nami swój stan; dowiedziałem się o tym dopiero podczas rozmowy z Gilletem. Co my z nim teraz zrobimy?

— Niewiele możemy uczynić. Sądzę zresztą, że nie ma to żadnego znaczenia. Zginie w tym piekle, zanim Weedspray go zdąży wykończyć. Ciekawe, ile jeszcze zostało nam czasu?

— Trudno powiedzieć. Dwie, trzy godziny, może nawet mniej. Budynek ma kilkanaście pięter. Gdyby udało nam się przedrzeć wśród dymu przez korytarz, moglibyśmy wejść trochę wyżej. Dzięki temu zyskalibyśmy jeszcze parę godzin.

— Prawdę mówiąc, nie widzę w tym sensu. To tylko przedłuży nasze cierpienia.

— Może będzie tam przynajmniej nieco chłodniej?

— Najwyżej o parę stopni, a po pewnym czasie temperatura i tak się podniesie.

Z dołu dochodził już huk szalejącego pożaru. Wielkie segmenty żelazobetonu odrywały się od bryły wieżowca i po kilkunastu sekundach lotu z łoskotem uderzały o bruk; drewniane belki trzaskały w ogniu i rzucając w górę snopy iskier spadały w ślad za odłamkami gruzu w gorzącą przepaść. Płomienie rozprzestrzeniały się coraz szybciej.

Wtem na korytarzu zadudniły czyjeś energiczne kroki. Obydwaj mężczyźni odwrócili się do drzwi i ujrzeni wcho-



dzącego Gilleta. Jego zaczerwieniona twarz wyrażała zaniepokojenie.

— Chodzi o Gleasona — Gillet zwrócił się do Croxleya. — Wyszedł przed kwadransem z sali i gdzieś się zapodział. Myślałem, że chciał pochodzić sobie trochę po korytarzu, okazało się jednak, że jest w toalecie.

— Ale co z tego? — naczelnik policji podniósł do góry brwi.

— Z biurka zniknął nóż do rozcinania papieru. Zabrał go oczywiście Gleason. Zamknął się na klucz i nie otwiera na moje pukanie. Bóg wie, co on tam robi, może nawet chce ze sobą skończyć. W środku panuje kompletna cisza, musimy natychmiast wyważyć drzwi!

— Nie ma potrzeby — rzekł Croxley i wytarł ręką spocone czoło. — Naprawdę nie ma potrzeby. Jeśli nawet się zarżnął, to pokój jego duszy. Czy musimy pędzić mu na ratunek?

— Możemy teraz robić, co nam się żywnie podoba — srać po kątach albo sikać do koszy na śmieci... któż się będzie tym przejmował? Ja na pewno nie.

Gillet patrzył przez chwilę na Croxleya, a potem odwrócił się i wyszedł. Słyszeli, jak idzie korytarzem — gromadnie zwierzę wracające do swego stada.

— Zaszokowałeś go — zaśmiał się Broadhurst.

— Co takiego? — Croxley również wybuchnął śmiechem. - Nie musimy już dłużej trzymać się schematów. Żaden z nas nie wyjdzie stąd żywy, wszyscy o tym dobrze wiemy. Jesteśmy podobni do skazanych na karę śmierci więźniów, tyle że nie mamy możliwości, aby wyrazić swoje ostatnie życzenie.

— A gdybyś mógł? — Broadhurst podniósł nagle głowę.

— Poprosiłbym o kobietę — odparł Croxley, siadając na krześle. — Oczywiście, nie o moją żonę. Chciałbym się przespać z kurewką, z rodzaju takich, jakie łapaliśmy niegdyś w podmiejskich dzielnicach. Oskarżaliśmy je przed

magistratem o nielegalną prostytutkę. Dostawały wtedy po pięć funtów kary i puszczane wolno mogły uprawiać swój proceder dalej. O Boże! Gdyby można było cofnąć się do tamtych czasów, wydałbym całą forszę na jedną z takich brudnych ulicznic. Od wielu lat pragnąłem to zrobić, lecz bałem się, że sprawa wyjdzie na jaw i zostaną skompromitowani. Nie mówiłem nikomu o tych moich stłumionych potrzebach, a ty, Broadhurst, usłyszałeś to tylko dlatego, że jeszcze dzisiaj zginiesz i zamkniesz usta na zawsze.

— Jesteś najuczciwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem — rzekł Broadhurst — i skoro już wyznajemy sobie nawzajem swoje tajemnice, posłuchaj teraz mnie, ojcze Croxleyu.

— W porządku, stary, mów, co ci leży na sercu. Nie, zaczekaj, niech zgadnę... poszedłeś do łóżka z dziwką, która zaraziła cię syfilisem. Byłeś potem na tajnym leczeniu w klinice chorób wenerycznych i nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Nawet twoja żona.

— Nie — odparł Broadhurst, zapalając papierosa, prawdopodobnie ostatniego w swoim życiu — nic tak barwnego, jak myślisz. Oto moja historia: Urodziłem się w ubogiej dzielnicy Balsall Heath. W wieku szesnastu lat opuściłem dom i od tamtej pory nigdy już nie widziałem swoich rodziców. Chociaż byłem biedny jak mysz, pragnąłem wybić się ponad zwykłych zjadaczy chleba. Opracowując najdrobniejsze szczegóły, spreparowałem sobie dyplom ukończenia renomowanego Wrekin College. Zostałem nawet wpisany do starych rejestrów. Udawałem, że znam wykładających tam profesorów i co wybitniejszych absolwentów, nauczyłem się bowiem na pamięć całej historii tej szkoły. Wierz mi, wszyscy dali się nabrać. Może za wyjątkiem Blythe'a, on chyba coś podejrzewał. Lecz to nie ma już większego znaczenia. Dostałem się, dzięki swej

przebiegłości, na wysokie stanowisko i zabiorę mój sekret do grobu.

— Bardzo interesujące — rzekł Croxley. — Podejrzewam, że gdybyś popełnił jakąś zbrodnię, byłbyś jednym z nielicznych, którym udaje się perfekcyjnie zatrzeć po sobie wszelkie ślady. Jesteś facetem na wysokim poziomie, nie odwaliłbyś fuszerki jak ci wszyscy pospolici przestępcy. Nie wpadło ci na szczęście do głowy, aby kogoś zamordować. Miałbym wówczas pełne ręce roboty... Potrafisz działać z zimną krwią. Myślę, że gdybym tobie nie przeszkodził, rzeczywiście byś się powiesił.

— Nie ma już o czym mówić. Wróćmy do tamtych...

Wtem z dołu doszedł ogłuszający łomot. Budynek zachwiał się w posadach i nieco przechylił na jedną stronę. Maszyna do pisania spadła z głośnym hukiem z biurka, rozsypując swój mechanizm po podłodze. Drzwi zamknęły się powoli, złowieszczo, jakby zapowiadając nadchodzący koniec.

Temperatura w pomieszczeniu podskoczyła o kilkanaście stopni w ciągu zaledwie kilku sekund. Broadhurst podbiegł do drzwi: chwycił za klamkę, nacisnął ją i pociągnął do siebie, lecz niestety zamek, który najprawdopodobniej zaskoczył, był nie do odblokowania bez pomocy klucza. Broadhurst szarpnął mocniej, na próżno. Zdesperowany, wściekle kopnął w uniemożliwiającą wyjście drewnianą przeszkodę.

— Cholera — zaklął. — Ten biurowiec zaraz się zawali i runiemy razem z setkami ton gruzu na ziemię. To było zresztą do przewidzenia, ogień pożera nas przecież od dołu. A my zamknięci jesteśmy we własnej więziennej celi, niczym w małej trumnie umieszczonej w olbrzymim krematorium.

— Czy ma to jakieś znaczenie? — Croxley znów usiadł na krześle. Gorące wypieki pojawiły się na jego twarzy. — Zostaniemy tu już do końca. I bardzo dobrze,

wcale nie mam ochoty wracać do tych durniów jedynie po to, aby złożyć im ostatni ukłon. Wallace i Blaxley będą głupimi uśmiechami maskować swoje przerażenie, a Gillet narobi w portki i wejdzie ze strachu pod stół. My natomiast nie musimy zgrywać przed sobą bohaterów ani powstrzymywać się przed czymkolwiek. Możemy robić, co nam się tylko podoba — oszaleć, płakać, prosić Boga o zmiłowanie... Jeśli chcesz, rozwal kopniakami te drzwi, powyrzucaj meble przez okno albo nawet sam przez nie wyskocz.

Kolejny wstrząs, tym razem o wiele silniejszy. Kawałki tynku oderwały się od sufitu i pokruszone spadły na obu mężczyzn. Podłoga nachyliła się pod kątem kilku stopni: Broadhurst i Croxley runęli na ziemię i kurczowo trzymając się stołów i krzeseł, potoczyli się bezwładnie wraz z meblami w kąt pomieszczenia.

Leżeli teraz pośród potrząskanych biurek, nie mając siły wykrztusić słowa. Z trudem łapali oddechy, gdyż powietrze w pomieszczeniu było coraz gorętsze. Patrząc na rozgrzane cegły mieli wrażenie, że znajdują się we wnętrzu starodawnego pieca chlebowego.

Nagle skądś dobiegły jakieś krzyki. Broadhurst i Croxley spojrzeli po sobie. Nie wiedzieli, czy to głosy zgromadzonego na ulicy tłumu, czy może wrzaski pozostałych członków komitetu. Niewykluczone, że ich konwencjonalna fasada waliła się wraz z gmachem, w którym przeznaczone im było umrzeć.

Broadhurst dziwił się, że nie czuje żadnego bólu. Wpadł w odrętwienie, jakby nagle podano mu jakiś mocny środek oszalamiający. Z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę. Naczelnik policji patrzył na niego, leżąc oddalony zaledwie o półtora metra.

— Czy to jeszcze długo będzie trwało? — zapytał głośno i wyraźnie Croxley. Usiłował przekrzyknąć nie-

przerwany łoskot, złożony z tysięcy najróżniejszych hałasów.

— Mam nadzieję, że nie — odparł Broadhurst. — Czy wciąż myślisz o tej kurewce?

— Tak, lecz nie sędzę, abym miał siłę ją teraz przelecieć. Chyba że ona odwaliłaby całą robotę.

— Musiałbyś jej wówczas dopłacić jeszcze kilka funtów extra!

Obaj wybuchnęli histerycznym śmiechem.

— Hej, przyszło mi coś do głowy — zawołał nagle Broadhurst — możemy się stąd wydostać. Jeśli tylko...

Jego słowa utonęły w grzmocie spadających cegieł. Szyba okienna pękła i pokój wypełnił się natychmiast chmurą dławiącego kurzu.

Budynek zadrżał, wyrzucając w górę wielkie snopy iskier, po czym zaczął się powoli walić. Przez moment stał jeszcze w całości, z trudem utrzymując pion, lecz w końcu runął z hukiem na ziemię.

Obserwujący katastrofę ludzie zamarli z przerażenia. Niektórzy stali nieruchomo, jak zahipnotyzowani, wpatrzni w spadający z nieba grad cegieł i odłamków żelbetonu. Płonące belki ze świstem przecinały powietrze.

Finalny grzmot wstrząsnął miastem z niespotykaną siłą. Wszystkie okna, które opierały się dotąd potężne rozszalałych żywiołów, rozpekły się teraz na setki kawałków, które wirując dookoła swej osi spadały na zatłoczoną ulicę. Stojący na chodniku łysy mężczyzna otrzymał cios prosto w czaszkę. W momencie, gdy ostry szklany odłamek zatopił się w jego mózgu, mężczyzna znieruchomiał na chwilę — szkło sterczało mu pionowo z głowy — po czym upadł na bruk. Świadkowie tej okropnej sceny podnieśli obłędny wrzask, lecz pośród ogólnej masakry był to niewiele znaczący incydent.

— Trzęsienie ziemi! — krzyknął ktoś z tłumu i ludzie rzucili się do panicznej ucieczki. Biegli na oślep we

wszystkich kierunkach, wchodząc sobie w drogę, tratując tych, którzy upadli. Ceglany kurz zanieczyścił atmosferę i utrudniał oddychanie.

Brunatne dymy ścieliły się ponad ziemią — dzień zamienił się nagle w ciemną, ponurą noc. Z oddalonego zaś o kilka kilometrów południowego krańca miasta sporadycznie dobiegały odgłosy strzałów z broni maszynowej.

Na autostradzie Aston panował już spokój. W odległości jednak kilkuset metrów od miejsca kolizji, w pobliżu węzła Spaghetti, toczyła się najzaciętsza jak do tej pory bitwa — pomiędzy siłami porządkowymi, a gromadami spragnionych szaleńców, którzy usiłowali zdobyć browar.

Władze przewidziały możliwość takiej inwazji i wysłały w ten rejon ochotniczy pluton piętnastu żołnierzy z zadaniem niedopuszczenia tłumów na teren zakładu. Wprawdzie produkcję piwa zakończono już dosyć dawno temu, lecz ogromne zapasy tego trunku wciąż zalegały w magazynach: dziesiątki cystern, tysiące puszek i butelek. Gdy doszczętnie osuszono wszystkie kawiarnie i bary, zdesperowani ludzie rzucili się do kolejnego wodopoju.

Garstka żołnierzy obsadziła barykady ustawione na dwóch ulicach, biegnących po obu stronach browaru. Z początku nie było trudno utrzymać tłum na odległość. Mniej więcej co godzinę ktoś padał zabity, dzięki czemu przez jakiś czas panował względny spokój. Lecz w końcu, w obliczu groźby śmierci z pragnienia, ludzie poczęli coraz śmielej podchodzić do bram zakładu. Potroili swoje szeregi i bez względu na konsekwencje postanowili zaatakować strażników.

Rozgorzała zacięta walka. Setki cegieł i kamieni spadły na desperacko broniący się pluton. Napastnicy ukryli się za porzuconymi na szosie pojazdami, byli w ten sposób osłonięci przed nieustającym ogniem karabinowym.

Żołnierze tracili siły. Jeden z nich otrzymał cegłą cios

prosto w twarz. Został potężnie odrzucony do tyłu i upadł bez życia na ziemię. Inny, ze złamaną kamieniem ręką, ostrzeliwał się jeszcze, z trudem trzymając w jednej dłoni ciężki karabin. Opór obrońców stawał się coraz słabszy.

Sierżant wytarł ręką krwawiącą wargę. Zdał sobie sprawę, że jego pluton nie da rady utrzymać placówki. Atakujące tłumy były zbyt liczne.

— Wycofujemy się do wnętrza browaru — krzyknął — po kolei, zaczynając od pierwszego z prawej. Reszta przez cały czas prowadzi ostrzał osłonowy.

Pierwszy żołnierz wyskoczył zza barykady i zgięty w pół ruszył w kierunku wejścia do budynku. Z tyłu, kilka metrów za nim, roztrzaskała się cegła. Kolejna przeleciała mu tuż obok głowy. W końcu jednak żołnierz schronił się w browarze. Wkrótce dołączył do niego następny.

Trzeci został trafiony w kark ciężkim, wymontowanym z samochodu gaźnikiem. Runął na ulicę jak postrzelony zając. Wreszcie znieruchomiał, nie wiadomo, czy nieprzytomny, czy martwy. Nikt mu nie przyszedł z pomocą.

Kolejnych dwóch dobiegło szczęśliwie do budynku. Na placu boju pozostał już tylko sierżant. Wyjrzał poprzez osłonę z karbowanego żelaza i dostrzegł kilkadziesiąt metrów przed sobą twarz jakiegoś człowieka. Wymierzył i błyskawicznie strzelił. Pocisk doszedł celu i mężczyzna upadł na ziemię. Nie było już czasu na oddanie kolejnej salwy. Sierżant wszedł z powrotem za barykadę, słysząc jedynie, jak kilkanaście kamieni uderzyło z hukiem o metalową płytę, za którą siedział.

Strzały dochodziły teraz z głównej bramy oraz z wychodzących na ulicę okien browaru. W zadymionym powietrzu jaśniały oślepiające błyski. Ludzie nie wychylali się teraz spoza samochodów; każdy, kto tylko próbował, padał trafiony kulą.

— Niech pan ucieka, sierżancie!

Przestraszony sierżant zawahał się przez moment. Pomyślał, że podobnie musiało być w okopach podczas pierwszej wojny światowej, z której nie wrócił jego dziadek. Przez kilkanaście sekund czekał w napięciu na odpowiednią chwilę. Teraz albo nigdy! Spojrzał za siebie: koledzy osłaniali go nieprzerwaną salwą ognia.

Wyszedł wreszcie zza barykady, i nie zważając na przeraźliwy ból w płucach począł biec w kierunku browaru. Było to jednak ponad jego siły, miał wrażenie, iż do nóg przywiązano mu ołowiane ciężary. Spocony, ciężko łapiąc powietrze, starał się dotrzeć przynajmniej do okalającego zakład żywoplotu.

Wtem rwący ból pomiędzy łopatkami omal go nie powalił. Zachwiał się, lecz odzyskał równowagę i siarczyście przeklinając biegł dalej pośród gradu padających dokoła kamieni.

W pewnej chwili karabin wyśliznął mu się z rąk. Mój Boże, pomyślał sierżant, zgubienie broni jest niewybaczalnym grzechem, nawet dla żołnierza z oddziałów ochotniczych.

Musiał odzyskać karabin. Cofnął się kilka metrów i pochylił, aby podnieść go z ziemi. Z obu stron dochodziły głosy krzyczących ludzi.

— Szybciej, sierżancie!

— Ten sukinsyn zgubił broń, trzeba to wykorzystać!

I wtedy stało się najgorsze. Sierżant spojrzął do tyłu i dostrzegł jakiś przedmiot, który ognistym łukiem przeciął zadymione powietrze. Wiedział, co to takiego: butelka z benzyną i dołączoną u szyjki płonąca szmatką. Rzucił się na ziemię i nakrył głowę rękami.

Butelka rozbiła się o parę metrów od niego. Pomimo że zamknął oczy, ujrzał pod powiekami jasnoczerwony błysk. Wszystko wokoło stanęło nagle w ogniu. On sam zaczął się palić. Usiłował poodpinać guziki płonącego munduru, nie był już jednak w stanie wykonywać skoor-



dynowanych ruchów. Począł tarzać się po ziemi, przeraźliwie krzycząc z bólu, nie widząc już nic i prawie nic nie słysząc. Jak poprzez mgłę doszedł jeszcze do niego tupot setek nóg. Tłumy desperacko ruszyły do przodu i nie zważając na ogień karabinowy biegly w półprzymotnym szale w kierunku browaru.

Jakiś człowiek upadł na niego. Sierżant krzyknął po raz ostatni i niezdarnie próbował zrzucić z siebie ciężkie bezwładne ciało. — Dwa trupy płonęły teraz na jednym pogrzebowym stosie.

Brama została zdobyta i bitwa przeniosła się na rozległe podwórko browaru. Żołnierze ukryli się za szeregiem aluminiowych beczek. Kilka uderzonych kamieniami pojemników zaczęło przeciekać; bursztynowy płyn trysnął na zewnątrz, pieniać się na betonie. Strumienie piwa rosły i tłum poczuł aromatyczną woń chmielu, najśłodszy zapach dla tych, którzy od kilku dni odczuwali nienasycone pragnienie.

Ludzie zachowywali się teraz jak bydło na pustyni, które nagle wyczuje bijące w oazie źródło. Przeklinając, nie zważając na czyjekolwiek bezpieczeństwo napierali do przodu. Rażeni kulami padali z jękiem na ziemię, lecz widok trupów nie mógł powstrzymać wzburzonej gromady.

Żołnierze zmuszeni byli wreszcie się poddać. Broń wyrwano im z rąk i natychmiast przeprowadzono egzekucję — jedni zostali rozstrzelani, pozostałych zatłuczono pięściami na śmierć.

Piwo lało się strumieniami z otworzonych gwałtownie pojemników; rozpoczęła się pijacka orgia. Zapomniawszy o całym świecie, zdobywcy browaru łykali trunki wprost z beczek, niektórzy pozanurzali usta w kałużach.

Podwórze zappełniło się wkrótce tłumami spragnionych ludzi. Wielu z nich weszło do wnętrza browaru. Jedni wynosili na zewnątrz całe kartony puszek, inni łapczywie o-

prózniali kolejne butelki. Kilku utopiło się w wielkich kadziach wypełnionych po brzegi gęstym zaczynem chmielu.

Z tego wszystkiego wybuchł nowy rodzaj szaleństwa: alkoholowe oszołomienie. Podpici ludzie wpadli w radosny nastrój, który zmieniał się stopniowo w stan bezgranicznej euforii. Rozpoczęto pijackie śpiewy. Do diabła z wodą! Po co pić wodę, skoro wokoło było tyle piwa? Po co opuszczać Birmingham?

Ci, co mieli nieco słabsze głowy, padali w zamroczeniu na ziemię, pogrążając się natychmiast w twardym alkoholowym śnie. Ze wszystkich stron dobiegało teraz głośne chrapanie.

Młody chłopak rozpoczął wielki finał chmielowego misterium. Pochylił się do przodu i konwulsyjnie charcząc obficie zwymiotował na podłogę. W normalnych warunkach najprawdopodobniej zakończyłby libację, lecz tym razem pragnienie wciąż nie dawało mu spokoju. Wyrwał tylko rękawem resztki wymiocin z ust i sięgnął po następną butelkę, wlewając sobie do gardła od razu całe pół litra brunatnego trunku.

Chciał odkapslować kolejną flaszkę, lecz otwieracz, który leżał przy nim jeszcze przed chwilą, nagle się gdzieś zapodział. Zabrali go trzej mężczyźni, którzy ze śmiechem prześcigali się w wypijaniu jak największej ilości piwa. Chłopiec bał się poprosić o zwrot otwieracza. Zdesperowany trzasnął szyjką butelki o krawędź metalowego pojemnika. Pijąc łączywie pokaleczył sobie usta, lecz to nie miało większego znaczenia.

Piąta butelka... znowu poczuł mdłości, lecz pragnienie paliło go mocniej niż kiedykolwiek.

Wtem coś usłyszał, jakąś znaną piosenkę, której tytułu nie mógł sobie przypomnieć. Śpiewał ją kilka lat temu w szkolnym chórze: „powstań, powstań, abys już nigdy...”, reszty słów nie pamiętał. Wszystko wokół niego wirowało:

skrzynie, pojemniki, ludzie... Zachichotał. Jakiś mężczyzna sikał prosto do jednej z beczek. To było takie zabawne!

Chłopiec uświadomił sobie, że jego własny pęcherz jest rozdęty jak balon.

— Chcę siku! siku! — krzyknął, lecz jego słowa utonęły w ogólnym zgiełku.

Ujrzał wtedy innych, którzy również oddawali mocz. Pewna kobieta przykucnęła w kącie i bezwstydnie załatwiała się na podłogę.

Chłopiec rozpiął spodnie i uczynił zadość swojej potrzebie. Ciepły, żółty płyn wytrysnął mu spomiędzy nogałek. Był zbyt pijany, aby kontrolować tę czynność, więc po chwili całe ubranie miał zalane uryną. Wspaniałe jest móc robić to, na co ma się ochotę! Nawet szkolny wychowawca nie mógłby go teraz powstrzymać.

Wtem zauważył, że ktoś go bacznie obserwuje — mężczyzna o ziemistej twarzy, ubrany w pogniecioną koszulę, która opadała mu luźno na spodnie. Wzrok tego człowieka był szklisty, zamglony, jakby półprzytomny.

— Czy mam cię zaprowadzić do toalety, synu? — spytał. Chwycił chłopca za rękę i przyciągnąwszy do siebie postawił go na równe nogi.

— Już się przecież załatwiłem, sam pan widział — odparł chłopiec.

Lecz mężczyzna zdawał się nie słuchać. Ścisnął go jeszcze mocniej i pociągnął poprzez tłum w kierunku ciemnego korytarza. Z początku chłopiec był nieco przestraszony, ale po chwili zaczął się śmiać. To przecież takie komiczne, pomyślał — w szkole zatrzymywano cię, gdy chciałeś iść się wysikać, a teraz, zmuszony przez jakiegoś podejrzanego typa, siedłeś do ubikacji, choć w ogóle nie było takiej potrzeby...

Chłopiec znowu poczuł lęk. Próbował się skupić, aby ogarnąć swoim zamroczonym umysłem tę przedziwną sy-

tuację, lecz w końcu dał za wygraną i po raz kolejny wybuchnął śmiechem.

Na korytarzu było zupełnie ciemno. Chłopiec dostrzegł jednak, że jego prześladowca łokciem trącił jakieś drzwi, a po chwili poczuł ostry zapach uryny i zimne kafelki pod stopami.

Zacharczał, gdy silne palce wtargnęły do jego gardła, dochodząc aż do tchawicy, blokując mu oddech. Przez moment był całkowicie zaskoczony, nie miał pojęcia, co się z nim dzieje — w uszach wibrował mu jedynie maniakalny śmiech szaleńca.

Gdy zdał sobie sprawę ze swego położenia, począł się szarpać i wymachiwać pięściami, nie był już jednak w stanie wyrwać się z morderczego uścisku. Słyszał jeszcze jakieś głosy, które dochodziły z oddali — stłumione jęki, śpiewy, chichoty... i ów straszny śmiech tuż obok, śmiech przemieszany z niewyraźnym, gardłowym bełkotem. Miał wrażenie, iż zapada się w czerwono-czarną otchłań...

Morderca zostawił uduszonego chłopca na zimnej podłodze i zapominając prawie natychmiast o swej zbrodni, rozgorączkowany wyskoczył na korytarz. W głowie pulsowała mu tylko jedna natrętna myśl.

Torując sobie drogę poprzez pijany tłum wrócił do magazynu i dopadł porzuconej skrzynki piwa. Sięgnął po jedną z butelek, odrąbał jej szyjkę i począł łapczywie pić. Gdy wreszcie częściowo zaspokoił pragnienie, przypomniał sobie o tym, co zrobił. Spazmatyczne łkanie wstrząsnęło całym jego ciałem. Chciał już jak najprędzej umrzeć.

Frank Gordon siedział w swoim małym ciemnym sklepiku i w skupieniu palił papierosa, wciągając głęboko aromatyczny, mocny dym.

Zbliżał się już do sześćdziesiątki. Chudy i wysoki, z mocno przerzedzonymi włosami, sprawiał wrażenie wymi-zerowanego. Pozostało mu już tylko kilkanaście zębów, z których połowa była całkowicie pożółkła od nikotyny. Rozdygotaną ręką podniósł papierosa do ust. Drżał częściowo ze strachu, a częściowo wskutek tego, że od lat cierpiał na różne dolegliwości nerwowe.

Urodził się i wychował w Birmingham. W młodości zdobył fach rusznikarza i pracował kolejno w trzech ciężących się światową sławą wytwórniach broni palnej, aż w końcu założył swój prywatny interes. Był jednym z ostatnich prawdziwych rzemieślników, jacy pozostali w mieście, nowoczesny przemysł wypierał bowiem z rynku wszystkich drobnych wytwórców.

Gordon uśmiechnął się smutno. Stare czasy bezpowrotnie minęły — zapachy smaru i lakierów, zagracone warsztaty — wszystko to na zawsze odeszło do lamusa wspomnień. Nowoczesne sklepy w centrum miasta nie posiadały już tej atmosfery — poczesne miejsce zajmowały w nich oszklone szafy wykonane z cienkiego, politurowanego drewna. W takich warunkach nie można było nawet rzetelnie zaprezentować asortymentu. Poza tym brakowało tam pomieszczeń przeznaczonych dla dokonywania drobnych napraw.

Niegdyś cechowy rusznikarz, sam usprawiedliwiał się przed nabywcami za sprzedaż tandetnego towaru. Teraz nikt nie ponosił odpowiedzialności za buble, wszystkiemu był winien bezosobowy moloch masowej produkcji. Następowała stopniowa degeneracja rzemieślniczych cnót.

Ą teraz jeszcze TO. Prawie wszystkie małe przedsiębiorstwa w Birmingham przestały istnieć, zrównane z ziemią tak gruntownie, jak wskutek nalatów podczas ostatniej wojny. Sklepy i warsztaty leżały w gruzach, rozkradziono towar, a klienci zginęli lub właśnie umierali. Powrót do normalności był już niemożliwy.

Frank Gordon miał jak dotąd szczęście. Jego sklep, broń i składy amunicji pozostały na razie nietknięte. Nie stały się łupem tłumów, nie doszły tu również płomienie. To jednak tylko kwestia czasu, zawyrokował Frank. Zastanawiał się jedynie, która z plag spadnie pierwsza.

Po kilkugodzinnej wewnętrznej walce podjął wreszcie trudną decyzję. Wypływała ona ze stanu kompletnej beznadziejności, będąc jednocześnie zakorzeniona w jego własnym kodeksie zasad moralnych.

W ręce szalonych tłumów wpaść przecież mogła najróżniejsza, złożona w jego magazynach broń: dubeltówki, sztucery, pistolety, amunicja wszelkiego kalibru, myśliwskie noże, kusze... o zgrozo!

Władze wydały wprawdzie nakaz obstawienia wojskiem wszystkich obiektów, których penetracja stanowiłaby szczególne zagrożenie dla miasta. Największy w Birmingham skład amunicji sportowej, znajdujący się na Witton Street był obecnie pilnie strzeżony przez doborowe oddziały komandosów, rebelianci nie mieli najmniejszych szans, aby się tam wedrzeć. Niestety, sklep Franka Gordona pozostał wskutek przeoczenia niezabezpieczony.

Frank potrząsnął głową. Władze uchwałyły podczas ostatniej dekady bardzo dużo aktów prawnych, regulujących kwestie posiadania i użycia broni, nie rozumiejąc oczywiście istoty problemu. Ostatnio na przykład dyskutowano projekt tak zwanej Zielonej Karty. Ktoś sądził, że należy wprowadzić przepisy ograniczające dystrybucję broni i amunicji, w uzasadnieniu podając, że to spowoduje spadek przestępczości.

Prawodawcy przyznali wreszcie, że proponowana ustawa uderzy jedynie w prawnie zarejestrowanych posiadaczy środków strzelniczych, a w żaden sposób nie powstrzyma nikogo przed popełnieniem zbrodni. Teraz zaś, w przeciwieństwie do wcześniejszych ustaleń, wydawano zezwole-

nie na broń każdemu, kto tylko złożył stosowny wniosek. Byle chłystek mógł kupić sobie rewolwer.

Lecz nikomu nie uda się przejąć arsenału Franka Gordona!

Stary rusznikarz raz jeszcze rozważył w myślach wszystkie pro i contra. Naprawdę, nie miał już po co żyć, nawet gdyby dostał gwarancję, że uda mu się przetrwać te straszliwe czasy. Nie posiadał rodziny ani przyjaciół. Wszystko, co było źródłem jego małych radości, przepadło. Stał w obliczu totalnego bankructwa, niczego już od nadchodzących lat nie mógł oczekiwać, może za wyjątkiem duchowej udręki... Otrzymałby zapewne skromną państwową emeryturę i do śmierci wspominałby dni dawnej prosperity, bez końca rozpamiętując straty.

Podjąwszy ostateczną decyzję, przeszedł na zaplecze sklepu. Nie musiał zapalać światła, aby orientować się w otoczeniu. Dziesięć lat spędzonych w tych czterech ścianach wystarczyło mu, aby na pamięć poznać wszystkie tujsze kąty i zakamarki.

Na stole leżał pęk kluczy. Gordon bez namysłu wybrał jeden z nich i wsadził w zamek ogromnej pancernej szafy. Odblokowane drzwi uchyliły się bezgłośnie, ukazując mroczne wnętrze sejfu.

Frank sięgnął na najwyższą półkę i zdjął z niej metalową puszkę. Pojemnik ten posiadał ozdobioną ornamentem etykietkę, na której wytłoczone było faksymile firmy znanej już przed stu laty w branży rusznikarskiej jako Curtis and Harvey'Company. Trochę niżej, pod inicjałami fabrykantów widniał napis: „czarny proch strzelniczy”.

Stary rusznikarz zawsze śmiał się w duchu z amatorów broni ładowanej przez łufę, lecz dzisiaj spojrzął na nich z nieco innej strony. Oni również byli zagubieni w nowym, dwudziestowiecznym świecie. Staromodny sport, dziwacznie skrojone uniformy — wszystko to pełniło dla nich rolę zaworu bezpieczeństwa. Ci ludzie byli najzupełniej nor-

malni, cechował ich jedynie nieszkodliwy ekscentryzm, pragnienie ucieczki w dawne, dobre czasy.

Frank otworzył puszkę i wysypał jej zawartość na stół, nasłuchując, jak małe granulki delikatnie uderzają o blat. Gdy pojemnik był już pusty, wyrzucił go do kosza na śmieci i sięgnął po następny. Używał wyłącznie puszek typu A-18, które utrzymywały proch w stanie absolutnej świeżości, dzięki czemu zapalał się on natychmiast po przyłożeniu ognia. Frank opróżnił aż dziesięć puszek — był to cały jego zapas — czarny kopczyk zarysował się pośród ciemności.

Postanowił nie zakładać lontu. Cóż znaczy kilka sekund wobec całej wieczności? Chciał odruchowo sięgnąć po zapalnik, lecz uśmiechnął się tylko i wsunął pudełko z powrotem do kieszeni. Nie potrzeba do tego zapalek. W ustach trzymał wciąż\* bowiem tłącego się jeszcze papierosa. Cóż za ironia losu! Przez kilkadziesiąt lat dawał swoim klientom zawsze tę samą, najważniejszą według niego radę: nie wolno palić podczas gdy puszka z prochem jest otwarta!

Frank znieruchomiał na chwilę, trzymając dopalającego się papierosa w odległości zaledwie kilku centymetrów od prochu. W słabym świetle widać było kontur usypanej przyzmy. Frank zastanawiał się czasem, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Natura nie obdarzyła go nazbyt refleksyjnym charakterem, toteż nigdy nie doszedł do żadnych interesujących konkluzji. Teraz, gdy jego koniec był już bliższy, kwestia ta nabrała ogromnego znaczenia.

Zaśmiał się ponownie, tym razem o wiele głośniej. Dlaczego ma zwlekać, skoro mógłby już za moment poznać całą prawdę?

Szybko przyłożył rozżarzoną końcówkę papierosa do prochu. Doskonały wyrób firmy Curtis and Harvey zapalił się w jednym momencie, wysadzając w powietrze całą zbrojownię starego rusznikarza. Potężny podmuch wypch-



nał przez frontową kratę dziesiątki drewnianych oraz metalowych części najróżniejszego rodzaju broni, a także ludzkie szczątki. Był to Frank Gordon, który wyruszył w podróż, aby dowiedzieć się, co takiego znajduje się poza grobem — fascynująca wyprawa w nieznane.

Ledwie tylko ucichł pogłos wybuchu, sklep stanął w płomieniach. Ogień rozprzestrzenił się z trzaskiem we wszystkich kierunkach, błyskawicznie zajmując sąsiednie budynki, jakby pragnął połączyć się z siłami wielkiej pożogi, pustoszącej New Street zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej.

## Rozdział XII

Premier przemówił tej nocy raz jeszcze, na wszystkich kanałach telewizyjnych i stacjach radiowych. Wystąpienie było retransmitowane w większości krajów świata i ci, którzy je oglądali, nie mogli nie zauważyć pogłębionych zmarszczek na twarzy premiera i wyrazu śmiertelnej powagi, której niczym nie był w stanie zamaskować. Emanowało z niego wyczerpanie, toteż w przemówieniach zdarzały się często pauzy.

Nie miał dobrych wieści. Nawet promyk nadziei nie przebił ciemności, które spowiły Birmingham. Problem tak już nabrzmiał, że nie widziano sposobu na jego rozwiązanie.

„Parlament wystosował pewne pytania i moim obowiązkiem jest dać odpowiedź całemu światu. Po pierwsze, pytano dlaczego dopływ wody do mieszkań w Birmingham nie został odcięty, zanim trucizna znalazła się w kranach? Po prostu — posunięcie takie spowodowałoby sytuację niewiele różniącą się od obecnej. W wyniku pozbawienia ludzi wody, w mieście wybuchłyby zamieszki. Nie byliśmy także pewni co do trucizny. Prawdopodobieństwo, że dotrze ona do ludności było znikome. Ryzykowaliśmy... i ponieśliśmy porażkę.

Co zrobiono, aby pomóc mieszkańcom?

Wszystko, co możliwe. Niestety, pożary i bunty utrudniały nasze akcje. Komunikacja została sparaliżowana. Zapytano mnie, dlaczego do walki z płomieniami nie wysłano helikopterów? No cóż, byłoby to podobne do próby ugaszenia płonącego budynku przy pomocy ogrodniczego węża.

Dlaczego miasto otoczono kordonami?

Zostałem oskarżony o skazanie obywateli Birmingham na śmierć. Mówię wam tu i teraz, że gdybyśmy zezwolili tym rozszalałym tłumom przeniknąć do innych miast, przemoc rozszerzyłaby tylko pole działania. Pociągnęłoby to za sobą upadek prawa i porządku na skalę całego państwa. Musieliśmy ograniczyć apokalipsę do obszaru, nad którym możemy zapanować.

Kiedy nastąpi koniec terronu w mieście?

Niestety, nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Nikt z nas tego nie wie. Jeżeli tylko znajdziemy sposób na przetransportowanie do miasta nieskażonej wody, zamieszki ucichną i wojsko zostanie wycofane.

Na koniec chciałbym wyjaśnić, że nie zamierzam podawać się do dymisji, jak to insynuowały niektóre gazety. Takie posunięcie stanowiłoby zdradę wobec mojej partii oraz wobec mieszkańców Birmingham. Będę walczył do końca. Błagam jednak was wszystkich, abyście nie podchodzili do kordonów. Tłumy gapiów utrudniają pracę policji i siłom porządkowym. Trzymajcie się z dala, zapewniam, że nie ma tam nic do obejrzenia”.

Następny artykuł ukazał się w „Timesie” dnia 19 listopada 19 ...

„Wydaje się, że rząd stosuje politykę laissez — faire co do katastrofy w Birmingham. Każdy dzień przynosi nowe okropności i w zasadzie nikt nie zna pełnego obrazu wydarzeń. Nisko latające samoloty i helikoptery nie są w stanie ustalić zasięgu pożaru z powodu dymu ograniczającego widoczność.

Siły zbrojne dostarczyły raportów o ohydnych zbrodniach dokonanych w mieście. Wielu z żołnierzy to ochotnicy, którzy przeszli jedynie podstawowe szkolenie lub nawet nie odbyli go w ogóle. Jest jasne, że sytuacja bezнадziejnie wymyka się spod kontroli.

Niemożliwością jest nawet ustalenie liczby ofiar. Z pewnością w grę wchodzi tysiące, powstaje więc automatycznie niebezpieczeństwo zarazy, którą mogą wywołać rozkładające się zwłoki.

Coś wreszcie należy zrobić.

Połączmy wysiłki, aby doprowadzić do ewakuacji tych, którzy przeżyli, gdyż do tej pory nikt nie poczynił w tym kierunku żadnych kroków. Rząd nalega, aby izolować Birmingham i jest bardziej zainteresowany tym, aby nikt stamtąd nie uciekł, niż udzieleniem pomocy cierpiącym. Założono wprawdzie fundację pomocy miastu, lecz aż po dzień dzisiejszy nie jest jasne, jak skorzystać z wkładów.

Rada Ministrów zwołała jeszcze jedno nadzwyczajne posiedzenie, nie otrzymaliśmy jednak, jak dotąd, żadnych wiadomości o oficjalnym stanowisku Rady wobec zaistniałej sytuacji”.

Następna transmisja telewizyjna była prowadzona przez przywódcę opozycji.

„Możemy jedynie spekulować, co do skutków tej okropnej katastrofy, lecz najbardziej przerażająca ze wszystkiego jest nieudolność i bezmyślność, jaką popisał się rząd. Życie ludzi należy ratować, a nie poświęcać, tak jak to się dzieje obecnie. Siły zbrojne krążą po mieście i jak wykazały raporty — przejawiają wrogość nie tylko w stosunku do rabusiów i grabieżców, lecz również wobec zwykłych obywateli.

Po pierwsze: należy powstrzymać zabijanie!

Po drugie: ugasić pożary!

Wtedy możemy zacząć porządkować obecny chaos, uczynić pierwszy krok w kierunku normalności“.

Wszyscy wiedzieli, CO należy robić, lecz nikt nie wiedział JAK.

## Rozdział XIII

Chmury popiołu i ceglanego dymu wirowały w powietrzu, jak na pustyni podczas piaskowej burzy. Ludzie szwendali się wokół bez celu. Ciała leżały na bruku. Zawodzenie rannych słychać było we wszystkich dzielnicach — dręczone dusze w dziewiątym kręgu piekieł. New Street, główna arteria Birmingham przedstawiała obraz kompletnego zniszczenia. Nawet nieprzyjacielskie bombardowania podczas drugiej wojny światowej nie były w stanie dokonać takich spustoszeń.

Tłum, który zebrał się, aby oglądać dantejskie sceny, zniknął pod płonącą lawiną gruzów biurowca. Pozostali jedynie zabici i konający. Czworu innych ludzi: dwóch mężczyzn, dziewczyna i chłopiec stanęli u stóp rumowiska z zawiązanymi na twarzach chustami.

— Tak, to tutaj — powiedział Ron z nutą rezygnacji w głosie. — Zajął nam dwa dni, aby tu dotrzeć i kiedy jesteśmy już na miejscu, okazuje się, że podjęliśmy naszą wyprawę na próżno. Siedziba Komitetu Ocalenia Miasta leży w gruzach.

— To był zaszary pomysł, żeby tu przychodzić — mruknął Cummins, ściskając rewolwer pod swoim obszernym swetrem. — Nie możemy stać na tym rumowisku, bo wkrótce się udusimy.

— To prawda — zgodził się Blythe. — Najlepiej, jeżeli już teraz zaczniemy ostrożny odwrót do miejsca, z którego wyruszyliśmy.

— Na miłość boską! — warknął Cummins. — Nie będziemy chyba krążyć tak w kółko?

— Pójdziemy na północ. To nasza jedyna szansa. Je-

steśmy około pięciu kilometrów od najbliższych zasieków. Jeśli byśmy poszli na południe, czekałby nas dziewięcio-, dziesięciokilometrowy marsz. Poza tym, większość ludzi podąży na południe.

— Nigdy nie przeskoczmy oddziałów. Sam to powiedziałaś. Co więc, do diabła, zrobimy, kiedy dotrzemy do strażnicy?

— Wymyślę coś — powiedział Blythe ruszając z miejsca. — Przede wszystkim musimy wydostać się z centrum, a następnie znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy przemocować. Wokoło pełno jest opuszczonych mieszkań i w końcu natrafimy na takie, gdzie zbiornik z ciepłą wodą pozostał nietknięty. Liczyć jednak na to, że ktoś pozostał żywność byłoby z naszej strony zuchwałstwem. Miasto zostało dokładnie splądrowane, zadowolimy się zatem schronieniem i wodą, a jutro spróbujemy szukać szczęścia przy zasiekach.

Poruszali się ostrożnie wśród gruzów. Blythe prowadził, Carol tuż za nim, trzymając Paula za rękę, a Mike Cummins zamykał pochód. Morderca był wciąż czujny i jak bestia w dżungli śledził każdy ruch, który mógłby zdradzić, że chcą mu uciec.

Dzień miał się ku końcowi, gdy przecięli Colmore Circus i zeszli w dół ulicą Shadwell. Niebo pociemniało powyżej purpurowo zabarwionych chmur — czerwony odblask pożarów na złowieszczym tle.

Przeszli przez kolejne obszary zniszczenia. Kiedyś był tu parking samochodowy. Pojazdy pozostały, lecz większość z nich służyła teraz bezdomnym za kwatery. Panowała tu cisza jak w osiedlu domków wczasowych, gdzie żadna rozmowa nie zdradza obecności ludzi. Z wnętrz samochodów dochodziły jedynie stłumione jęki. Ofiary zatruć pozostawiono ich własnemu losowi. Umierały samotnie, nikt się nimi nie opiekował. Egoizm i walka o byt były na porządku dziennym.

Wtem coś zabłysnęło czernią kilka metrów poniżej: woda — brudna i odpychająca. Na jej powierzchni pływały śmieci.

— To jest droga, którą pójdziemy — rzekł Blythe. — No, powiedzmy, że można nazwać to drogą. Idąc wzdłuż kanału pokonamy znacznie większy dystans, niż poruszając się ulicami.

Sprawiło im to jednak więcej trudności niż oczekiwali. Miejscami pionowe, ceglane ściany schodziły wprost do lustra wody i musieli wtedy sporo kluczyć, zanim znów dotarli do wąskiej ścieżki prowadzącej wzdłuż nabrzeża.

— Gdybyśmy tylko mieli łódź — zamruczał do siebie Blythe. — Choćby jakąś barkę w opłakanym stanie. Śluzę obsłużylibyśmy sami.

— Bez wątplenia inni też o tym pomyśleli — zauważyła smutno Carol. — A to wciąż nie rozwiązuje naszego problemu, jak przedostać się przez kordony wojska.

— Chyba lepiej będzie, jeśli poszukamy miejsca, w którym bezpiecznie spędzimy noc. — Ron znowu przystanął. Wąska ścieżka zniknęła na dobre.

— Spójrzcie na te budynki. Wyglądają na magazyny. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, więc lepiej jeśli do nich zajrzemy.

Weszli na niski mur i opuścili się po jego drugiej stronie. Była tu prawdopodobnie baza przeładunkowa. W jej odległym końcu stał rząd ciężarówek. Ich otwarte drzwi wisiały na zawiasach, niektóre zostały nawet wyrwane. Musieli już tedy przechodzić lupieżcy.

Wrota prowadziły z podwórza do wielkiego budynku. Wszystkie zostały wcześniej wyważone. Blythe wszedł do środka i zapalił zapałkę: farba, tysiące litrów minii podkładowej i olejnej. Całkowicie nietknięte. Okazały się bezużyteczne dla oszalałych z pragnienia tłumów.

— Możliwe, że jest gdzieś tutaj stróżówka — powiedział niepewnym głosem Blythe. — Poszukajmy.

Przeszli z jednej hali do drugiej. Wszędzie panowały ciemności, gdyż nie było tu żadnych okien, które wpuściłyby lunę nocy do środka. Blythe miał jeszcze kilka zapalek. Postanowił używać ich oszczędnie, pokonując resztę drogi po omacku, z rozpostartymi rękoma. Potknął się o małą drewnianą paletę. Zaklął i podniósł się.

— **Tracimy czas — Cummins wyłonił się z ciemności tuż obok — poszukajmy drogi powrotnej.**

— Słuchajcie — szepnęła Carol — coś usłyszałam, coś naprzeciwko nas.

Stali wsłuchani w ciszę i wtedy usłyszeli: seria niskich pomruków, jęków agonii, potem świszczący oddech i bulgotanie flegmy w gardle człowieka.

— Chodźmy — rzekł Blythe i zapalił kolejną z pozostałych zapalek, postępując natychmiast do przodu.

Kilka metrów dalej znaleźli to, czego szukali — rozebraną częściowo stróżówkę. Zapalka zgasła, więc zapachł następną. W jej świetle zobaczyli mężczyznę zwałonego naprzeciw pustej palety. Jego głowa zwieszona była na klatkę piersiową, obok leżała duża, nieużywana jeszcze pochodnia.

Blythe wziął ją do ręki i podpał. Potężny, biały płomień rozświetlił pomieszczenie.

— W końcu mamy światło! Teraz możemy przyjrzeć się naszemu przyjacielowi. — Uniósł pochodnię nad leżącym człowiekiem.

Tamten poruszył głową i spojrzął do góry. Wiecheć brudnych, szarych włosów opadł mu na ramiona. Dolną część twarzy pokrywała splątana, niechlujna broda. Otworzył usta, ukazując łezczebne dziąsła i wlepił w nich przerażony wzrok. Wątle ciało owinięte było w porwane łachmany, które wydzyślały ostry zapach uryny i stęchlą woń potu.

— Stróż — stwierdziła Carol.



— Bardzo w to wątpię — Blythe przykląkł, dokładnie przyglądając się postaci.

Bardziej prawdopodobne, że to włóczęga, który zawędrował aż tutaj.

Człowiek jęknął ponownie.

— Jest zatruty — zauważył Cummins — ma wrzody na całej twarzy. Blythe podszedł do włóczęgi na odległość około metra.

— To nie są wrzody, raczej plamy. A z całą pewnością nie wrzody, będące objawem zatrucia.

— Wody — szepnął leżący. — Na zewnątrz. Pełno. W rynnice...

— W rynnice? — Carol spojrzała pytająco na Rona.

“ To w slangu oznacza kanał — oświetlił raz jeszcze pochodnią twarz starca, którego źrenice rozszerzyły się pod wpływem oślepiającego blasku.

— Więc pił wodę z kanału. Zastanawiam się czy...

— Czy co?

— Spływajmy stąd jak najszybciej — powiedział Blythe, wstał i pchnął ich w kierunku wyjścia.

— Dlaczego nas tak popędzasz?

— Nie dałbym głowy — twarz Blythe'a była blada. — Może jestem w błędzie... lecz...

— Lecz co?

— Ta sarta żywych śmieci miała wszystkie objawy... tyfusu.

— O, Chryste Panie! — krzyknął Cummins. — Chyba nie mówisz poważnie?

— No cóż, mogę się mylić. Lecz na tyfus można zachorować pijąc zatęchłą wodę. Wszędzie gniją ludzkie ciała, prawdopodobieństwo wybuchu epidemii jest więc bardzo duże. Bez wątpienia zwłoki rozkładają się także w kanale.

Odnaleźli drogę na podwórze. Nawet zadymione powietrze wydawało im się świeże po ostatnim odkryciu.

— Poszukajmy jakiegoś porzuconego domu — Blythe pomógł Carol i Paulowi przejść przez niski mur.

Około stu metrów od magazynu farb natrafili na opuszczony piętrowy budynek. W kilku oknach po przeciwnej stronie ulicy paliły się światelka, zdradzając miejsca pobytu tych, co przeżyli — teraz spędzają wieczór przy lampie naftowej czy świeczce.

— Ten błędzie w sam raz — powiedział Blythe, naciśkając klamkę. Drzwi nie były zamknięte. — Najpierw jednak dokładnie sprawdzimy to miejsce. Nie chcemy przecież spędzić nocy w towarzystwie jakichś nowych potworności.

Przeszukawszy dom stwierdzili, że jest pusty. Nie znaleźli w nim żywej duszy.

— Zamknijemy drzwi — powiedział Blythe z pewną ulgą, kiedy zobaczył, że klucz tkwi w zamku po wewnętrznej stronie. — Nie będziemy musieli obawiać się nieproszonych gości.

Na piętrze stały dwa łóżka: jedno podwójne staroświeckie w sypialni i drugie turystyczne w pokoju obok.

Cummins wydobył zza pasa rewolwer i obracał nim nonszalancko.

— Dziewczyna i ja bierzemy to podwójne — powiedział. — Ty śpisz na turystycznym, Blythe. Dzieciak niech z kim ma ochotę.

— Wolałabym spać na podłodze — głos Carol był wrogi.

— Uważaj, sikso! — Cummins brutalnie przycisnął ją do siebie. — Zapominasz, że nie masz wyboru. Nic ci się nie sianie. Gdybym chciał cię przelecieć, zrobiłbym to dużo wcześniej. Teraz jednak mam ważniejsze sprawy na dowie: na przykład jak wyrwać się z tego piekła. Obecnie, kiedy nie mamy już szansy, aby komitet wysłał nas na drugą stronę, tkwimy wszyscy aż po uszy w tym gównie. Więc jeśli Blythe wpadłby na pomysł, aby się z tego

wydostać na własną rękę, musiałby ciebie tutaj zostawić. A wtedy wiesz, co bym z tobą zrobił... Dlatego sądzę, że będzie spał spokojnie.

— Mamy więcej szans razem niż w pojedynkę, Cummins — powiedział Blythe. — Uczyń tak, jak on chce, Carol. Lecz ostrzegam cię, Mike, żadnych figlów, bo zabiję cię, nawet gdybyś miał karabin maszynowy. Idę teraz sprawdzić, czy na dole jest ciepła woda. Może będziemy mieli szczęście.

Z kranu poleciało jakieś półtora litra letniej wody, zanim rury zabulgotały i umilkły ostatecznie.

— Chyba się nie zatrujemy? — Ron napełnił cztery wyszczerbione kubki. Spróbował. — Gorsza niż stare piwo.

Pół godziny później leżeli już w łóżkach. Paul zadecydował, że będzie dzielić posłanie z Blythem. Czuł się w ten sposób bardziej bezpieczny. Chłopak tak bał się Cumminsa, że sama myśl o pozostaniu ze zbiegiem w ciemnym pomieszczeniu przyprawiała go o gęsią skórkę. Blythe objął sierotę swym ramieniem, pragnąc dodać mu otuchy. Paul łagodnie zapadał w sen. Był głodny, a także zrozpaczony z powodu śmierci swojej matki. Podobnie zresztą jak tysiące innych dzieci w mieście.

Blythe wzdrygnął się i obudził. Pomarańczowa luna pożarów nie zabarwiała już ścian pokoju. Ujrzał za to mroczną szarość — substytut dziennego światła — przenikającą przez okno. W okamgnieniu zrozumiał, że zaspał i dzień jest już w pełni.

Wstał z łóżka, uważając, aby nie obudzić Paula. Chłopiec powinien spać tak długo, jak na to ma ochotę.

Cummins i Carol byli już w kuchni. Ron przyszedł do nich i usiadł na stole. Coś przeżuwali, mimo że nie zauważył śladu jedzenia.

— Weź sobie jedną — powiedział Cummins i rzucił

na stół srebrną paczuszkę. — Guma do żucia. Znalazłem paczkę w sypialni. Została jeszcze jedna dla dziecka.

Blythe zaczął zawzięcie żuć, aż poczuł, że jego ślinianki odżyły pod wpływem soku z mięty.

— To pomaga — uśmiechnął się. — Przypuszczalnie wszystkie automaty z gumą do żucia zostały już w mieście rozbite.

— Znalazłem coś jeszcze — Cummins przymrużył oczy, sięgając ręką pod krzesło i podniósł z podłogi małą siekierkę. — Na zewnątrz, w budzie z węglem.

— Siekiera! — Blythe zblił. Przypomniał sobie szczegóły potwornych zbrodni. — Czy rewolwer ci nie wystarcza, Cummins?

— Siekiera jest lepsza — kryminalista uśmiechnął się miękko — znacznie lepsza. Więc baczniej zwracajcie uwagę na swoje zachowanie.

W drzwiach pojawił się Paul, przecierając zaspane oczy. Kiedy ich ujrzał, jego twarz rozjaśnił wyraz ulgi.

— Myślałem, że was już nie ma. — Podbiegł do Carol i zarzucił jej ręce na szyję.

— Nie bój się, nie zostaniesz sam — pocałowała go na pocieszenie. Spójrz, mamy dla ciebie gumę do żucia.

— No dobra, zbierajmy się stąd. — Cummins wstał i włożył rewolwer wraz z siekierką za pas spodni, ściągnawszy w dół sweter, aby ukryć swój arsenał.

— Wrócimy do kanału — powiedział Blythe. — Będziemy szli wzdłuż niego tak długo, jak to możliwe. Jeśli nie spotkają nas żadne przykre niespodzianki, w kilka godzin dotrzemy do zasieków.

— I co wtedy?

— Wówczas coś wymyślimy.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Wyszli w milczeniu i w ciągu dziesięciu minut osiągnęli dróżkę biegnącą przy kanale.

Ze wszystkich stron dał się słyszeć jazgot karabinów

maszynowych. Bitwa o Birmingham — policja kontra przestępcy — wrzała. Gdzieś na górze, na drugim planie przybierał na sile jakiś huk — głuchy, nieustanny warkot.

— Co to za hałas? — zapytała Carol.

Stanęli nasłuchując. Głośniejsze, coraz głośniejsze — coś wiało teraz wprost nad ich głowami, zagłuszając nawet wystrzały. Wytężyli wzrok, lecz kurtyna dymu była zbyt gruba. Widoczność nie przekraczała dwudziestu metrów.

— Helikoptery! — Blythe musiał krzyknąć, aby go usłyszeli. — Tuziny helikopterów.

— Po diabła tu przyleciały? — odezwał się w Cumminsie instynkt ściganego przestępcy. Wyciągnął do połowy rewolwer, a jego usta wykrzywił grymas wściekłości.

— Mogą mieć tysiące powodów.

Na krótko ujrzeli kontur helikoptera. Później jeszcze coś: podobne do grzyba — opadało leniwie, dryfując w powietrzu po ich lewej stronie.

— Spadochrony — rzekł Blythe. — Coś zrzucają.

Jakiś podłużny pojemnik podwieszony był do czaszy.

Najprawdopodobniej woda!

— Podejźmy tam i sprawdźmy. — Cummins wepchnął rewolwer za pas.

— Nie bądź głupcem — wrzasnęła Blythe. — Nie możemy stracić całego dnia na poszukiwanie zbiornika wody. Większość pojemników spuszcza ją wokół centrum, aby zająć czymś ludzi, powstrzymać ich marsz ku zasiekom. My mamy wiele ważniejszych spraw na głowie, Cummins.

Morderca chcąc nie chcąc podążył za nimi wzdłuż wąskiej nitki stojącej wody.

Posunęli się do przodu może dwa kilometry, kiedy po raz kolejny usłyszeli trzask płomieni i przez gęste opary ujrzeli skaczące na wysokość piętnastu, dwudziestu metrów języki ognia.

— I co teraz? — Cummins chwycił za ramię Carol i

przyciągnął ją do siebie. - Wygląda tak, jakby ten cholerny kanał płonął.

Blythe podszedł jeszcze kilka kroków do przodu i wtedy zrozumiał, co naprawdę płonęło.

— Łodzie! — syknął. Mój Boże, spójrzcie na to! Cała flota związanych ze sobą szalup i barek. Jest ich co najmniej ze dwadzieścia.

— Oddalcie się stąd! — Jakaś postać wyłoniła się z dymów i ruszyła w ich kierunku. Żołnierz trzymał na wysokości biodra karabin, celując lufą prosto w nich. Był bardzo młody i miał na sobie zielono-brązowy mundur. Jego twarz wyrażała zawziętość i nienawiść.

— Splywajcie, sukinsyny, zanim was sprzątnę. Nikt tędy jeszcze nie przeszedł. Jeśli natomiast chcieliście drogą wodną przedostać się do zasieków, to łodzie już nie istnieją. Jestem osobą najlepiej o tym poinformowaną.

To była prawda. W przeciągu godziny wszystkie łódki zamieniają się w pływający grubą warstwą na wodzie popiół.

Blythe wycofywał się Powoli. Każdy gwałtowny ruch byłby jego ostatnim. Umundurowany młodzieniec trzymał palec na spuście, wyczekując byle jakiego pretekstu, aby całą ich czwórkę zamienić w trociny. W pobliżu nie było innych żołnierzy. Prawdopodobnie pozostawili go, aby doglądał pożaru.

— Szybciej! Nie będę czekał cały dzień.

Nagle Mike Cummins wykonał ruch. Blythe poczuł pęd powietrza tuż obok swej głowy i wtedy coś silnie uderzyło w czoło człowieka, który trzymał ich na muszce. Ostrze siekiery utkwilo w jego czaszce. Karabin wpadł z pluskiem do wody i zniknął w głębinie.

Ciało Powoli osunęło się na ziemię.

Paul wybuchnął płaczem.

— Ucisz tego zasańca — warknął Cummins i kiedy Carol przytuliła chłopca do siebie, klęknął obok ciała.

Kość trzasnęła i pękła, kiedy Mike wyciągał siekiere. Po chwili pospiesznie wytarł stał o ziemię.

— Lepiej zwiewajmy stąd — powiedział Blythe. — Jeśli wpadniemy im w ręce postawią nas pod ścianą.

— Najprawdopodobniej w promieniu czterystu metrów nie ma żadnego żołnierza — stwierdził Cummins. — Zostawili tego dzieciaka, aby pilnował ogniska.

Blythe stał niezdecydowany. Iść naprzód, czy zawrócić? Niebezpieczeństwo nagłej i nieoczekiwanej śmierci istnieje tu i tam.

— Idziemy wzdłuż kanału — zdecydował — lecz w pewnym oddaleniu od wody. Nabrzeże może być obstawione.

Nikt nie kwestionował jego decyzji. Coś jednak go niepokoiło. Nie potrafił uzmysłwić sobie przyczyny — coś było nie tak, sprzeciwiało się zdrowemu rozsądkowi. Gdzieś w ukrytym zakamarku jego mózgu dźwięczał ostrzegawczy dzwonek. Kiedy weszli na oddalony od kanału trawiasty wał, już wiedział. Odwrócił się na pięcie i wskazał ręką w kierunku płomieni.

— Patrzcie! — Nie mógł ukryć swego podekscytowania. — Patrzcie na kanał. Łodzie płoną, ale kanał nie.

— Pacan z ciebie — odparł Cummins. — Kanał nie może płonąć.

— Lecz woda z domieszką trucizny płonie. — Ron popadł w euforię. — To znaczy, że w kanale nie ma trucizny!

— A spodziewałeś się, że jest?

— Oczywiście, że nie. Ale coś przyszło mi do głowy. Woda w kanale stoi i śmierdzi. Pełno w niej ciał i bakterii tyfusu.

— Więc jest zupełnie nieprzydatna.

— Ale może być!

— Niby w jaki sposób?

— Wodę należy wypompować i użyć do gaszenia poza-

rów. Jeśliby zrzucono więcej zbiorników na spadochronach... położenie kresu katastrofie jest bardzo bliskie! Jednak władze z całą pewnością nie wpadną na to i dlatego sami ich o tym poinformujemy. Musimy jak najszybciej wydstać się z Birmingham. Tutaj nikt nas nie będzie słuchał.

Małe spadochrony opadały na centrum z czarnego, zadymionego nieba. Niektóre zaczepiały się o dachy budynków i wisały tak, nieosiągalne dla tłumów. Inne z kolei zbaczały wprost w płomienie, znikając w nich na zawsze.

Ludzie wypełzli ze swoich kryjówek. Wiele z dziesięciolitrowych pojemników zostało zniszczonych w czasie zażartych bójek.

Zamieszki, które po pewnym czasie ucichły, teraz znów wybuchły z niespotykaną siłą. Służby porządkowe pozostały na uboczu, obserwując jedynie rozruchany żywioł. Nie widziano powodu do interwencji, przynajmniej tak długo, dopóki ciżba nie będzie próbowała zdobyć szturmem zasieków. Niech się tłuką między sobą, jeśli mają na to ochotę.

Jeszcze jedno zagrożenie zawisło nad dotkniętym kłęską miastem. Dymna mgła, spowijająca centrum Birmingham była już na tyle gęsta, iż należało oczekiwać, że zbrodnicze działania nie będą się ograniczać do godzin nocnych.

Dwóch mężczyzn weszło na Corporation Square, przecinając straszliwe ruiny New Street. Drelichowe kurtki, stosowne do nich spodnie, wszystko zmięte i niechlujne — lecz czy można było w tych ciężkich czasach wymagać czegoś więcej? Ich oczy ukradkiem poszukiwały choćby cienia występku. Gdy tylko ich dostrzeżono, walki na ulicach ustały. Ochotnicy mieli reputację daleko bardziej bezwzględnych od regularnych żołnierzy. Lepiej ich nie prowokować, oddalić się jak najprędzej.



Na końcu New Street wznosiła się potężna Rotunda — okrągła wieża biurowca, który ocalał od ognia — o-smalona dymem, z wybitymi tu i ówdzie szybami stała dumna i wyniosła. Kiedyś, parę lat temu bomba terrorystów eksplodowała u jej podstawy. Zniszczenia były nieznaczące. Teraz robiła niesamowite wrażenie — olbrzym pośród ruin.

Jakieś dzieciaki węszały się koło budynku. Na widok żołnierzy natychmiast zniknęły. Mężczyźni założyli karabiny na ramiona, zlustrowali okolicę, lecz nikogo nie było w zasięgu wzroku.

Pracowali szybko. Z brezentowego plecaka wyciągnęli kwadratowy przedmiot — czarne pudełko, z którego wystawało pełno kabli. Kilka sekund później ochotnicy wrócili drogą, którą przybyli. Wydłużyli krok, a kiedy weszli w Union Street, zaczęli biec. Twarze ich wyrażały jedynie strach — strach, że mogliby nie zdążyć odbiec wystarczająco daleko.

Zegarowe zapalniki sporządzone z mechanizmu budzika czasem zawodziły. Ciężko dyszeli z wysiłku i odetchnęli z ulgą dopiero, gdy wpadli na Martineau Square. Straszliwa detonacja wstrząsnęła całym centrum miasta.

Rotunda zadrżała w posadach i majestatycznie zwała się na ziemię.

Tego wieczoru premier wystąpił w telewizji po raz pierwszy od zwołania nadzwyczajnego posiedzenia gabinetu. Zmarszczki na jego twarzy wyraźnie się pogłębiły a siwijące włosy nie były, jak zwykle, elegancko zaczesane.

— Jestem przekonany, że uczyniliśmy postępy w naszych wysiłkach ratowania mieszkańców Birmingham... — jego głos był mało przekonujący. Premier co chwilę zaglądał do notatek, robiąc wrażenie osoby głęboko wstrząśniętej, która z trudem usiłuje zachować twarz twardego człowieka. — Obecnie dokonujemy zrzutów wody pitnej

we wszystkich częściach miasta i będziemy je kontynuować, aż wszyscy zostaną zaspokojeni. Naszym następnym zadaniem będzie uczynić przejezdnymi drogi i linie kolejowe, aby karetki pogotowia i pociągi straży pożarnej mogły swobodnie kursować, wywożąc rannych i prowadząc walkę z ogniem. Należy spodziewać się, że w przeciągu tygodnia zdołamy przynajmniej częściowo przywrócić porządek.

Jednakże, jak nam doniesiono, pewne terrorystyczne ugrupowania wykorzystują sytuację dla swoich niecznych celów. Kwatera naszego Komitetu Ocalenia Miasta spłonęła. Istnieje podejrzenie, że rozmyślnie użyto do tego celu bomb zapalających. Z kolei dzisiaj w południe został zniszczony przez potężny wybuch budynek Rotundy. Na szczęście nie było ofiar w ludziach.

Te ekstremistyczne grupy przeniknęły do oddziałów ochotniczych. Praktycznie nie ma możliwości sprawdzenia każdego z żołnierzy, działających w strefie zagrożenia. Zarówno mundury jak i, niestety, broń można obecnie zbyt łatwo zdobyć.

Tak więc dla dobra publicznego nie pozostaje mi nic innego, jak zarządzić wycofanie wszystkich ochotników poza kordony. Od godziny dwudziestej czwartej ktokolwiek będzie nosił mundur w granicach miasta, zostanie aresztowany. W strefie katastrofy służbę pełnić będzie jedynie regularne wojsko i policja.

A oto moje przesłanie dla ludzi z Birmingham: zostańcie w swoich domach, jeśli są one całe. Jeśli zaś zostały zniszczone, zamieszkajcie u krewnych, przyjaciół, sąsiadów. Dzielcie się wodą pitną, którą dla was zrzucamy.

Nie utrudniajcie pracy wojsku i policji, które będą działały w pobliżu. Ich obowiązkiem jest utrzymać porządek i stać na straży prawa. Zachowajcie cierpliwość. Pomozemy wam tak szybko, jak to tylko możliwe.

## Rozdział XIV

Tłumy, które plądrowały i mordowały, kiedy w supermarketach i barach była jeszcze żywność i picie, teraz toczyły ze sobą regularne walki na ulicach. Tym razem nagrodą nie miało być piwo czy napoje, lecz duże, plastikowe kontenery czystej wody.

Nowa broń dawała o sobie znać. Cichy i zabójczy dysk śmierci zbierał obfite żniwo. Wykonany z solidnej stali, w przybliżeniu wielkości singla, nie miał więcej niż dziesięć centymetrów średnicy. Za pomocą tokarki nadał mu ostrość brzytwy. Był łatwy do ukrycia. Bezbłędny w zadawaniu śmierci, wyrządzał swym ofiarom szkaradne rany. Jeśli cisnęło się nim poziomo, można było człowieka skrócić o głowę. Użyty zaś pionowo rozłupywał czaszkę na dwie połówki.

Wymyślili go piłkarscy chuligani i pierwszy raz zrobili zeń użytek na meczu pomiędzy Wolverhampton Wanderers a Manchester United, tylko parę kilometrów od miejsc obecných potyczek. Swego czasu broni tej poświęcono pewną ilość artykułów w codziennej prasie i odtąd nikt jej więcej nie widział. Aż do teraz!

— Coś się stało — powiedział Ron Blythe, kiedy wyrzwał przez stłuczone okno na piętrze pustego budynku rady miejskiej.

— Zawsze coś się dzieje. — Cummins stanął tuż obok niego i patrzył na spowity w dymach zmierzch.

Grupy wyrostków obrzucały się wyzwiskami z dwóch końców ulicy. Zanosilo się na burdę, lecz chłopaki porzestali na pokazaniu sobie znaków w kształcie litery „V” i niustannych sprośnych śpiewach.

— Nie o tym mówię. — Blythe wskazał głową w kierunku grożących sobie frakcji. Jedna z grup nosiła szaliki niebiesko-białe, druga zaś bordowo-niebieskie. Nawet kiedy śmierć i choroba siały spustoszenie na ulicach, ci kibice byli wciąż w stanie wojny pomiędzy sobą. Fani City i Villa stwierdzili, że sprzymierzenie sił jest niemożliwe. — Chodzi mianowicie o to, że nie widać żadnego z wojskowych ochotników.

— No i co z tego?

— Byliby teraz tutaj, gdyby kręcili się gdzieś w okolicy. Kilka strażaków nad głowami tych dzieciaków rozwiązałoby sprawę. A jeśli nie to, to już z pewnością zgarniecie przywódców.

— Masz rację, Blythe. Co się więc z nimi stało?

— Nie miałem okazji słuchać ostatnich wiadomości, lecz wydaje się, że oddziały ochotnicze zostały z miasta wycofane.

— Dlaczego?

— Może jednym z powodów było... przenikanie terrorystów. Jeśli masz na sobie pełny rynsztunek i dźwigasz karabin — jesteś żołnierzem. Nie ma sposobu, by cię sprawdzić. Z drugiej strony władze mogły po prostu ewakuować wojsko z Birmingham. Chyba jednak nie odważono by się na to jawnie. Wywołałoby to zbyt wiele reperkusji w całym kraju.

— Czy nas to w jakiś sposób dotyczy?

— Nie wiem. — Blythe wzruszył ramionami. — Musimy jednak być czujni. Spójrz tylko na tych gówniarzy! Oni naprawdę palą się do bójki. A to wszystko z powodu szalika innego koloru!

Dwie grupy stały zaledwie dwadzieścia metrów od siebie, ciskając pociskami zza zaimprovizowanych bunkrów utworzonych z rozbitych samochodów i połamanych mebli. Jeden ogolony na łysa szczeniak postanowił pokazać kumpłom, że wrogowie nie są mu straszni. Spluwał i ge-

stykułował, nie wycofując się w bezpieczniejsze miejsce. Nagle chłopak znieruchomiał i zrobił do tyłu kilka chwiejnych kroków. Z głowy trysnęła krew, wydawało się, że jej czubek odskoczył w górę.

Blythe widział wyraźnie, jak strumyki krwi spływają po jego pobladłej twarzy. Chłopak próbował wyciągnąć dysk, który utkwił mu w czaszce. Kiedy to zrobił i trzymał ten okrągły przedmiot w ręku, poszła druga fala krwi. Krzyknął i runął na jezdnię.

— Boże, oni rzucają czymś, co go oskalpowało! — Blythe wziął głębszy oddech — czymś w rodzaju krążka ze stah.

Cummins zaśmiał się. — To i tak nic w porównaniu z tym, co ja mógłbym zrobić tą siekierką. — Opuścił rękę i oparł ją na drewnianym trzonku toporka za pasem.

— Jesteś tak samo zły jak oni. — Blythe zacisnął ręce na parapecie okna. — Przemoc dla samej przemocy. Zabijając dla radości zabijania. To okrutne i podłe.

— Być może. Lecz fakt pozostaje faktem: utknęliśmy tutaj wszyscy razem i do końca musimy działać wspólnie. Czy sobie tego życzysz, czy nie.

Rzucano coraz więcej dysków, stal dzwoniła o stal, dyski odbijały się od karoserii samochodów, tocząc się po ulicy. Ciskano kamienie i cegły.

Jeden z bordowo-niebieskich wstał zza przewróconego stołu, ważąc w rękach przygotowany do rzutu kamień. Dysk dosięgnął go wcześniej. Nisko wypuszczona, z błędną precyzją wyostrzona krawędź uniosła się jak opuszczający pas startowy odrzutowiec, rażąc prosto w usta. Siła uderzenia odrzuciła go na kilka metrów do tyłu, obcinając język i łamiąc kości szczęki.

Z nadchodzącym zmrokiem uliczna bitwa zaczęła dobiegać końca. Przeciwnicy wycofali się i podążyli gdzieś własnymi drogami. Trzech zabitych i pięciu rannych leżało tam, gdzie upadli od ciosów. Niezdolni do walki nie in-

teresowali już nikogo. Jutro będzie tutaj więcej potyczek. Jest jeszcze w mieście kilku kibiców Albion czy Wolves.

— Ron. — Blythe odwrócił się, słysząc głos Carol i zobaczył jej sylwetkę w drzwiach. Trzymała w ręku pochodnię. — Martwi mnie Paul.

— Nie jest z nim dobrze już od dwóch dni — odparł Ron przechodząc obok Cumminsa. — Może to przeziębienie?

— Ma bardzo wysoką temperaturę. W ciągu pół godziny jego stan uległ znacznemu pogorszeniu.

Podążył za nią do sypialni na tyłach, gdzie Paul Merrick otulony w koce leżał w łóżku. Chłopiec przewracał się niespokojnie. Całe jego ciało złane było potem.

— Co zrobimy, Ron?

— Nie wiem. — Blythe patrzył na chłopca w świetle pochodni. — To prawda, ma wysoką gorączkę. W normalnych okolicznościach wezwalibyśmy lekarza...

— Lecz lekarz tutaj jest nieosiągalny, zresztą nawet gdyby gdzieś był i tak nie miałby możliwości do nas dotrzeć. Z Paulem jest źle. Nie mam pojęcia, co złapał, lecz z pewnością nie jest to zatrucie Weedsprayem. To coś innego, coś mniej paskudnego. Jeśli jednak lekarz nie udzie U mu pomocy, Paul...

— Niech pomyślę — dumął Blythe. — Szpitale są przepelnione od piwnic aż po strych, lecz z pewnością muszą być w okolicy jacyś lekarze. A jeśli tak, to idę o zakład, że mają dyżury właśnie w szpitalach. Czeka nas być może potwornie długie czekanie, lecz tam mamy więcej szans niż tutaj.

— Coś wam powiem — Cummins wszedł do pokoju podsłuchawszy ostatnią część rozmowy. — Jest znikoma szansa, że uda nam się w ogóle jutro stąd wydostać. A z pewnością nic z tego nie będzie, skoro wy, idioci, zamierzacie szukać opieki medycznej dla zawszonego dzieciucha. Nie daję wam jednego dnia życia.

Blythe spojrział na Carol. Trzymała prosto podniesioną głowę. Jej blada twarz świadczyła o wyczerpaniu, ale jednocześnie wyrażała determinację.

— Spróbujemy poszukać lekarza i znajdziemy go — powiedziała.

— Nie zrobicie tego. — Cummins trzymał w ręku siekiere. — Zostawimy dzieciaka i jutro spróbujemy się stąd wydostać.

— Nigdzie nie pójdziemy bez Paula — powiedział cicho Blythe.

— Zastanów się raz jeszcze — zdławiony głos drżał z wściekłości. — Nie będziemy szukać żadnego szpitala ani doktora. Prędeż was zabiję.

— Więc zabij! — powiedziała Carol, patrząc mu prosto w twarz. — Zrób użytek ze swojej siekiery. Pokaż nam, że umiesz zabijać. I tak prawdopodobnie zginiemy więc wszystko jedno: dziś, jutro czy dzień później. Lecz bez Paula nie ruszymy się stąd.

Ręka Cumminsa zrobiła lekki zamach, Carol ani drgnęła. Blythe napiął wszystkie mięśnie, ale zdawał sobie sprawę, że nie byłby w stanie powalić mordercy, aby uratować Carol.

— No dalej, zabij nas. Paula na dokładkę, jeśli to jest to, co cię podnieca.

Cummins Powoli opuścił siekiere, wciągnął powietrze do płuc i zaklął.

— Jesteście największymi durniami, jacy stanęli mi na drodze — mruknął. — Lecz może poszlibyśmy na układ.

— Jaki?

— Zanieśmy dziecko do najbliższego punktu kontrolnego przy zasykach. Może być naszym paszportem, kiedy zobaczą, w jakim jest stanie.

— I ustawimy się w kolejce kilku tysięcy rodziców z chorymi dziećmi na rękach — zadrwił Blythe. — Nie, musimy dotrzeć do szpitala.

— Zwariowaliście!

— Nawet nie w połowie tak jak ty, Cummins.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

— Musimy wyruszyć już teraz — Carol podeszła do chorego chłopca i jeszcze raz oświetliła go pochodnią. — Jutro rano może być już za późno.

— **Trzeba będzie małego nieść — stwierdził Blythe. — Cummins i ja wyznaczmy sobie zmiany.**

— Do którego szpitala pójdziemy?

— Zamiast wracać do General, lepiej będzie, jak pójdziemy do East Birmingham Clinic, a stamtąd już sami przedostaniemy się do jednego z punktów kontrolnych na zboczu Coleshill.

— Wciąż jeszcze nie rozwiązałeś problemu, jak przedostać się przez kordony — powiedział z przekąsem Cummins — bo patrząc na was, podejrzewam, że strach ściśnie wam tyłki i koniec końców zadecydujecie, że powinniśmy pozostać w Birmingham. Lecz jeśli tak się stanie, zarąbię was moją siekierą! Nie są to zwykłe pogroźki.

— Znajdziemy jakiś sposób — Blythe zaczął owijając Paula w koce. Wziął go w ramiona kotysząc jak niemowlę. — Mieliliśmy dobrą passę, pomimo tylu przeciwności wciąż jeszcze żyjemy. W zbiorniku tego domu była woda, a nawet ktoś pozostawił trochę żywności w spiżarni. Zobaczycie, że nam się uda.

— Miejmy nadzieję — wymamrotał Cummins, podążając za nimi w dół po schodach i wychodząc na spowitą dymami ulicę.

Paul zakaszłał i jęknął w ramionach Blythe'a.

— Mamo, mamusiu — zaczął płakać.

— Daj mi go. — Carol zabrała chłopca od Blythe'a.

— Myślę, że będzie mu lepiej u mnie, cokolwiek się zdarzy.

— Miej oczy otwarte, Cummins. — Ron spoglądał wokoło, czujny na każdy ruch w pomarańczowej szarów-



ce, jaką była noc nad Birmingham. — Musimy posuwać się naprzód, a nikt z nas nie chce stracić głowy od krązków, którymi rzucają te szczeniaki.

Doktor Peters pozostał w swym domu podczas dni zgiełku i zamieszania. Wysoki, z rzadkimi siwymi włosami i czerwoną cerą, która zdradzała nadciśnienie, toczył walkę ze swoim sumieniem.

Powinien być w szpitalu od pierwszych chwil zbiorowego zatrucia, pomagać w pracy i podtrzymywać na duchu zaharowanych kolegów. Lecz zamiast tego siedział w domu. Wyjść oznaczało opuścić Elbę, jego żonę.

Elsa była jedną z pierwszych ofiar. Tego fatalnego dnia doktor Peters został wczesnym rankiem wyrwany ze snu. Jeden z jego pacjentów, emeryt, leżał w wilgotnej pościeli, a wrzody wydzielały swój jad.

Spróbował zadzwonić po karetkę, lecz telefon był zablokowany. Dał staruszkowi zastrzyk morfiny i obiecał wrócić tak szybko, jak to tylko możliwe.

Nie dotrzymał jednak przyrzeczenia.

Staruszek, tak jak tysiące innych chorych, musiał umrzeć. Nic nie mogło go uratować. Jedyne, co lekarze byli w stanie zrobić, to wstrzyknąć jeszcze jedną dawkę środka uśmierzającego ból, aby śmierć stała się łżejsza. Podczas powrotu do domu, zmuszono go do pozostawienia samochodu zaraz za Saltley. Auto stało prawdopodobnie wciąż w tamtym miejscu.

Gdy wszedł do mieszkania, Elsa siedziała w kuchni. Stołek stał pod zlewem, ponieważ miała zbyt mało siły, aby stać. Piła jedną szklankę wody za drugą. Podniosła głowę.

— Miło cię widzieć w domu — uśmiechnęła się jakoś tak dziwnie. — Dobrze się bawiłeś. Henry?

— Jesteś chora — stwierdził patrząc na nią i poczuł jak przygniata go przerażenie na widok nieznaczących jeszcze, białych wrzodów powyżej kołnierzyka nocnej koszuli. — Czulaś się dobrze, kiedy odchodziłem.

— I teraz wszystko jest w porządku. — Pociągnęła jeszcze jeden haust wody i roześmiała się smutno. — Ty piłeś poza domem, więc pomyślałam sobie, że ja zacznę w domu. Chcę się upić na złość tobie.

— Wodą? — Podeszedł bliżej.

— To nie woda. To wódka.

— Niech będzie, że to wódka — postanowił jej nie rozdrażniać. — Może lepiej pójdiesz się położyć.

— Zdradzałeś mnie, prawda? — rzekła nieoczekiwanie Elsa. — Robiłeś to wiele razy.

— Nie — zmarszczył brwi, widząc rozszerzone źrenice jej oczu. — Nigdy.

— O tak, jestem jednak zadowolona, ponieważ sama również cię zdradzałam. I nie chcę wracać na górę do łóżka. Jeszcze się nie upiłam. — Napelniła po raz kolejny szklankę i jednym łykiem wychyliła połowę jej zawartości.

— Puściłam się z doktorem Beambridgem, a także z panem Culmingtonem.

— No dobrze, puściłaś się z nimi.

— Nie masz prawa mnie krytykować!

— Chodź, wrócimy do sypialni.

— Nie chcę iść z tobą do łóżka. Chcę iść do łóżka z panem Culmingtonem.

— Pan Culmington jest w szpitalu. Przeszedł ciężką operację i z pewnością nie jest w odpowiedniej kondycji, aby ci dogodzić.

— Więc niech mnie zerznie doktor Beambridge.

Henriemu opadła szczęka. Nigdy przedtem nie usłyszał z jej ust czegoś więcej niż „niech to diabli” i to tylko w chwilach szczególnego wzburzenia.

nym haustem i znowu dawała znaki chrząknięciami, że prosi o jeszcze. Chwycił ją mocno i zrobił jej następny zastrzyk z morfiny. Zasnęła w ciągu kilku minut. Wtedy zszedł na dół.

Sumienie nie dawało mu spokoju. Powinien być teraz w szpitalu. W normalnych okolicznościach... Skrzywił się. W normalnych okolicznościach Elsa nie zachorowałaby na coś takiego.

Spróbował zatelefonować do szpitala, lecz wszystkie linie były zajęte. Zawsze to jakieś usprawiedliwienie. W końcu przecież próbował.

Nagły dzwonek do drzwi poderwał go z krzesła. Chwile stał w miejscu nie wiedząc, co zrobić. Często wzywali go pacjenci zakłócając mu spokój. Był jednak lekarzem starej daty i pełnił rolę nie tylko lekarza, ale i spowiednika. Całkiem inaczej niż te dzisiejsze akademickie gwiazdy z ich minami wyrażającymi poczucie wyższości, roztaczające wokół siebie mistyczną aurę. Dla nich pacjent — to numer, królik doświadczalny. A ich zadaniem — dać mu byle co i obserwować wywołane reakcje. Jeśli A nie skutkuje — spróbuj B. Ale, broń Boże, nie angażuj się w prywatne życie pacjentów. On był inny.

Teraz jednak Henry Peters pragnął nałożyć skórę jednego z tych nowomodnych, anonimowych lekarzy. Nie chciał widzieć nikogo. Podszedł ukradkiem do okna i wyjrzał. Na schodach stał człowiek powyżej trzydziestki z chłopcem około ośmioletnim. Mały płakał rozdrażniony, zaciskając palce na ramionach ojca.

Peters z kwaśną miną próbował się pocieszyć. Prawdopodobnie mały był we wczesnym stadium zatrucia Weedsp-rayem. Znał jego ojca z widzenia. Był mechanikiem w warsztacie w Longbridge. Wiedział, że musi mieć teraz zaciśnięte z bóleści gardło i zmacony wzrok. Peters starał się o tym nie myśleć i być bezwzględny, chociaż do tej pory nigdy taki nie był. Wprawdzie mógł ich wpuścić do środka i

dać zastrzyk z morfiną, lecz ojciec z całą pewnością nie byłby usatysfakcjonowany. Petres cieszył się reputacją lekarza, który posiada skuteczne lekarstwo na wszelkie dolegliwości. Pacjenci ufali mu. A on przecież musi doglądać Elsy.

Cofnął się w głąb pokoju. Dzwonek dzwonił jeszcze może dwa albo trzy razy i po kilku minutach zobaczył, jak ojciec i syn idą z powrotem, rozczarowani i przygnębieni.

Przez pięć dni i nocy stróżował przy umierającej żonie. Gasła powoli, kurczowo uczepiona migoczącego i niechętnie ustępującego życia.

Szóstego dnia podjął decyzję całkowicie sprzeczną z zasadami etyki lekarskiej. Elsa nie powinna dłużej cierpieć. Odszukał jeszcze jedną strzykawkę, napełnił ją i wszedł po schodach na górę. Była przytomna i w pełni świadoma tego, co on chce zrobić. Mógł to odczytać z jej okragłych jak księżycze oczu, 'przepelnionych strachem i przeczućmi bliskiej śmierci, niemo wołających jedno słowo — morderca!

Odwrócił wzrok i był już gotów zarzucić to rozwiązanie. Eutanazja, to jedna z najbardziej kontrowersyjnych kwestii w świecie medycyny. Są i tacy, którzy ją zalecają, lecz tu i teraz nikt nie mógł Petersowi pomóc w podjęciu tej decyzji. Należała w pełni do niego.

Zadrżała mu ręka, kiedy podszedł do niej z przygotowaną strzykawką. Próbowała mu się wyszarpnąć, ale nie miała na to dość siły. Bułgocące odgłosy dochodziły z jej gardła, tłumione obrzmiałym językiem. Peters znalazł żyłę, przymknął powieki i nacisnął tłoczek. Elsa wyrzucała z siebie przekleństwa. Próbował nie zwracać uwagi na te nieartykułowane dźwięki, ale bez skutku. Będzie je słyszał dzień i noc, aż do końca swego życia: MORDERCA.

Wyciągnął igłę i włókł się po schodach na dół. W kuchni wyrzucił strzykawkę do kosza na śmieci i zwymiotował do zlewu. Pragnął umrzeć.

Kiedy wyrzygał z siebie wszystko, zaczął myśleć o samobójstwie. To takie proste, wtedy Elsa i on byliby razem. Na pewno zrozumiałaby jego czyn.

Pochylił się szukając porzuconej strzykawki, mimo iż wiedział, że tego nie zrobi. Jeśli by popełnił samobójstwo, obróciłby całe swoje życie w farsę, zaprzepaściłby to, co stanowiło sens jego egzystencji. Powinien był wyzwolić Elbę z cierpienia już sześć dni temu. Zmarnował prawie tydzień, siedząc w domu, zamiast wyjść i zrobić dla chorych wszystko, co tylko możliwe.

W jakiś cudowny sposób sam uniknął zatrucia. Pewnie dlatego, że nie korzystał z wody, uważając aby się nie zachłapać nawet wtedy, gdy napełniał szklankę Elsy. Pił tylko to, co było w barku. Najpierw napoje bezalkoholowe — sok pomarańczowy, tonie i ciemne piwo. Na końcu otworzył whisky. Właśnie tego potrzebował. Wlał sobie solidnego drinka i dzięki temu jakoś uspokoił swe nerwy. Stojąc podparty o kredens, rozmyślał o planach na przyszłość. Wiedział, że pójdzie do szpitala i chociaż nie uratuje tym nikomu życia, to złagodzi cierpienia, uczyni zgon lżejszym.

Wtem coś stuknęło. Zamienił się w słuch, lecz w sypialni na górze panowała cisza — nawet jednego westchnienia w prośbie o wodę. To koniec. Zatapiając się w najbliższym fotelu dał upust fali płaczu, która wzbierała w nim w ciągu tych pięciu dni.

O czwartej rano doktor Peters opuścił swój dom, wynosząc czarną walizkę. Drzwi zamknął za sobą ostrożnie i bezszelestnie, okazując w ten sposób szacunek zmarłej kobiecie. Wiedział, że nie powróci, nawet jeśli wydarzenia przybiorą pozory normalności. Wszystko tutaj byłoby przypomnieniem nieodwracalnej już decyzji.

Peters bał się, że zostanie aresztowany. W akcie oskarżenia umieszczą wiele punktów — od niespełnienia obowiązku lekarza po morderstwo, ale kiedy do tego dojdzie,

po prostu odbierze sobie życie. Na razie jest jednak praca, która na niego czeka.

Zakasłał w zadymionym powietrzu i skierował się na ulicę Alum Rock. Minęło trochę czasu, zanim jego wzrok przywykł do zabarwionego pomarańczowo mroku. Ujrzał stopy samochodów oraz trupy zalegające ulice. Z trudem ogarniał zmęczonym umysłem rozmiary katastrofy. Nawet o tej godzinie byli tu ludzie. Niektórzy krążyli bez celu, inni zaś na jego widok znikali jak cienie. Teraz poruszał się już z pełną ostrożnością. Nie z obawy o własną skórę, lecz o to, że mógł go ktoś pozbawić szansy niesienia pomocy innym.

Zrobił krok nad czymś ciałem i gdy miał już iść dalej, jakaś ręka przytrzymała jego nogę, a kościste palce zacisnęły się desperacko.

— Pomocy... wody!

Prawie stracił równowagę. Usiłował uwolnić stopę, lecz uścisk był zbyt silny.

— Pomóż mi...

Spojrzał pod nogi, lecz w ciemnościach nie mógł różnić żadnych szczegółów czarnej sylwetki. Był to głos starszego człowieka. Poza tym trudno było cokolwiek powiedzieć.

— W porządku, przyjacielu, pomogę ci. — Postawił walizkę na krawężniku, otworzył ją i po omacku odszukał w rzędzie strzykawek drugą od końca.

— Wody...

— Cierpliwości. Jestem lekarzem i ulżę twojemu cierpieniu.

Zapadła cisza i Henry Peters odczuł, jak w geście zaufania rozluźnia się uścisk na jego kostce, a charkoczący oddech ustępuje miejsca miarowej pracy płuc. Chory westchnął, uspokojony obecnością lekarza.

Peters chwycił go za ramię i podwinął rękaw. Kończyna była chuda, pokrywała ją chropowata, twarda skóra,

miejscami jednak wiotka i sflaczała. Doktor zacisnął zęby tak, że poczuł pod wargą słony smak krwi.

Człowiek znieruchomiał, kiedy igła wniknęła w ciało, zakał jak przestraszone dziecko.

— To nie potrwa długo. Już wkrótce uwolnisz się od swoich boleści.

Włożył strzykawkę do pudełka i powstał. Nie będąc osobiście związany ze starcem, nie miał większych moralnych oporów co do wykonania eutanazji. Odszedł w kierunku ulicy Bekher, wiedząc, że starzec już nie żyje. O Boże - pomyślał — właściwie nie miałem żadnego prawa, aby to zrobić; to tak jakbym był Bogiem, odbierając życie, kiedy uznam za stosowne. Czuł się mordercą — jednej nocy zabił dwa ludzkie istnienia. Co gorsza, wiedział, że niebawem uczyni to ponownie. Przez współczucie dla cierpiących. Nie miał innego wyjścia.

Było już jasno, kiedy dotarł do szpitala. Nikogo nie spotkał przy budynku; wszedł do głównego hallu i oczom jego ukazał się potworny widok.

Trupy leżały dosłownie wszędzie: na łóżkach, na czymś w rodzaju zaimprovizowanych legowisk, jeszcze inne po prostu na podłodze. Przybyli tutaj w nadziei na uzyskanie pomocy — mężczyźni, kobiety i dzieci. Odór śmierci ciężko wisiął w powietrzu, jak w otchłaniach mitycznego Hadesu, atmosfera przesączona była chorobą i gniciem.

Nikt więcej tutaj nie przyjdzie. Po prostu nie było po co. Rozejrzał się po jednej z sal: jeszcze więcej ciał, po dwa, po trzy na jednym łóżku, niektórzy skonali, wdrapując się na prześcieradła, gdy przedśmierne torsje zwały ich na parkiet. Ciało, które spadło z jednego z łóżek, zastężyło w nienaturalnej pozycji, opierając wykręconą głowę o ścianę.

Usta większości chorych wykrzywiały złowieszczy grymas, oczy patrzyły oskarżycielsko, w niemym proteście

przeciwko zakłóceniu ciszy, przeciwko naruszeniu oddechem martwoty ciała. Peters cofnął się o krok i wybiegł z historycznym krzykiem.

Z trudem przyszedł do siebie. Widział już śmierć, nawet tutaj, w Birmingham, podczas ostatniej wojny, gdy faszysti zbombardowali fabrykę.

To jednak było gorsze. Cierpienie, które poprzedzało śmierć zamkniętych w mieście jak w pułapce ludzi, niemożliwość udzielenia pomocy, piekielne pragnienie, ból i owrzodzenia powodowały, że zgon był ulgą po długim procesie umierania.

Opuścił salę i zszedł na dół, na poziom przezaaczony dla służby medycznej. Panowała tu identyczna sytuacja. Środek chwastobójczy był w pełni demokratyczny w działaniu, ścinając z nóg lekarzy i pielęgniarki na równi z pacjentami. Rozmyślał, czy jakieś dzielnice miasta uniknęły zatrucia. Musiały być to obszary, gdzie trucizna jeszcze nie dotarła, mimo że strach i panika szalały z pewnością wszędzie.

Usiadł na szczycie przestronnej klatki schodowej i przyglądając się spustoszeniom poczynionym przez śmierć, zastanawiał się, co robić dalej. Żył jeszcze tylko dlatego, że ukryty przez kilka dni w domu nie reagował na wołania o pomoc. Powinien teraz leżeć sztywny w tym szpitalu, tak jak wszyscy inni. Tymczasem żył i był zdrowy, chociaż nie miał do tego moralnego prawa. Minęła godzina, może dwie. Nikt nie nadchodził, nie zakłócał spokoju. Szpital East Birmingham wydawał się być przygraniczną pustynną osadą, splądrowaną przez hordy Beduinów. Masakra. Peters w swojej młodości czytał Beau Geste, powieść, która wywarła na nim ogromne wrażenie. Stosy poległych ciał sięgały murów obronnych i rosły proporcjonalnie do głupoty żądnych zemsty członków rodu. Wyobrażał sobie, że jest jednym z wojowników.

Około południa usłyszał, że ktoś wchodzi głównymi



drzwiami i nagły powiew świeżego powietrza omiótł jego twarz. Ujrzał trójkę ludzi, dwóch mężczyzn i kobietę, która niosła na rękach dziecko owinięte w koce. Doktor nie wstawał. Czuł się tak zmęczony jak nigdy w życiu. Skinął głową i usiłował zmusić twarz do uśmiechu; obserwował jak tamci kluczą pośród leżących trupów, aby do niego dotrzeć.

— Nie ma nikogo oprócz mnie. — Jego głos zabrzmiał płasko i bezbarwnie. — Ci, którzy nie umarli, odeszli stąd.

— Potrzebujemy pomocy — oświadczyła dziewczyna.

— Chłopiec jest ciężko chory.

— Przykro mi — wyznał szczerze Peters — lecz nie ma powodu robić sobie fałszywych nadziei. To okrutna prawda, ale nie wymyślono jeszcze lekarstwa na zatrucie. Wszyscy o tym wiedzą...

— To nie zatrucie — powiedziała powoli Carol, kołysząc się z wyczerpania. — To tyfus!

Peters wstał. Jej głos pobrzmiwał mu echem wewnątrz umęczonego mózgu. Tyfus... tyfus... tyfus.

Najdziwniejsze było, że uwierzył jej. Sam nie wiedział dlaczego. Gdyby powiedziała, że chłopiec ma malarię, stwierdziłby pewnie, że tak jest faktycznie.

— Lepiej poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie będzie można zaopiekować się dzieckiem. Spróbujmy na początku w sali operacyjnej.

Tworzyli dziwną procesję, gdy tak szli w milczeniu: stary człowiek, młoda dziewczyna niosąca chłopca i dwóch mężczyzn.

Odnaleźli salę, gdzie leżały tylko dwa ciała — para rabusiów, od których czuć było woń alkoholu.

— Czy bylibyście panowie tak uprzejmi i usunęli... tych ludzi. — Peters skinął ręką, a Blythe i Cunmiins wytaszczyli trupy na korytarz. Wtedy podjechał na środek sali wielkim wózkiem.

— Połóżcie go tutaj — powiedział przecierając okulary. — Podejrzewam, że nie jest to zbyt higieniczne, lecz z pewnością najlepsze, na co nas stać w tych warunkach.

Rozwinął koce i popatrzył na rozognioną twarz dziecka, pokrytą krostami i cętkami. Dziewczyna miała rację. To tyfus. Nie było wątpliwości.

**Rozpiął ubranie małego i przytknął stetoskop do jego klatki piersiowej.**

— Jak długo jest w tym stanie? — zapytał.

— Czuł się źle od czterech, pięciu dni. Kryzys nadszedł wczoraj wieczorem.

— Zgaduję, że jesteś jego matką, prawda? — Peters spojrzął na Carol.

— Nie, jego matka padła ofiarą zatrucia. Wzięliśmy go ze sobą.

— Zrobimy dla niego wszystko, co tylko w naszej mocy — Peters odetchnął z ulgą na wiadomość, że dziewczyna nie jest matką dziecka. Postawioną przez niego diagnozę przyjmie spokojniej lub przynajmniej myślał, że tak będzie.

— Jego szanse są małe...

Znaleźli w szafkach płótno i Carol zasłała łóżko w sali operacyjnej. W żadnym wypadku nie chciała, aby Paul leżał w pełnym trupów hallu.

— Słuchajcie — Cummins odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. — Zrobiliśmy dla tego dziecka wszystko, na co nas było stać, a teraz spróbujmy jakoś, wydostać się z tego piekła.

— Zapomniałeś o jednej rzeczy — zauważył pochyłony nad stołem Peters, przygotowując jakieś tabletki. — Każde z was mogło zarazić się tyfusem, jesteście więc potencjalnymi nosicielami. Radzę wam zostać tutaj. Przynajmniej na jakiś czas.

Ręka Cumminsa powędrowała pod dolną fałdę swetra, lecz Ron pospieszył z wyjaśnieniem.

— Muszę jak najszybciej skontaktować się z władzami poza miastem — powiedział. — Jestem chemikiem i posiadam niezwykle ważną informację. Informację, która może ocalić życie wielu osób. A co do tyfusu — stwierdziliśmy jeden przypadek w mieście, lecz bez wątpienia chorych jest więcej. Wszędzie leżą stosy ciał, więc przypuszczam, że zaraza zdążyła się rozprzestrzenić. Po przekroczeniu punktów kontrolnych poddamy się rygorom kwarantanny.

— Mogę jedynie wam radzić, a nie zatrzymywać, jestem przecież tylko lekarzem — Peters uśmiechnął się blade. — Lecz może chociaż pani chciałaby tutaj zostać. Służę medyczną pomocą, a także duchowym wsparciem.

— Dziewczyna idzie z nami — syknął Cummins. W jego dłoni pojawił się rewolwer.

Peters spojrzał na niego zdziwiony, lecz po chwili coś zaświtało mu w głowie.

— Znam cię — wyszeptał — jesteś tym rzeźnikiem, który zabija siekierą.

— Oto cena sławy — zaśmiał się Cummins. — Dosyć tego głądzenia. Wystarczająco długo wodziłeś mnie za nos, Blythe. Teraz jazda stąd, i to szybko!

— Zrobię, co tylko będę mógł dla chłopca, pani... — doktor Peters wybiegł za nimi na korytarz.

— Evans. Jestem pewna, że tak będzie. — Carol odwróciła się. — Jeśli tylko dotrzemy na drugą stronę, z pewnością tutaj wrócę.

Peters wszedł do sali operacyjnej i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na chłopca i Powoli pokiwał głową. Powątpiewał, czy Paul Merrick doczeka zmroku. Jeszcze raz stanął naprzeciw perspektywy oczekiwania na śmierć.

## Rozdział XV

Punkt kontrolny Barnt Green był położony na drodze A 441, dwie mile na południe od Alvechurch. Tłumy wypełniły jezdnię, tworząc nierównej gęstości pasmo o szerokości jakichś dziesięciu metrów. Od czasu do czasu wybuchały sprzeczki pomiędzy rozpychającymi się o lepsze miejsce, lecz ogólnie rzecz biorąc gawiedź była zdyscyplinowana.

Ludzie to zazwyczaj optymiści. Także i ci przemoczeni mieszkańcy Birmingham czuli, że wkrótce nastąpi chwila, kiedy wolno im będzie przekroczyć ogrodzenie. Zostaną im udostępnione tymczasowe kwatery w Redditch i w okolicy. Władze mają nawet przyzwolić na organizowanie obozowisk. Pogoda, jak na połowę listopada, była dosyć łagodna. Więc może już jutro albo pojutrze. Tymczasem z powodu opóźnień w przygotowaniach sytuacja komplikowała się. Nie można było jednak rozpuścić tysięcy bezdomnych po okolicy.

Wysoki parkan z drutu kolczastego przecinał pola po obu stronach drogi. Na każde pięćdziesiąt metrów przypadał uzbrojony zawodowiec w drelichu khaki — nieprzerwany szereg żołnierzy. Nikomu nie wolno było zbliżyć się do strażnicy na odległość większą niż dwadzieścia metrów. Jeśli ktoś miał dostateczny powód, jakieś uzasadnienie, które tłumaczyłoby konieczność opuszczenia miasta, mógł prosić o pozwolenie na rozmowę z oficerami przy bramie.

Zawsze znaleźli się tacy, którzy próbowali z tego skorzystać. Najczęściej jednak odsyłano ich do diabła, czyli z powrotem do kolejki. Powiodło się jednemu, może dwóm

wysoko postawionym obywatelom z listami uwierzytelniającymi ich status i to tylko dlatego, że podane przez nich wyjaśnienia były o wiele bardziej wiarygodne niż pozostałych. Na przychylność mógł zawsze liczyć sztab oficerski. Pozwolono wyjść także parze polityków, którzy mieli powstrzymać zalew terroru. Należeli do prawicy, partii popieranej przez komendanta punktu kontrolnego. Wszelkie żale puszczano mimo uszu. Każdy przypadek musiał być rzetelnie sprawdzony i udokumentowany. Ze strony władz nie było ani uzasadnień odmowy, ani możliwości odwołania się od decyzji. Odpowiadano jednoznacznie — tak lub nie.

Podobnie działo się na wschodniej granicy, z tą tylko różnicą, że zgromadziło się przy niej mniej ludzi. Punkt Stone Bridge Island na trasie A 45, oddalony tylko trzy kilometry od jatki w Ham's Hall, odcinał drogę ucieczki do Coventry.

Pobliskie Packington Hall przypominało koszary — czołgi, transportery opancerzone i helikoptery RAF-u wyruszały stąd na patrole.

Tłum przeredził się w ciągu ostatnich trzech dni. Wielu ludzi rozbiło obozowiska, żyjąc w spartańskich warunkach w otoczonej kordonem wojska okolicy uroczej wioski Hampton-in-Arden. W kolejce do wyjścia stali także ludzie w mundurach — służby ochotnicze, a że każdego z nich dokładnie sprawdzano, stąd ogonek posuwał się niezwykle Powoli. Musieli okazywać dokumenty, jeśli takowe posiadali. Zawierały one dane żołnierza-ochotnika, pobieżny rysopis oraz jego własny podpis. Armia wymagała ponadto ponownego złożenia podpisu przed przekroczeniem granicy. Wycofywanie wojsk ze strefy zagrożonej przysporzyło bowiem dodatkowych problemów — wiadomo, ilu ludzi weszło do środka, lecz trudno było zgadnąć, ilu powróci.

Ochotnik o ziemistej twarzy rozglądał się niespokojnie

wokoło, zanim stanął w wąskiej bramce, wyraźnie unikając badawczych spojrzeń regularnych żołnierzy.

— W porządku kolego, podpisz się tutaj.

Podali mu pióro. Wziął je, oblizał usta i w tym momencie się zawahał.

— No, szybciej przyjacielu, nie będziemy przecież czekać do Bożego Narodzenia.

Powoli postawił podpis. Kaligrafował ostrożnie każdą literę, spoglądając co chwilę na podpis na dokumencie. Strażnik patrzył na to podejrzliwie. Przymrużył oko i skrzywił usta.

— To nie twój podpis, stary. Chcesz nas nabić w butelkę?

Mężczyzna cofnął się, rzucając szybkie spojrzenia to na strażników, to na tłum za jego plecami.

— Jestem Tom Wilson — wymamrotał. — Przysięgam.

— W porządku, zaraz to sprawdzimy. Proszę, przejdź tędy i oddaj karabin.

Człowiek, który twierdził, że jest Tomem Wilsonem, odłożył broń i przeszedł przez barierki. Dwóch żołnierzy natychmiast stanęło przy nim i trzymając go za ręce poprowadziło w kierunku dużej szopy.

— Okay — wyjaśniał spanikowany. — Nie jestem Wilson. Mundur... zdarłem z nieżywego żołnierza, lecz przysięgam, że go nie zabiłem. Wiercie mi. Nie zrobiłem tego!

Więźnia zamknięto w budynku. Jeszcze jedna podstępna próba ucieczki z Birmingham została udaremniona, Tuzin lub więcej podobnych wypadków zdarzało się na każdej strażnicy. W końcu żołnierze nabrali doświadczenia w wyłapywaniu oszustów. Tylko garstce udało się przedostać.

— Następnym razem proszę. — Z punktu widzenia cywila sierżant był nieznośny i irytujący. Tylko dwójce osób z ostatniej

pięćdziesiątki przyznana została możliwość przedstawienia powodów opuszczenia miasta. Za stratę czasu uważał on wysłuchiwanie tych wszystkich wyssanych z palca historii. Szybko ucinął kolejne opowieści, każąc ludziom iść do diabła, dokładnie tam skąd przybyli.

— Nazwisko?

— Blythe, Ronald.

— Dlaczego mielibyśmy cię wypuścić?

— Jestem chemikiem.

— Tak jak setki innych, którzy czekają.

— Pracuję dla spółki produkującej środki chwastobójcze.

— Jakie środki, do cholery?

— Właśnie te, które trafiły do wodociągów.

— No tak. Z pewnością firma ta zatrudnia tysiące podobnych tobie facetów. Wszyscy oni powinni być zmuszani do wypicia szklanki tego zasranego paskudztwa.

— Niech pan zrozumie — Blythe z trudnością trzymał na wodzy swoje nerwy. — Muszę się skontaktować z władzami.

— Właśnie to robisz!

— Istnieje konieczność, abym porozmawiał z kimś z zarządu dystrybucji wody oraz z wyższymi oficerami armii.

— Dlaczego?

— Jestem przekonany, że moja pomoc ocali wielu ludzi i pozwoli zażegnać widmo zarazy.

— Wszyscy mają jakieś pomysły. Wkrótce założymy tu skrzynkę wniosków.

— Każda godzina oznacza dodatkowe ofiary. Proszę pozwolić mi wreszcie z kimś porozmawiać.

— Przecież rozmawiasz, dupku, i jestem tym już cholernie znudzony.

— Czy mogę więc napisać list?

— Oczywiście, zrób to. Nie zapomnij tylko nalepić znaczka.

Blythe zagryzł wargi. Dwóch żołnierzy i policjant stanęli przy nim. Wszyscy byli uzbrojeni.

— Spływasz czy nie?

— W porządku — odpowiedział. — Już idę.

A co ty masz nam do powiedzenia, mój złoty. — Sierżant kiwnął na następnego w kolejce, odprowadzając Blythe'a wzrokiem.

— No i co? — zapytał Cummins, kiedy Blythe wrócił.

— Nie dało rady.

— Kurwa mać. Co teraz zrobimy?

— Teraz — Blythe wskazał na stos używanych namiotów, które leżały przy drodze — zbudujemy sobie wigwam i będziemy się bawić w czerwonoskórych, a potem pomyślimy co robić dalej.

W milczeniu wzięli jeden z namiotów, a także jakieś materace i powędrowali na pobliskie pole.

Namioty rozbijano dosłownie wszędzie, bez żadnego planu, niektóre porządnie, inne zaś zupełnie byle jak, przez ludzi, którzy nie mieli w tym żadnego doświadczenia. Na szczęście nie było silnych wiatrów. Pogoda, nienaturalnie łagodna jak na tę porę roku, wciąż dopisywała. Rozpięcie brezentu zajęło im dwadzieścia minut. Rozłożyli na trawie materace i wczołgali się do środka.

— No cóż, będziemy chociaż mogli coś zjeść i napić się — powiedział Blythe. — Zauważyłem, że wydają dość uczciwe porcje. Według moich obliczeń większość mieszkańców miasta koczuje na jego obrzeżach. W środku pozostali tylko rabusie. Powinniśmy byli przyjść tutaj znacznie wcześniej.

— Czy sądzisz, że największe niebezpieczeństwo dla Birmingham minęło? — zapytała Carol.

— Mówiąc szczerze — nie. Są tacy, którzy pozostali w domach i będą tam tkwić aż do końca. Dlatego też powinni być poinformowani o wodzie w pojemnikach.



— A co z twoim życiem, twoim małżeństwem, dziećmi? Czy jesteś w stanie odwrócić się od wszystkiego?

— Powiedziałem ci przecież, co łączy mnie i Margaret.

— Tak, ale miałeś wiele czasu, aby wszystko przemyśleć. Jestem tylko dziewczyną poderwaną w ogniu walki. Co będzie, kiedy nastanie czas pokoju?

— Nie chcę wracać do mojej żony — powiedział z gorzką pogardą. — Zrywam z poprzednim życiem. Wreszcie spotkało mnie coś, co umożliwi mi ten krok. Margaret jest przecież przekonana, że nie żyję. Nie zapominaj, że byłem w płonącym budynku razem z Broadhurstem i innymi. Nikt stamtąd nie ocalał. Dopóki Margaret ma tę pewność, ja mam spokój.

— Wiele osób skorzysta z okazji, aby porzucić swoją dawną tożsamość i zacząć zupełnie nowe życie.

— Ze mną jest trochę inaczej — odparł Blythe. — Zbyt wiele mam na sumieniu i muszę z tym żyć do końca. Nie ma miejsca, w którym mógłbym się zaszyć. Chcę jeszcze zrobić wiele dobrego i pragnę zacząć wszystko od początku. Właśnie z tobą.

Ciemności już dawno zapadły. Gruby brezent nie przepuszczał odbłasku łuny pożarów miasta. Oddzielał ich też od Cumminsa, o którego obecności świadczył jedynie ciężki oddech.

Carol lekko westchnęła, kiedy poczuła, że dłonie kochanka przesuwają się po jej ramionach. Powoli zdejmował z niej ubranie. Najpierw rozpiął bluzkę, a następnie zsunął spodnie, rajstopy i bieliznę. Zadrzała z podniecenia, tak jakby miał to być jej pierwszy raz. Zapomniała o wszystkim, o Cumminsie, Birmingham, o wszystkich nieszczęściach. Nic i nikt ich nie ponaglał, kiedy złączyli się w najgłębszą jedność, jaka istnieje pomiędzy kobietą a mężczyzną.

— Bardzo cię kocham — szepnął Ron.

— Ja ciebie także — odpowiedziała i poczuła się jakoś dziwnie. Słowa brzmiały banalnie, jakby wzięte z kłiwego, romantycznego filmu z lat pięćdziesiątych. Wyrażały jednak całą prawdę.

Ich ciała poruszały się zgodnym drzeniem w miarę, jak rośło uniesienie. Języki napierały na siebie i dotykały swych wilgotnych powierzchni, naśladując w ten sposób ruch bioder.

W końcu nie mogli już dłużej się powstrzymać. Ich miłość wytrysnęła w radosnym unisono, dominując nad nimi i będąc jednocześnie zdominowana. Teraz ponownie zatonęli w miękkich uściskach grzani płomieniami miłości, niechętni do rozłączenia. Świat stanął na kilka chwil.

Ciężki oddech Cumminsa rytmicznie unosił się i opadał. Mike spał albo udawał, że śpi.

— Żałuję tylko jednego — szepnęła Carol.

— Czego?

— Jesteś bezpłodny, a chciałabym mieć z tobą dziecko.

— Ta operacja nie przekreśliła wszystkiego — odparł Blythe, całując ją w policzek. Zawsze jest szansa na odwrócenie jej skutków, choć czasami się to nie udaje.

— Czy chciałabyś to zrobić dla mnie?

— Tak — zaśmiał się łagodnie. — Wiesz, zaczynam żałować tamtej decyzji. Nigdy nie myślałem, że tak będzie, lecz nigdy też bym nie przypuścił, że spotkam właśnie ciebie.

Następnego ranka, odstawszy ponad godzinę w kolejce po letnią owsiankę, chleb i słabą kawę, wrócili do namiotu. Podczas posiłku spoglądali na sznur uciekinierów, próbujących przekroczyć granicę. Ich liczba znacznie wzrosła w stosunku do poprzednich dni. Całe rodziny przybyły piechotą, objuczone przenośnym dobytkiem, dźwigając walizki i plastikowe torby. Towarzystwo im poczucie optymizmu, które jednak Powoli wyparowywało.

Prawie wszyscy zostali zawróceni, a sierżant stawał się coraz bardziej sarkastyczny i rozdrażniony, ucinając dyskusje oraz prośby szorstkim rozkazem rozbicia na polu namiotu.

— Nie zauważyłem, aby kogoś przepuścili. — Cummins splunął na ziemię. — Co z twoim myśleniem, Blythe?

— Jeszcze nie dałem za wygraną — Ron podniósł się z materaca i podał rękę Carol, aby również wstała. — Myślę, że nie najgorszym posunięciem byłaby mała wycieczka po okolicy. Marnujemy zbyt wiele czasu obserwując strażnicę. Oddalmy się stąd.

— Po co? Przecież tam nic nie ma.

— Tutaj także niewiele. No chodźmy. Może uda nam się coś wypatrzeć, jakiś mniej pilnowany przesynek.

Wędrowali powoli w kierunku miasta, mijając tłumy, które waliły w stronę zapór. Nikt na nich nie zwracał uwagi, każdy interesował się wyłącznie sobą.

Krótką wiejska droga wyprowadziła ich na przedmieścia. Trawa i orne pola graniczyły z betonem i asfaltem, co dawało dziwną mieszankę piękna i absolutnej monotonii. Drzewa i żywopłoty zostały wyparte przez budynki i mury. Cywilizacja podbiła naturę. Nawet teraz napór ustał tylko czasowo. Wkrótce miasto znów ruszy do przodu.

— Dokąd ten świat podąży? — Blythe spoglądał na naturalny i na sztuczny krajobraz. — Pewnego dnia nie zostawią skrawka ziemi. Nie będzie ani pól, ani żywopłotów. Rząd nie potrzebuje nacjonalizować rolnictwa, bo po prostu nie będzie dla niego miejsca. Spójrzcie na przykład tutaj. Wyrównują ziemię pod następny kompleks budynków. Własność rady miejskiej, dwa lub trzy tysiące symetrycznych pudełek.

Kopanie ziemi pod fundamenty przerwano w jednej chwili. Wyżłobione kaniony kierowały okoliczne pola. Pół tuzina buldożerów stało na podobieństwo śpiących

potworów zniszczenia — ich kierowcy uciekli od dymu i śmierci.

Buldożery — czołgi przemysłu, zdolne utorować sobie drogę przez zaporę z ziemi i skał. Odciskają na krajobrazie swoje piętno, wywracając wszystko, co tylko stanie na ich drodze.

— **Powiedz mi, Cummins. — Blythe zmarszczył w skupieniu brwi — Co robiłeś, zanim cię złapali? Oprócz szlachtowania ludzi siekierą, oczywiście.**

— Jeździłem na jednym z takich. — Cummins wskazał na najbliższy buldożer, nie dostrzegając wyraźnej kpiny.

— Tak myślałem. Pamiętam, że gdzieś o tym czytałem, prawdopodobnie w sprawozdaniu z twojego procesu.

— Dlaczego, do cholery, to cię interesuje?

— Zaraz się dowiesz. — Blythe podszedł do unieruchomionej maszyny. Cummins automatycznie podążył za nim. — Powiedziałeś, że potrzebujesz dobrego pomysłu, chociaż nie bardzo wiem, na ile jest on dobry. Kiedy jednak człowiek jest w kropce, warto spróbować wszystkiego. Ostatecznie pozwoli nam to chociaż zabić czas.

Stali naprzeciw pomalowanego na żółto stalowego giganta, którego koła wyrastały na pół metra powyżej ich głów. W kabinie panowała cisza, szyby pokrywała warstwa kurzu i brudu.

— Czy byłbyś w stanie go poprowadzić, Cummins?

— Pytanie. Jasne!

— Więc pierwszą rzeczą, jaką musimy sprawdzić, jest to, czy w zbiorniku pozostało paliwo — powiedział Blythe. — Jeśli tak, i jeżeli silnik działa, mamy szansę na wydostanie się stąd. Gdyby zaś było inaczej, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Chodźmy go zatem obejrzyć.

## Rozdział XVI

Policjant powoli i ostrożnie przemierzał zadymione ulice. Jego mundur był brudny i wymięty. Na prawym biodrze wisiał przypięty do pasa rewolwer.

Był drobnej budowy ciała i dość niskiego wzrostu — jeszcze kilka lat temu nie zostałby przyjęty do służby. Nawet najbardziej liberalne przepisy nie tolerowałyby jego krzaczastej, czarnej brody. Lecz czasy się zmieniają.

Ken Hoare złożył podanie o przeniesienie już dwa miesiące temu. Nienawidził Birmingham i wszystkiego, co było z nim związane — także ludzi. Jego żona marzyła o przeprowadzce na wieś.

Mieli z tym trudności, ale on był wytrwały. W końcu spełniło się jego pragnienie — z dozą nieżyczliwości w głosie sierżant poinformował go, że został przeniesiony i od przyszłego poniedziałku zaczyna pracę w Worcester.

Dla Hoare'a ten poniedziałek nigdy nie nadszedł. Zamiast cieszyć się łatwym i bezpiecznym życiem próbował teraz doprowadzić do porządku rozpętane w Birmingham piekło. Nie udzielono mu zwolnienia ze służby, podobnie zresztą jak żadnemu z policjantów. Wszystkie urlopy zostały odwołane, a Stróże porządku spędzali czas na polu walki — między rannymi i zabitymi.

Do tego otrzymywali sprzeczne ze sobą rozkazy: — Pozostawić rabusiów dla sił ochotniczych. — Skoncentrować się na ofiarach. — Wszystkie siły ochotnicze mają być wycofane za granice miasta. — Zgromadzić policję i regularne wojsko na obszarach szczególnie zagrożonych.

Hoare był zdany na samego siebie — instrukcje były przecież niejasne. Robił więc to, co mógł, czyli niewiele.

Jak można, do diabła, pomóc trupom? Z kolei żywi nie chcą cię znać. Na widok umundurowanego policjanta czmychają w dymy i cienie.

Inna sprawa, że Ken Hoare był obcy w Birmingham. Jako przybysz miał szczególnie ciężkie życie. Kiedyś musiał porzucić swoich przyjaciół.

Posiadał radiostację, dopóki trzech chuliganów nie napadło go w alejach. Dzieciaki, nie miały więcej niż trzynaście, czternaście lat, nosiły niebiesko-białe szaliki i były zdecydowane brać odwet na kimkolwiek lub czymkolwiek reprezentującym władzę.

W parę minut było już po bójce. Uśmiechnął się pod nosem, kiedy usłyszał odgłosy stóp uciekających w popłochu gówniarzy i zobaczył, jak ich sylwetki znikają w wiszącej mgle. Tak jak przystało na sobotnie popołudnie, otrzymał wolną rękę co do metod przywracania porządku.

Przewrócili go na chodnik, lecz szarpnął dwóch z nich za kostki, zanim zdążyli go skopać. Upadli na beton, a kiedy trzeci z nich usiłował przejechać po twarzy policjanta uzbrojonym w stalowy kolec kciukiem, ten znokautował go lewym sierpowym. Trzech unieszkodliwionych — prawo znów odniosło tryumf. Dwie ostrzyżone głowy zderzyły się z przyprawiającym o mdłości odgłosem. Ostatniego obezwładnił nelsonskim chwytem.

— Złamiesz mi rękę!

— Z chęcią skreśliłbym ci kark i jeśli to zrobię, nikt się nawet o tym nie dowie. — Któż zwróci uwagę na trzy trupy więcej, kiedy pełno ich wokoło?

Hoare usłyszał, jak ramię groźnie zatrzeszczało, a kiedy poczuł jego bezwład, odrzucił od siebie napastnika. Nie zwlekając podszedł do pozostałej dwójki, pierwszego rąbnął czubkiem buta w pachwinę, drugi zaś otrzymał silny cios w splot słoneczny. To ich uspokoiło.

Był wściekły. Kiedyś złamał szczękę chuliganowi na St. Andrews. Wywołało to zamieszanie w codziennej pra-

sie. — Przemoc policji — krzyczały nagłówki. Szef zbeształ go. Kiedy jednak w zeszłym tygodniu zabito dziecko, nie ukazało się na ten temat zbyt wiele publikacji. Dziennikarze byli stronnicy, a władze miejskie zbyt wyrozumiałe.

Zagryzł wargi, patrząc jak smarkacze podnoszą się na nogi, stękając i jęcząc. Rozmyślał, czy ich nie wykończyć. Była to wymarzona okazja — żadnych świadków.

Szkoda wysiłku — stwierdził. Zagryzłoby mnie pewnie sumienie... Prawdopodobnie napili się już Weedsprayu i umrą bardziej okrutną śmiercią. Mieć taką nadzieję to nie zbrodnia.

Poszedł dalej i wtedy odkrył, że jego radiostacja jest rozbita. W zasadzie nie miało to znaczenia, ponieważ wzywanie kogokolwiek pozbawione było sensu. Wszyscy oficerowie byli zbyt zajęci. Dręczyła go myśl, że teraz odbębniałby zwykłą papierkową robotę w Worcester. Pocięszął go jednak fakt, że większość sił z okolicy Worcester ściągnięto tutaj do pomocy. Tak więc przeniesienie nie zmieniłoby prawdopodobnie jego sytuacji.

Skierował kroki w kierunku centrum, gdyż nie mógł zawrócić — jego zadanie polegało na kontroli zagrożonych rejonów aż do odwołania. Miał być czujny i unikać kłopotów. Samotny gliniarz niewiele jednak zwojuje. Usłyszał odgłosy dochodzące z pobliskiego kościoła — śpiewano psalmy.

Stał zasłuchany, obserwując ciała leżące przy drzwiach. Spojrzał w górę, aby sprawdzić czy kościół ma wieżę. Nie sposób było tego stwierdzić, ponieważ jeśli nawet miał, to spowijały ją nisko wiszące chmury dymu.

„On powalił mnie na ziemię...”

To nawet , prawda — stwierdził Hoare. Oni wszyscy zostali powaleni, tak jak w psalmie. Podziwiał wierzących. Musi coś być w religii. Nigdy nie miał na nią czasu, a może powinien był go znaleźć. Wówczas lepiej zrozumiał-

by bliźnich. Są przecież tacy, których nie przeraża śmierć, ponieważ wierzą w lepsze życie — pozagrobowe. W sumie nigdzie nie może być gorzej niż tutaj, nawet jeśli istnieje piekło.

Nacisnął klamkę ciężkich, drewnianych drzwi. Pchnął je o kilka centymetrów i zajrzał przez szparę do środka. Scena, jaką zobaczył, wprawiła go w osłupienie: około trzydziestu osób w podwójnym rzędzie ławek. Kiloro martwych leżało na posadzce; ich ciała były sztywne jak korpusy żołnierzyków z ruchomymi kończynami, które popsuły się i zastygły w przeróżnych pozycjach. Inni zaś usiłowali śpiewać psalm.

Hoare mocniej ścisnął klamkę, kiedy obraz dotarł do jego sparaliżowanego mózgu... Niekórzy zmarli wciąż klęczeli w modlitwie, składając niemy hołd swemu stwórcy.

Z miejsca, w którym stał, mógł widzieć tylko niektóre z twarzy. Przypominały one zmartwiałe owoce na pokrzywionych i uschniętych drzewach. Całe kiście zwyrodniałego życia, które rozlewało sok, wysychający w tężejącą masę na słońcu.

Psalm dobiegał końca. Kaznodzieja stojący naprzeciw ołtarza zamknął księgę i skierował się do drewnianego stolika, gdzie czekał przygotowany srebrny kielich i krążek opłatka.

Wspólnota, a właściwie tylko ci, którzy mogli chodzić, ruszyli kolumną do przodu, uporczywie wpatrzni w kielich, rozpychając się, jakby chodziło o miejsce w tramwaju. Kapłan uniósł hostię i złamał ją na cztery części. Ręce mu drżały, a głos nienaturalnie skrzeczał.

- Bierzcie... i jedzcie..., oto ciało moje.

Komunia. Ostatnia wieczerza. Faktycznie — tylko niektórzy przystąpią do następnej. Wino; chciwe dłonie chwyciły ofiarny kielich, usiłując wyrwać go księdzu. Pili głośno i łapczywie.

— Oto krew moja. Pijcie...



Na końcu rzędu kobieta w średnim wieku straciła nagle równowagę, czyniąc nieznaczny ukłon w stronę ołtarza. Runęła wprost na posadzkę. Kilka głów rzuciło spójrzenia w jej kierunku, lecz nikt nie zrobił ani kroku, aby przyjść jej z pomocą. Duchowny nakreślił w powietrzu znak krzyża i podał wino wążemu człowieczkowi.

— Pijcie, a będziecie zbawieni.

Hoare ostrożnie zamknął drzwi i powrócił na obchód ulic. Pragnął się pomodlić, lecz nie wiedział, jakich należy użyć słów. Nigdy wcześniej tego przecież nie robił.

Wtedy usłyszał, jak znów śpiewają w kościele.

„...szybko zapada zmierzch...”

Był wstrząśnięty. Od kiedy wstąpił do policji, śmierć przestała robić na nim wrażenie. Wszyscy ludzie zdają sobie sprawę, że kiedyś muszą umrzeć, to normalna kolej rzeczy, lecz mają jednocześnie nadzieję, że spotka ich to raczej jutro niż dzisiaj. Ci, na których natrafił w kościele, zebrali się, aby oczekiwać na śmierć. Nie próbowali ucieczki jak wszyscy inni. Każdy z nich wypił zatrutą wodę, wiedzieli, że to już koniec. A jednak akceptowali ten fakt, co więcej, niemal radośnie go witali. Coś musi być w tej ślepej wierze, pomyślał policjant, być może pewnego dnia przyjdę do kościoła, aby to odnaleźć.

Minęła noc i słońce znów wzeszło. Jego słaby blask usiłował przeniknąć powłokę dymu, ścielącą się po ulicach. Policjant wszedł w pierwszą po lewej ulicę, aby uniknąć spotkania z tłumami wyrostków. Wydłużył krok, miał nadzieję, że nikt go nie zauważył.

Po pewnym czasie dotarł do bardziej spokojnych rejonów miasta. Typowa dzielnica bogaczy — trzypiętrowe domy z czerwonej cegły stały pośrodku ogrodów, oddzielone żywopłotem i krzakami od ulicy — zaciszne zakątki w rojnym mieście. Oprócz swądu spalenizny trudno było odnaleźć tutaj inne świadectwa szalejącego o kilometr stąd terroru. Ken Hoare zastanawiał się, czy w willach

pozostali jeszcze jacyś mieszkańcy. Jeśli tak, to z pewnością są zadowoleni z widoku policjanta. Niektórzy z nich mogli posiadać jeszcze żywność i napoje w swoich zamownych domach.

Jakiś dźwięk przyciągnął jego uwagę: szuranie, jakby ktoś przekopywał grządki. Przystanął słuchając. Cokolwiek to było, postanowił sprawdzić. Odgłosy dochodziły z ogrodu domu, naprzeciw którego właśnie stał, oddzielonego od drogi laurowym żywopłotem. Przeszedł przez ulicę i podążył żwirową ścieżką. Kopanie dochodziło gdzieś z podwórka, kroczył więc teraz po wąskim pasie krótko skoszonej trawy. Posuwał się prawie bezszelestnie, chciał jak najlepiej ukryć swoją obecność.

Długi, szeroki ogród, otoczony wysokim ceglany murem rozciągał się z tyłu domu. Była tam plantacja krzewów, trawnik obsiany kwiatami i trochę dalej — warzywne grządki. To właśnie tutaj ktoś zawzięcie kopał. Wysoki człowiek z rzadkimi, siwymi włosami, w ciężkich, rogowych okularach. Policjant dostrzegł, że łka, a łzy skapują na ziemię. Na twarzy, oprócz wyraźnego smutku, malowały się dobroć i wyrozumienie.

Hoare podszedł bliżej. Mógł teraz zobaczyć wykopaną jamę — duży prostokąt, długi na dwa metry i połowę tego szeroki. Człowiek stał w środku, przerzucając ziemię na wysoki kopiec, który obsuwał się częściowo do rowu w postaci miniaturowej lawiny. Pracował wytrwale, mrużąc coś do siebie. Nagle podniósł głowę i ujrzał obserwującego go policjanta. Znieruchomiał, a łopata wypadła mu z rąk.

— Więc już wiecie? — Opuścił głowę, słowa były ledwie słyszalne.

Hoare zbliżył się do niego, bacznie mu się przyglądając. Ręce siwego mężczyzny zadygotały, dolna warga wyraźnie mu drżała.

— Co wiemy? — zapytał policjant.

— o tym, co tu robię.

— A co pan robi?

— Kopię grób, oczywiście.

— Rozumiem, ale dla kogo?

— Dla mojej żony. Przecież dobrze o tym wiesz.

— Niech pan mi wszystko o sobie opowie. Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Jak się pan nazywa?

— Peters — odpowiedział mężczyzna i wyskoczył z rowu. — Doktor Henry Peters. Zabiłem ją, to znaczy Elbę i nie zamierzam wymyślać żadnych kłamstw na ten temat. Tak czy owak, umarłaby za dzień, najwyżej dwa. A ja nie mogłem znieść jej cierpienia. Otrzymała zastrzyk miłosierdzia. Jeśli chcecie, złożę zeznanie, podpiszę też oświadczenie, że uczyniłem to z własnej, nieprzymuszonej woli.

— Nie, to nie będzie konieczne. — Policjant w zamyśleniu skubał swą brodę. — Widzisz, nikt więcej o tym nie wie. Tylko ja i ty... i nie jestem pewien, czy wyraźnie słuchałem, co do mnie mówiłeś.

Peters wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. — A więc... więc nie przysłali cię, abyś mnie aresztował?

— Nie, nie mam nakazu. Usłyszałem tylko kopanie i przyszedłem zerknąć.

— Chcę pogrzebać ją tutaj, gdyż nie mam innego wyjścia. Na początku działały jeszcze służby cmentarne, lecz zmarłych było zbyt wielu. Nie dawali już rady. Szpitale przestały pracować, a w kostnicach nie wetknąłbym nawet paka, prawdzie mogłem skorzystać z masowych kremacji... lecz nie chcę, aby Elsa spłonęła z tuzinami innych. Nie miałbym nawet pewności, czy otrzymałem właściwe prochy.

— Nie przeszkadzaj sobie. — Ken Hoare usnęchnął się przyjaźnie. — Jeśli chodzi o mnie, to bierzesz udział w wykopkach.

Doktor Peters powrócił do częściowo wykopanej ja-

my, podniósł łopatę i spojrzął na policjanta z wyrazem zamyślenia na twarzy.

— A'propos — zapytał — czy policja wie, że w mieście pojawił się tyfus?

— Tyfus?

— Dwa wypadki, o ile mi wiadomo. Sam stwierdziłem tylko jeden. Przyprawdzono mi chorego, kiedy przybyłem do szpitala East Birmingham, aby sprawdzić, czy mogę być w czymś pomocny. Młody chłopak. Dwóch facetów i dziewczyna przynieśli go na rękach. Zrobiłem wszystko co tylko było możliwe — siedziałem z nim dwa dni i dwie noce, lecz nie udało mi się go ocalić.

— Dobrze zrobiłeś mówiąc mi o tym — stwierdził Hoare. — Wróć i poszukam kogoś wyższego stopniem, aby można było rozpowszechnić tę wiadomość.

Schylony doktor kopał teraz ze zdwojoną energią. Pragnął wypełnić ten nieprzyjemny obowiązek jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Był to jego dług wobec Elsy.

Hoare maszerował szybkim krokiem, głęboko zatopiony w rozmyślnościach. Wieść o wybuchu epidemii tyfusu była bardzo ważna. Im szybciej podniesie alarm, tym lepiej.

Jego rutynowa ostrożność tak osłabła, że nie spostrzegł, ani nie usłyszał dwójki wyrostków, którzy podążali za nim już od pewnego czasu. Kilka metrów dalej zaatakowali go bez uprzedzenia. Dysk śmierci dosięgnął swego celu. Policyjny kask nie stanowił ochrony dla czaszki.

Śpiewając sprośną pieśń tryumfu, zabójcy odzyskali swój dysk, wyszarpując go z czaszki. Starannie wytarli go w mundur ofiary. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni zardzewiałą gwóźdź i uczynił nim na powierzchni broni ryse.

— Co to takiego? — zapytał jego towarzysz.

Kolejny gliniarz! — Uśmiechnął się młodociany morderca. — Nie chcę stracić rachuby. Miałem farta, że

tak od razu rozpieprzyłem mu ten hełm. Chodźmy, poszukamy następnego gnojka. Teraz twoja kolej. Mac.

## Rozdział XVII

— To się nie może udać — oświadczył Cummins, patrząc na potężny buldożer. — Jak żyję nie słyszałem o bardziej idiotycznym pomysle.

— Jeśli masz lepszy — uciął Blythe — słuchamy cię.  
— Oczywiście, że to ryzykowne. Mamy jedną na sześćdziesiąt szansę na sukces. Z drugiej jednak strony, buldożer to autentyczny czołg, a zbiorniki wypełnione są paliwem do połowy. Aby zatrzymać ten pojazd musieliby nas wysadzić w powietrze.

— I prawdopodobnie tak uczynią.

— Nie sądzę. W każdym razie nie na granicy. Nie posiadają broni cięższej niż karabiny, a jeśli siądziemy nisko w szoferce, kule nas nie dosięgną.

— I starujemy wszystko, co stoi na naszej drodze, łącznie z zasiekami z kolczastego drutu? — zapytał Cummins.

— Dokładnie. Myślę, że będzie najrozsądniej, jeśli Carol zostanie tutaj. Rozpętamy piekło tym numerem.

— Nie. — Carol stała, trzymając wyzywająco dłonie na biodrach. — Przeszłam jak dotąd wszystko, będąc przy tobie i nie opuszczaj mnie, kiedy szykuje się wielki finał.

— Możesz być pewna, że nie dojdzie do tego. — Cummins przycisnął ją do siebie swym ramieniem. — Nie ruszę się bez ciebie. To będzie nasza ostatnia wspólna wycieczka i kiedy będziemy już po drugiej stronie, wtedy was puszcze wolno. Na razie jednak żadnych sztuczek!

— W porządku, niech jedzie z nami. — Blythe nabił i zapalił fajkę. Pykał odczuwając rosnącą potrzebę wdycha-

nia tytoniowego dymu, mimo iż pierwsze pragnienie nikotyny zostało już zaspokojone. Na jego twarzy odmalował się łagodny uśmiech.

— Czemu się śmiejesz? — zapytała Carol.

— Powiedziałaś: wielki finał.

— Tak. I co z tego?

— Nic. Po prostu przypomniała mi się pewna zabawa z mojej młodości. Właśnie wielki finał stanowił jej punkt kulminacyjny.

— Opowiedz — zachęciła Carol.

— Pewnego dnia stwierdziliśmy z kumplami, że musimy wymyślić jakieś święto, święto które by było tylko dla nas, święto w przeciwieństwie do Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy nie nudne, bo całkowicie nasze.

— To ciekawe — podchwyciła.

Blythe popukał fajką o gąsienicę buldożera, aby rozbić zbyt mocno ubity tytoń.

— Wymyśliliśmy, że będzie to święto soków.

Cummins prychnął z szyderstwem w głosie. Blythe trochę zmieszany spojrział niepewnie na Carol z pytaniem w oczach, czy ma mówić dalej.

— Święto soków?

— Tak. Kupowaliśmy jak najwięcej różnych owoców, a potem przerabialiśmy je na soki.

— No dobrze. Ale na czym polegał ten wielki finał?

— spytała zafrapowana.

Blythe spojrział na Cumminsa. Ten odwrócony plecami świdrował palcem w ucho.

— Wielki finał był zwieńczeniem naszego święta. Mieliśmy przygotowane surowe jajka. Należało rozbić je sobie na Rowach w momencie, gdy zadzwoni nastawiony wcześniej budzik. Nikt nie wiedział, o której godzinie to nastąpi, oprócz osoby, która go nastawiła. Ta z kolei nie brała udziału w wielkim finale. — Blythe coraz szybciej wypowiadał słowa.

— Dzieciak z ciebie — oceniła wyraźnie rozbawiona Carol, szczypiąc Blythe'a filuternie w policzek.

— Co roku ilość jajek rosła o jedno na osobę — wyrzucił z siebie przełamując napięcie, które aż dotąd usztywniało mu struny głosowe.

— Skończ już, Blythe, bo nie wytrzymam - uciał szorstko przywołane przez Rona wspomnienia Cummins.

**Skarcony Blythe przygryzł wargę. Nie pilnowana fajka zgasła.**

— Więc wracając do rzeczy. Carol musi leżeć płackiem na podłodze kabiny. Zresztą tak jak i ja. Czy potrafisz uruchomić automatycznego kierowcę, Cummins?

— Jasne. Lecz na szosie będę musiał kierować ręcznie. Przez rząd domów mimo wszystko nie udałoby się nam przebić.

— Okay. Wszyscy padniemy na podłogę podczas taranowania zasieków. Wyruszmy stąd na południowy wschód. W ten sposób zostawimy strażnicę daleko za sobą i jedyne, co może sprawić nam kłopot, to linia żołnierzy rozstawionych w odległości pięćdziesięciu metrów od siebie. Zaskoczenie jest naszym największym atutem. Kiedy w końcu dostrzegą nas pośród dymów, będzie już po wszystkim. Rozerwawszy ogrodzenie popędzimy dalej tak daleko, jak to tylko możliwe. Nikt z nas nie chce przecież zakończyć podróży w drewnianej szopie koło punktu kontrolnego. Będzie znacznie lepiej, jeśli zgarną nas do jednego z głównych posterunków, gdyż przesłuchani zostaniemy przez wyższego oficera. W ten sposób mam szansę im udowodnić, kim jestem.

— Mów za siebie, Blythe. Przy pierwszej sposobności wyskakuję z maszyny i zostawiam was w polu.

— Jasne. Każdy pilnuje swego nosa.

Wspięli się na pokład buldożera. Kabina operatora była mała, przeznaczona dla jednego człowieka i dopiero po pokonaniu pewnych trudności Ron i Carol usadowili



się na podłodze. Ron poczuł, że dziewczyna drży. Pocałował ją w czoło.

— Przykro mi kochanie, że musisz jechać tym pudłem.

— Nie mam innego wyjścia — uśmiechnęła się smutno. — Ściskam za nas kciuki.

— W tej kabinie prawie wszystko mam ściśnięte. No dobra Cummins, jeśli jesteś gotowy, ruszamy.

Potężny silnik ocknął się do życia tak swobodnie, jakby stał beczynnie zaledwie od przerwy śniadaniowej Maszyna zakołysała się i zawibrowała, kiedy gaśienice zaczęły pracować, wciągając ich na małą górkę.

Cummins wychylił się do przodu, spoglądając na pole. Widoczność nie przekraczała piętnastu metrów, jednak nie miało to większego znaczenia, dopóki łatwo było ustalić kierunek jazdy. Dym miał swoje wady i zalety.

— Prowadź idealnie prosto, Cummins, i dodaj trochę gazu. A'propos, jakie są dane techniczne tego buldożera? Maksymalna prędkość, zużycie paliwa, itd.

— Trudno określić podczas zwykłej jazdy — odparł Cummins. — Grzejemy pełną parą — licznik wskazuje 30 kilometrów na godzinę. Podczas pracy, kiedy musisz stawać, cofać się, znów ruszać, buldożer o mocy dwustu koni zużywa dwanaście do piętnastu litrów. Mamy pół zbiornika, czyli około stu litrów, a to oznacza osiem godzin pracy. Lecz nie myślisz chyba, że będziemy musieli tak długo jechać. Dla pewności przypominam, że przy najbliższej okazji was opuszczę. Czy nastawić mam wtedy bieg przeznaczony do usuwania przeszkód?

— Nie, dzięki. Zanim wyskoczysz proszę sprawdź tylko, czy pracuje automatyczny kierowca.

Kabina zachybotwała na znak protestu przeciwko nadmiernej prędkości. Wielki krzew głogu wyrwany został z korzeniami i włókł się za nimi przez kilka minut, zanim

nie zniknął pod gąsienicą. Od teraz mieli przed sobą płaską murawę; maszyna nabierała szybkości.

— Gdzie jesteście, Cummins?

— Downhill. Do zasieków już niedaleko.

— Bądź gotowy, aby schylić głowę.

— O, Chryste! Uwaga!

Cummins opuścił lemiesz, potężny stalowy taran. Równoległe rzędy drutów poruszyły się gwałtownie i stojący na posterunku żołnierz podniósł karabin do góry. Na jego twarzy malowało się najwyższe zdumienie.

— Padnij!

Rozległ się huk wystrzału. Pocisk trafił w karoserię. Przerażliwy łoskot odbił się echem w zamkniętej kabinie. Zbiegowie poczuli jak pękają umocnienia i usłyszeli nagłe trzaśnięcie napiętego drutu, który świsnął w powietrzu. Słupki zostały wyrwane. Usłyszeli więcej strzałów, lecz już z oddali, po lewej i prawej stronie. Kule uderzały o blachy pojazdu i odskakiwały.

Cummins podniósł głowę, rozejrzał się i szybko ją schował. W samą porę — wzmocnione zbrojeniem boczne okno rozsypało się na wszystkie strony. Na podłogę spadł kawałek spłaszczzonego ołowiu,

— Mocne, lecz nie kuloodporne — mruknął Cummins wyszczerzając zęby.

— Co z tym żołnierzem? Wystrzelił tylko raz.

- A czy ty byś jeszcze strzelał, gdyby drut kolczasty nagle zaorał ci gębę? — zaśmiał się Cummins. — Operacja plastyczna będzie kosztowała armię fortunę.

Carol pobladła. Poczula się słabo. Tutaj, już po drugiej stronie jej przerażenie wzrosło. Człowiek wypełniający swój obowiązek został w najlepszym wypadku oszczędzony na całe życie. Cummins to zatwardziały morderca, po prostu maniak. Cieszył się, że uszedł cało. Lecz oni wszyscy przecież mieli udział w tej zbrodni.

— To tylko wypadek. - Blythe usiłował pocieszyć ją, wiedząc co chodzi jej po głowie. — Nic nie mogliśmy zrobić.

Buldożer sunął naprzód, tratując krzewy i młode drzewa. Strzelanina na moment ucichła. Dym rozłożył wokół nich bezpieczną, lecz ulotną zasłonę.

— Na szczęście nasz pojazd ma gaśnice — powiedział Blythe. — Mielibyśmy kłopoty z oponami.

Kilka minut później wjechali na szosę, miażdżąc rosącą wzdłuż niej żywopłot. Gaśnice zaterkotały na asfaltowej nawierzchni.

— Jesteśmy na trasie B-53 — stwierdził Blythe, rozglądając się w obu kierunkach. — Dymy rzedną i już za chwilę nie będą nas chroniły: Jeszcze trochę... O cholera! Patrzcie na tego sukinsyna!

Mały samochód wyskoczył spoza mętnej kotary dymu, trzydzieści metrów na lewo. Kierowca usiłował hamować, lecz nie miał szans umknąć olbrzymowi, który zajmował całą szerokość drogi. Carol krzyknęła i odwróciła głowę. Blythe ujrzał okropne zderzenie: samochód wpadł w pośhąg i huknął w potężną maszynę. Trach! Szkło i metal rozprysły się wzdłuż drogi i zanim ustało drżenie kabiny, nastąpił wybuch. To eksplodował zbiornik z paliwem — mały samochód wyleciał w powietrze.

— Jedź dalej! — krzyknął Ron. — Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem.

— Nie ma obaw — Cummins ponownie wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Chyba nie myślisz, że zatrzyma nas taki paproch. Ma to, na co zasłużył.

— Ron — jęknęła Carol. — Czy nie możemy stanąć i poddać się zanim zginie ktoś następny? Jak długo jeszcze będziemy jechać?

— Jeszcze trochę. Jesteśmy teraz znów na wsi i za moment powinniśmy być widoczni na drodze. Patrz, wychodzimy z dymu. Oto słońce! Czyż nie jest piękne? Nigdy nie myślałem, że znów zobaczę czystość jego światła.

To była prawda. Powitała ich skapana w słońcu okolica — drzewa i krzewy ogołocone z liści, które opadły na drogę, tworząc żółto-brązowy dywan poniżej młocących gąsienic. Cała wspaniałość jesiennego pejzażu leżała teraz przed nimi.

— To jakby inny świat — westchnęła Carol. — Tak, jakbyśmy byli w jakimś wstrętnym miejscu przez wieczność, a teraz wrócili do domu.

— **Na dół! — Blythe ściągnął ją na podłogę.**

Usłyszeli jak rośnie hałas. Ryk zlewał się z tym, którego źródłem była praca silnika buldożera. Warkoczące punkty na niebie! Wciąż rosły, przybierając konkretne kształty dopiero, gdy przebiły się przez całun dymu. Trzy maszyny tropiły uciekinierów.

— Helikopetry!

Ujrzeni siedzące im na plecach śmigłowce, które krążyły piętnaście, dwadzieścia metrów ponad buldożerem.

— Eskortują nas — powiedział Blythe i odetchnął z ulgą, gdyż obawiał się, że zasypią ich ogniem karabinowym.

— Co robić, do diabła? — Cummins spojrział w górę, oblizując spieczone wargi. Pierwszy raz mieli okazję ujrzeć w jego oczach strach.

— Wał do lasu rosnącego u zbocza góry. — Blythe wskazał mu kierunek jazdy. — Trzysta, może czterysta metrów stąd jest spory kompleks leśny, stare dęby, sosny, buki.

— Nie bądź idiotą. Ta maszyna nie jest w stanie pokonać drogi pośród takich drzew. Małe drzewka i krzewy — to co innego.

— Wcale nie musi tego robić! Spójrz, nie umknijemy im, mają nas jak na dłoni. Ja i Carol poddamy się, a ty przedtem dasz nogę.

— Nie będziemy się rozdzielać. — W głosie Cummin-

sa brzmiała wyraźna groźba. Nacisnął do końca pedał gazu, wyglądając w kierunku drzew.

Carol spojrzała ukradkiem na Blythe'a, po czym utkwiała wzrok w oknie, mocno zaciskając wargi. Kilka minut później orali aleję wśród srebrnych brzoźowych zagajników i gęstych paproci. Helikoptery wisiały bezpośrednio nad nimi, śledząc zdobycz, która wpadła w pułapkę.

Sękate pnie wyrastały posepnie wokół wielkiego pojazdu, jak kolumny jakiejś mrocznej świątyni. Gałęzie jodeł utworzyły baldachim, przez który prześwitywało niebo. Dziwacznie załamane promienie słońca przenikały ponure wnętrze lasu. .

Droga buldożera i jego pasażerów dobiegła końca na małej, trawiastej polanie. Dalej nie można było jechać.

Cummins wyłączył silnik. Obroty gwałtownie spadły, po czym maszyna zgasła na dobre. Teraz, kiedy umilkł ryk buldożera, helikoptery robiły znacznie więcej hałasu. Kołowały jak pustułka, która zawisała w powietrzu czekając, aż przerażona mysz zdradzi swą kryjówkę.

Nagle zatoczyły nad lasem głęboki łuk i ruszyły tam, skąd przyleciały. W końcu zapadła cisza.

— Dali nam spokój — rzekł spoglądając w niebo dezorientowany Cummins.

— Na jakiś czas — zauważył Blythe. — Z pewnością wrócą. Ci sami lub inni. Z całą pewnością uznali nas za schwytanych. Teraz podają pozycję policji i gliny są już w drodze, aby okrążyć las.

— Lepiej ruszajmy stąd.

— Ale dokąd? Naokoło łyśa równina z wyjątkiem jednego czy dwóch lasów takich jak ten. Gdybyśmy byli w mieście, lub chociaż na przedmieściach, to co innego. Do tego warto, abyś wiedział, Cummins, że Carol i ja wcale nie chcemy uciekać. Nie mamy po co. Tobie zaś radzę, abyś zaszył się tutaj aż do zmroku i spróbował prysnąć pod osłoną nocy.

— Mówiłem już, że trzymamy się razem, aż będę zupełnie bezpieczny.

— Nie bądź głupi. Oni przygotowują teraz polowanie na ludzi. Mają psy gończe i mogą strzelać. Nie mielibyśmy szans we troje. Lecz jeśli Carol i ja wyjdziemy na skraj lasu i poddamy się... być może nie przyjdzie im do głowy, aby cię szukać.

— Niby dlaczego?

— To nieprawdopodobne, aby wiedzieli, ilu ludzi było w maszynie. Kiedy wydamy się w ich ręce, nie pomyślą o tym, że w lesie jest jeszcze ktoś. W ten sposób twoje szanse rosną.

— Jaką mogę mieć pewność, że mnie nie zdradzicie?

— Żadną. Musisz nam zaufać. Lecz obiecuję ci jedno

— nie wspomnę o tobie ani słowem w ciągu dwudziestu czterech godzin. Co ty na to?

— Zostaw mi dziewczynę. Idź i złóż zeznania, a rękę, że jutro puszczę ją nietkniętą.

— Nie ma mowy. Zapomniałeś, że schwywanie ciebie jest dla nich czymś ważniejszym, niż życie zakładnika. Carol nie uchroni cię od pojmania, a ty osiągniesz jedynie tyle, że zastrzelą was oboje. Przyjmujesz zatem moją propozycję, czy nie?

— W porządku. — Cummins sprawdził, czy pistolet jest załadowany, wsadził go za pas. Wyciągnął zaś toporek i krzepko zacisnął palce na jego trzonku. — Jeśli mnie wydacie<sup>^</sup> przysięgam, dorwę was kiedyś i wykończę oboje.

— Dałem ci przecież słowo. — Blythe odwrócił się, ujął Carol za ramię i razem ruszyli w kierunku skraju lasu. Ogarnęło ich nagle poczucie wolności. Trudno im było uwierzyć, że właśnie teraz na zawsze rozstają się z Cumminsem. Nigdy więcej nie będzie już śledził ich każdego ruchu.

Słońce poraziło ich oczy, kiedy stanęli na otwartej przestrzeni. Białe, puszyste chmury mknęły po bładonie-

bieskim niebie. Wszystko wokół stanowiło obraz ciszy i ukojenia. Birmingham znajdowało się chyba tysiące kilometrów stąd... Gawrony zakrakały skrzekliwie, kiedy sfrunęły stadem na leżące nieopodal pole.

— Ciekawe, czy mu się uda? — rozmyślała Carol. Mimo woli zadrżała na myśl o człowieku, który uczynił z nich więźniów.

— Możliwe, choć raczej w to wątpię. — Ron objął ją w pasie ramieniem. — Ze swej strony dotrzymam umowy, lecz ani myślę wylewać łez rozpacz, kiedy atak komandosów zmiecie go z powierzchni ziemi. Obecnie mam ważniejsze sprawy na głowie.

Weszli na trawiasty pagórek i ujrzeli linię oblawy. Owczarki niemieckie ujadały i szarpały się wściekle na smyczach.

Ron Blythe i Carol Evans stali w miejscu, spokojnie czekając na policję. Dla nich gehenna ostatnich dni dobiegła już końca.

## Rozdział XVIII

— Taak, twoja historia jakoś się wreszcie układa. — Inspektor wydziału śledczego spojrział na stojących przed nim dwóch mężczyzn — oficerów straży, którzy obstawiali drzwi małego pokoju. Trzeci z nich oparty był plecami o okno.

— Czy trzeba było aż trzech dni, aby to sprawdzić? — spytał Blythe.

— Mamy setki przypadków, więc musiałeś czekać na swoją kolej. Będziesz oskarżony o kradzież pojazdu i prowadzenie go w okolicznościach niebezpiecznych dla ruchu drogowego. Dojdzie do tego ukrywanie ściganego przestępcy. Dlaczego nie powiedziałeś nam, że Cummins był z wami?

— Poszedłem z nim na układ.

— Nie rób nigdy interesów ze zbiegłymi mordercami.

— A wy skąd wiecie o Cumminsie?

— Chyba nie myślisz, że uwierzyliśmy w twoje opowiadanie. — Detektyw uśmiechnął się nieznacznie. — Od samego początku podejrzewaliśmy, że w pojeździe były trzy osoby. Przetrzęsaliśmy cały las.

— Więc znaleźliście go?

— Tak, lecz nic poza tym. Zabił jednego z naszych ludzi, a drugiego poważnie zranił. Nigdy by do tego nie doszło... gdybyśmy wiedzieli, że jest w lesie.

Carol zbladła. Ron nabił i zapalił fajkę. Usiłovali obciążyć ich winą, lecz Blythe za żadną cenę nie chciał do tego dopuścić.

— Przykro mi, ale nie mieliśmy innego wyjścia — po-



wiedział wypuszczając chmury niebieskiego dymu. — Kierowała nami obawa o nasze życie.

— I co jeszcze?

— Muszę z kimś porozmawiać, z szefem Zarządu Wodnego, z szefem pożarnictwa... a nawet przez gorącą linię z rządem.

— Myślę, że członkowie parlamentu mają pełne ręce roboty. — Policjant wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu. — Sprawdzę jednak, czy jest ktoś, kto chciałby cię wysłuchać. Kierownikiem wszystkich działań jest minister spraw wewnętrznych, od niego też wiem, iż władze nie mają pojęcia, jak zażegnać katastrofę. Być może więc zaproszą do współpracy kogoś zupełnie nowego... Och, byłbym zapomniał, przekazałem twoją informację o wybuchu epidemii tyfusu. Jak dotąd nie otrzymaliśmy żadnych doniesień na ten temat, lecz z drugiej strony nie spenetrowano dotąd samego centrum.

Drogi i linie kolejowe prowadzące do Birmingham były całkowicie puste. Handlarze złomem przybyli ze wszystkich stron kraju ze sprzętem do miażdżenia wraków na małe kostki metalu. Ludzie ci pracowali z entuzjazmem. Nieoczekiwane eldorado dało im fortunę. Specjalne dokumenty wydane przez ministerstwo ochrony środowiska zezwalały im na nieograniczony wywóz złomu.

Trudno było odróżnić rdzę od zaschniętej krwi, nikt zresztą nie przyglądał się dokładnie. Od czasu do czasu znajdowano pod siedzeniami ludzkie szczątki. Furgonetki były pod ręką, aby natychmiast wywieźć je za miasto. Liczba ofiar mogła być oszacowana jedynie z grubszą, gdyż wiele ciał strawił ogień. Prawdziwe dane nigdy nie będą znane. Odbywało się teraz mnóstwo pogrzebów; ich ilość zależała od wydajności pracujących pełną parą krematoriów. Jeśli było to możliwe, trupy identyfikowano na podstawie kart honorowych krwiodawców, praw jazdy

czy innych dokumentów. W pozostałych przypadkach zwłoki fotografowano przed wrzuceniem do pieca. Krewni będą mieć szansę znalezienia swych bliskich, jak to określono, „we właściwym czasie”. Na razie służby porządkowe otrzymały rozkaz usunięcia trupów tak szybko, jak to tylko możliwe. Udostępniono wodę pitną, a siły ochotnicze rozdzielały ją w wielu punktach na przedmieściach. Stały po nią zdyscyplinowane kolejki. Wielu ludzi poszło jednak za daną im radą i korzystało z ujęcia ciepłej, nieskażonej wody.

Kryzys minął.

Zaopatrzenie w nadające się do spożycia płyny znacznie wzrosło i zgodnie z instrukcjami ludzie pozostawiali krany otwarte. Na każdej ulicy słychać było szum tryskającej wody, która spływała wraz z trucizną do kanalizacji.

Pozostał tylko ogień. Języki płomieni lizały zadymione niebo pośród kaskad iskier. Upał wydawał się nasilać z dnia na dzień. Budynki jaśniały czerwienią od żaru, wybrzuszały się i waliły w gruzy. New Street, Corporation Street, Colmore Row i Victoria Square tworzyły obszar zupełnego zniszczenia.

Później przyszła woda: tysiące litrów wypompowywano z kanału. Dzień i noc zalewano nią miejsca pożarów. Na początku płomienie okazywały jej pogardę; wyzywająco skwiercząc i sycząc wciąż pożerały jądro miasta.

W ciągu trzech dni postępy ognia zostały zatrzymane, a czwartego zmuszono żywioł do odwrotu. Następne czterdzieści osiem godzin nieustannego rozpylania wody zadecydowało o losach bitwy. Czarne, mokre popioły płynęły w dół zalanych ulic, a dym rozproszył się w powietrzu. Pogoda także uległa zmianie. Z zachodu przyszły ciemne chmury, przynosząc zimowy deszcz. Ostatnie ognie zdławiła gwałtowna ulewa. Batalia o Birmingham została wygrana. Teraz pozostało tylko zrobić porządki i zacząć odbudowę.

Premier znowu przemówił do narodu, pierwszy raz od ponad tygodnia.

„Z zadowoleniem mogę stwierdzić, że sytuacja w Birmingham została opanowana. Koszty zniszczeń można w obecnej chwili oszacować jedynie orientacyjnie. Są one rzędu wielu milionów funtów. Mimo tego miasto zostanie odbudowane i przybierze swój dawny wygląd. Nic nie zwróci nam jednak życia najbliższych, tych których pochłonęła katastrofa. Nigdy nie będziemy w stanie podać dokładnej liczby ofiar, gdyż wiele ciał spłonęło w ogniu. Wiemy, że przekracza ona z pewnością siedem tysięcy.

Katastrofa tego rodzaju nie może się już więcej powtórzyć. Naszym zadaniem jest określić, w jaki sposób trucizna dotarła do mieszkań. Z wielu powodów nie podjęto pewnych środków ostrożności. Czy można było całkowicie odciąć wodę zaraz na początku? Myślę, że nie. Działanie naszych sił ochotniczych udowodniło, że popełniliśmy jednak błędy, których można było uniknąć. Po pierwsze, źle rozwiązano problem komunikacji na obszarze miasta. Po drugie, nie podjęliśmy radykalnych działań prewencyjnych wobec przestępców. Pewne pasożytnicze grupy społeczne wykorzystały nieszczęście. Zbrodnie nie zostaną ukarane z prostej przyczyny: wielu zabójców podzieliło los własnych ofiar.

Na kilku kilometrach kwadratowych zatriumfowała na krótki czas anarchia. Wyrazy krytyki są nieuniknione i to zarówno pod adresem sił zbrojnych, policji, władz lokalnych, jak i rządu. My jako partia nie powinniśmy puszczać tych uwag mimo uszu.

Jak wspominałem, obecnie zapanowaliśmy nad sytuacją. Zrobiliśmy co tylko możliwe. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że właściwe działania zostały podjęte zbyt późno.

Jak wam wszystkim wiadomo, dziś w południe poprosiłem parlament o udzielenie mi votum zaufania. Wkrótce

będzie wszystkim znane stanowisko deputowanych, a ja tymczasem muszę z przykrością poinformować, że zwołuję wybory powszechne...”

Premiera postawiono w stan oskarżenia i w trakcie procesu uznano go winnym. Zawsze musi być jakiś kozioł ofiarny. On sam wiedział o tym i zaakceptował ten fakt. A społeczeństwo odda swoje głosy, utrzymując przy władzy, bądź obalając obecny rząd.

Blythe usiłował zatelefonować do Margaret w ciągu trzech kolejnych dni. Za każdym razem nikt nie podnosił słuchawki. Nie był szczególnie zmartwiony. Nie wiedziałby, co powiedzieć, gdyby po drugiej stronie zabrzmiał jej głos. Nie wiedziałby nawet wtedy, gdyby stanął naprzeciw swej żony.

Myślał o Carol, która leżała w hotelowym łóżku i jednocześnie o Margaret. Próbował porównać je z sobą. To było niemożliwe — dwie kobiety całkowicie do siebie niepodobne. Lecz nie zawsze tak było. Kiedyś Margaret była młoda, atrakcyjna, a co za tym idzie — seksowna. Małżeństwo ją odmieniło, a Ron miał w tym swój udział.

To spotka także i Carol. Kilka lat i historia się powtórzy: inne kobiety, miłosne przygody, kłótnie małżeńskie. Ona się zmieni, a on pozostanie ten sam. Taka powtórka ze znanego już scenariusza.

Boże, bolała go głowa. Ból pulsował od kilku godzin, a całe ciało miał pomimo chłodu złane potem. Szedł do windy w stanie transu, obserwując siebie i innych jak gdyby z oddali. Ujrzał zielone światło. Wcisnął guzik. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i po chwili stanął w środku małej kabiny. Tutaj było więcej guzików — ponumerowane od jednego do dziesięciu; próbował przypomnieć sobie, na którym piętrze ma wysiąść. Na czwartym, oczywiście. Jego mózg działał w zwolnionym tempie.

Winda stanęła i drzwi znowu były otwarte. Przed nim

ciągnął się długi korytarz; pokoje, wiele pokoi, wszystkie miały swój numer. Przystanął. Gdzie to, do diabła, było? Czternastka czy piętnastka?

Zdecydował się na czternastkę. Otworzył drzwi z wahaniem, jak winowajca. Zasłony były zaciągnięte, lecz światło, które przez nie przebijało wystarczyło, aby rozpoznać kilka szczegółów. Odetchnął z ulgą — osoba śpiąca w łóżku to Carol.

Zamknąwszy za sobą drzwi, podszedł chwiejnym krokiem do okna i rozsunął zasłony. Na zewnątrz lało, strugi deszczu smagały szybę.

Odwrócił się i ujrzał wysokie lustro. Studiował własne odbicie, ledwie poznając zaognioną i pokrytą plamami twarz. Nagła fala strachu: szarpnął za koszulę, zrywając wszystkie guziki i odsłonił owłosiony, muskularny tors. Zatkąło go, kiedy ujrzał masę czerwonych punkcików i upadłby na podłogę, gdyby nie chwycił w porę poręczą krzesła.

— Ron! — Carol usiadła na łóżku z wyrazem przerażenia na twarzy. — Co się stało?

Patrzył uważnie na jej odbicie w lustrze. Nie odpowiadał. Nie ufał własnemu głosowi. Nie wiedział zresztą, co ma jej powiedzieć.

— Ron. Coś nie tak, prawda?

— Zgadłaś.

— Lecz co? Ty... ty chyba nie wypijeś tej... zatrutej wody?

— Nie — pokręcił głową próbując się uśmiechnąć. — Weedspray sływa teraz do kanalizacji, wszyscy są bezpieczni. Myślałem o tym kierowcy... Jak on się nazywał? Tamberley czy Timberley, coś w tym stylu. Pomyśl tylko, co osiągnął. Zniszczył całe miasto i doprowadził do upadku rządu. Tego nie dokonali nawet trockiści. Przynajmniej nie tak skutecznie... wszyscy, co do jednego, spadli ze stołków.

— Bredzisz jakbyś miał delirium. Ból głowy dokucza ci już od kilku dni...

— Tak, ból głowy. To tylko jeden z objawów.

— Objawów czego?

— Pamiętasz ten magazyn? Ten, w którym był włóczęga?

— **Tak, lecz...**

— A Paula Merricka?

— Słuchaj, mówisz zagadkami. Zadzwoń po lekarza — zrzuciła z siebie nocną koszulę i naga wstała z łóżka.

— Carol!

— Tak?

Ron zdarł z siebie resztę ubrania. Carol poczuła jak krew pulsuje jej w skroniach, kiedy ujrzała skupisko czerwonych guzów rozprzestrzeniających się na dół, w kierunku jego brzucha.

— Czyż nie jest to ironia losu? — zaśmiał się chrapliwie Ron. — Przeżyliśmy wszystko, co najpotworniejsze, przezwyciężyliśmy nawet pragnienie, lecz jeden zasrany, schorzały włóczęga...

Carol zaczęła się ubierać, zapinając roztrzęsionymi pakami guziki. Po chwili wyszła. Ron został sam.

Dla większości ludzi był to koniec długiego koszmaru. Dla Rona Blythe'a — dopiero początek.

## Epilog

Zając kicał po trawiastym poboczu wąskiej, krętej, górskiej drogi. Jego długie czujnie postawione, wyłapywały niewyraźne odgłosy nocy. Powyżej, głęboko w lesie, lisica zawodziła swą godową pieśń — chropowaty, przeciągły, udręczony płacz roznosił się echem po całej dolinie. Zając zadrzał i zerwał się do ucieczki.

Noc miała posmak śmierci. Nawet powiewy wiatru zapłątane w drzewach były nieprzyjemne, niosły ze sobą zapach wroga.

Czuły słuch łagodnego, brązowego zwierzęcia wyłowił z głuszy ryk ciężkiego silnika. Ziemia zadrzała, a potem dwa snopy światła rozcięły ciemności. Zwierzę przywykło do przejeżdżających pojazdów, uznawało ich obecność, choć oczywiście nie rozumiało ich istoty. W ciągu dnia ruch drogowy nie stanowił zagrożenia. Noc wszystko zmieniła: okrutni giganci nadjeżdżali i odjeżdżali, zostawiając często śmierć na swym szlaku.

Zając zadygotał. Obserwował czasem z bezpiecznej odległości, jak gronostaje i łasice hipnotyzowały swymi ślepiami upierzoną widownię. W podobny sposób on sam ulegał śmiertelnemu czarowi samochodu i bijącym w noc reflektorom. Nie był w stanie oprzeć się tej wibrującej muzyce kobziarzy śmierci, jaką stanowiły warkot silnika oraz przenikliwy świst opon. Ciężarówka wjechała na zakręt. Zając usłyszał pisk hamulców, kiedy kierowca usiłował zmniejszyć szybkość na ostrym, niebezpiecznym łuku.

Bliżej... bliżej...

Zając uniósł zad i ponownie zadrzał. Powoli ruszył na przód przebiegając z trawy na asfalt. Jednym skokiem

znalazł się na środku drogi. Gdyby wykonał następny, byłby całkowicie bezpieczny. Zamiast tego przycupnął na szosie z rozszerzonymi oczyma, oślepiiony silnym światłem reflektorów. Ogłuszony przez hałas położył uszy po sobie. Wszystkie zmysły miał teraz sparaliżowane.

Jakiś płynący z głębi instynkt ponaglał go, aby przeskoczył te parę metrów, dopóki jest jeszcze czas. Lecz niestety, między mózgiem a kończynami nie było koordynacji. Natura nawet samej sobie nie mogła przyjść z pomocą.

Zwierzę wciąż tkwiło bez ruchu, wiedząc, że tym razem śmierć jest nieunikniona. Mówiło o tym każde zajęcze ścięgno — okrutną wieść niósł ze sobą wiatr.

Kierowca ujrzał w tym momencie jakąś przyczajoną sylwetkę i instynktownie położył stopę na pedale hamulca. Zaśmiał się. Przez ułamek sekundy myślał, że to owca albo pies. Nagła ulga — to tylko zając. Nikt nie zawraca sobie głowy zającem.

Nawet nie poczuł uderzenia, kiedy ciężkie koła zamieniły zwierzę w niepodobną do niczego mieszaninę krwi i futra. Czy w ogóle go przejechał? Zdaje się, że tak.

Kilka minut później nie pamiętał już o tym zdarzeniu. Z prawej strony drogi grunt gwałtownie opadał do połyskującego czarnego jeziora, które wypełniało dolinę poniżej: Zbiornik Claerwen.

Kierowca zmienił bieg. Przypomniawszy sobie niewyraźnie coś, o czym czytał kiedyś w gazecie: jakiś facet przebił się tu przez bariery cysterną. Brak koncentracji — zawyrokował. Spotkałby go ten sam los, gdyby zahamował przed zającem.

Spadną na ciebie wszystkie te przekleństwa, będą cię ściągaty i dosięgną cię, aż cię zniszczą.

Księga powtórnego Prawa 28:45